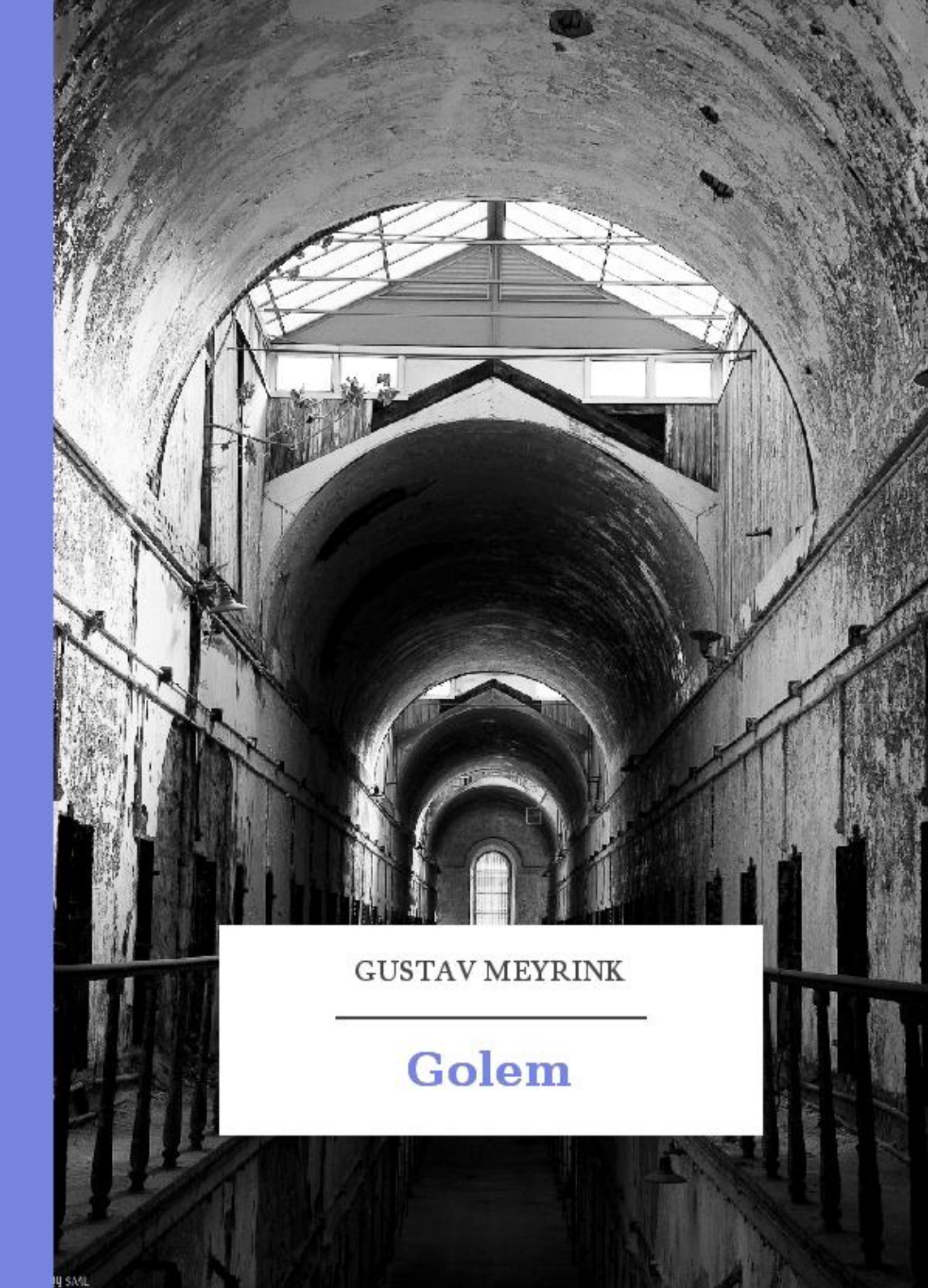




GUSTAV MEYRINK

Golem

GUSTAW MEYRINK

Golem¹

TŁUM. ANTONI LANGE

SEN²

Światło miesiąca³ spłynęło w nogi mojego łóżka i rozpostarło się jak wielki, jasny, płaski kamień. Gdy pełnia księżyca kurczy się, a lewa jego strona poczyną niknąć niby twarz, ku której starość się zbliża, która marszczy się i chudnie, wówczas, w takie godziny nocy, opanowują mnie dziwne trwogi i niepokoje.

Nie śpię i nie czuwał, ale w półśnie, w duszy to, co przeżyłem z tym, com czytał i słyszał, miesza się jak strumienie o różnych barwach i przejrzystości.

Zanim udałem się na spoczynek, czytałem żywot Buddy Gotamy⁴ i teraz jedna przypowieść na tysiąc sposobów z oddali powraca mi uporczywie w myśl.

„Wrona poleciała do kamienia, który wyglądał jak kawał słoniny i myśli: może znajdzie się tu coś smacznego? Nie znalazłszy tam jednak nic smacznego, odleciała dalej. Jak ta wrona, która zbliżyła się do kamienia, tak my opuszczamy ascetę Gotamę, utraciwszy doń upodobanie.”

I obraz kamienia, który wygląda jak kawał słoniny, urasta w mej wyobraźni do potwornych rozmiarów; stąkam przez wyschnięte łóżysko rzeki i dźwigam, usuwam gładkie krzemienie szarobłękitne, nakrapiane świecącym pyłem, po którym drepę i drepę, a jednak nie mogę sobie z nimi dać rady; potem napotykam czarne o siarczano-żółtych plamach, jak skamieniałe próby rzeźbiarskie jakiegoś dziecka, które chce naśladować niezgrabne, cętkowane skrzeki; chcę precz od siebie daleko odrzucić te kamienie, ale wciąż wypadają mi z ręki i nie mogę ich usunąć z zakresu⁵ swego wzroku. Wszystkie kamienie, które w moim życiu niegdyś jakąkolwiek rolę grały, zapadają się dokoła mnie.

Niektóre męczą się ciężko, wysuwając się z piasku na światło — jak wielkie, łupko-barwne⁶ pająki morskie w chwili, gdy przypyływ morza powraca — jak gdyby wszystko chciały w tym pomieścić, oczy moje przykuć do siebie i powiedzieć mi rzeczy niesłychanej wagi.

Inne, wyczerpane, padają bezsilnie z powrotem w swe jamy i znikają, zanim doszły do słowa⁷. Czasem unoszę się do góry z tego zmierzchu półśnienia i widzę znowu na jedno mgnienie oka światło księżyca na bufiastym⁸ końcu mojej koldry: światło leżące jak wielki, jasny, płaski kamień, i znowu na ślepo macam swą zapadającą świadomość, szukając niespokojnie tego kamienia, który mnie dręczy, a który w rumowiskach wspomnienia leżeć musi i wygląda jak kawał słoniny.

Księżyc

Ptak, Kamień

Sen

¹*golem* — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

²*Sen* — w oryginalnej, niemieckiej wersji językowej wszystkie tytuły rozdziałów są jednosylabowe.

³*miesiąc* (daw.) — księżyc.

⁴*Budda Gotama* — właśc. Siddhartha Gautama, zwany „Buddą”, co oznacza „oświecony”, założyciel buddyzmu. Daty narodzin i śmierci nie są znane, najczęściej jego życie datuje się na V-VI w. p.n.e. W szerszym sensie słowo „Budda” oznacza każdego „oświeconego”.

⁵*zakres* — tu: zasięg.

⁶*łupkobarwny* (neol.) — w kolorze łupku, to jest odmiany łupliwego kamienia.

⁷*zanim doszły do słowa* — aluzja mitologiczna bądź religijna. W mitologii gr. ludzie zostali stworzeni z kamieni, a w *Ewangelii* Łk 19,40 padają słowa: „Powiadam wam: Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą”.

⁸*bufiasty* — przymiotnik od rzeczownika „bufa” oznaczającego kuliste, dekoracyjne zgrubienie na rękawie.

Niegdyś musiała być nad tym kamieniem zawieszona rynna, tak sobie wyobrażam, zgięta pod kątem rozwartym; brzegi jej rdzą były strawione, i uparcie chcę w swym duchu taki obraz wymusić, aby spłoszone myśli okłamać i do snu się ukołysać. Nie udaje mi się. Nieustannie — nieustannie przemawia we mnie głos uparty i nieumęczony, jak okiennica, którą wiatr w prawidłowych⁹ odstępach czasu uderza o ścianę; to jest zupełnie coś innego, to wcale nie kamień, to, co wygląda jak słonina.

I nie mogę się pozbyć tego głosu, chociaż sto razy sobie wykładam¹⁰, że to jest wszystko drobiazg; głos milczy chwilę, ale niepostrzeżenie znów się odzywa i urągająco¹¹ zaczyna na nowo: dobrze, dobrze, to prawda, ale to nie jest jednak kamień — to, co wygląda jak kawał słoniny. Z wolna zaczyna mnie opanowywać uczucie całkowitej niemocy. Co się stało dalej — nie wiem. Czy dobrowolnie przestałem jakkolwiek się opierać, czy też moje myśli przemogły¹² mnie i spętały? Wiem tylko, że moje ciało leży uśpione w łóżku, a moje zmysły oderwały się od ciała i nie są już z nim związane. Kim jest teraz „ja”, chcę się gwałtem dowiedzieć, ale dorozumiewam się, że już nie mam żadnego organu, którym mogę stawiać pytania. Wtedy lękam się, że głupi głos znów się przebudzi i znówu zacznie nieskończona gadaninę o kamieniu i słoninie. I tak kręcę się w kółko.

Bezsilność

DZIEŃ

Wówczas znalazłem się nagle w ponurym podwórzu i naprzeciwnie, poprzez czerwony łuk bramy, ujrzałem po tej stronie ciasnej, brudnej ulicy żydowskiego tandeciarza¹³, opartego o sklep, którego ściany były poobwieszane szeregiem starych żelaznych rupieci, połamanych narzędzi, zardzewiałych strzemion i łyżew, i wielu innych zamarłych rzeczy. —

Ten obraz miał w sobie nużącą jednostajność, cechującą wszystkie takie wrażenia, które codziennie tak często, jak kramarz¹⁴ domokrażny¹⁵, przestępują próg naszych spostrzeżeń i nie budzą we mnie ani ciekawości ani zadziwienia. Miałem poczucie, że od dłuższego już czasu byłem w tej okolicy jak u siebie. I to poczucie, mimo sprzeczności z tym, co spostrzegłem jeszcze przed chwilą i jak się tu dostałem, nie pozostawia we mnie żadnego głębszego wrażenia. Musiałem już kiedyś słyszeć albo czytać o dziwnym porównaniu kamienia z kawałem słoniny; wpadło mi to nagle do głowy, gdy po wydeptanych stopniach dotarłem do swego pokoju i dzięki ich zatłuszczoneму wyglądowi w nieokreślony sposób zacząłem myśleć nad słoninowym wyglądem kamiennych stopni.

Wtem usłyszałem odgłos kroków przebiegających nade mną po górnych schodach; doszedłszy zaś do drzwi swego pokoju, spostrzegłem, że była to czternastoletnia rudowłosa Rozyna, córka tandeciarza Arona Wassertruma.

Musiałem przejść koło niej, ona zaś stała plecami oparta o poręcz schodów i pożądliwie pochylała się w tył. Dla podtrzymania się oparła brudne ręce o żelazny drzątek, obnażone jej ramiona blade przeświecały w mroku.

Starałem się uniknąć jej wzroku. Brzydziłem się jej natrętnego śmiechu i tej woskowej twarzy jakby drewnianego konia. Czułem, że dziewczyna ta musi mieć gąbczaste białe ciało, jak aksolotl¹⁶, którego kiedyś widziałem u ptasznika¹⁷ w klatce z salamandrą.

Rzęsy rudowłosych są dla mnie tak wstrętne jak królicze. Otworzyłem prędko i zamknąłem drzwi za sobą. — Ze swego okna mogłem obserwować tandeciarza Arona Wassertruma: stał przed sklepem. Podpierał się o wejście ciemnego sklepienia i kleszczami obcinał paznokcie u rąk. Czy rudowłosa Rozyna była jego córką, czy siostrzenicą? Nie było między nimi najmniejszego podobieństwa.

Pośród żydowskich twarzy, które widuję codziennie, wynurzające się w Kogucim Za-
ułku, ściśle mogę rozróżnić rozmaite plemiona, które, mimo bliskiego pokrewieństwa poszczególnych jednostek, nie tak łatwo się zacierają, podobnie jak oliwa z wodą się nie

Erotyzm

Żyd, Antysemityzm,
Rodzina

⁹prawidłowy — tu: regularny.

¹⁰wykładać — tu: wyjaśniać.

¹¹urągająco — w sposób wyrażający niezadowolnienie lub lekceważenie.

¹²przemóc (daw.) — pokonać.

¹³tandeciarz — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

¹⁴kramarz (daw.) — handlarz.

¹⁵domokrażny — chodzący po domach; zajmujący się akwizycją.

¹⁶aksolotl — meksykański płaz ogoniasty, charakteryzujący się bladą skórą.

¹⁷ptasznik — hodowca i/lub sprzedawca ptaków bądź drobnych zwierząt.

miesza. Nie można tu powiedzieć: to są bracia, albo ojciec i syn. Ten jest tego plemienia, ów innego: to jest wszystko, co się da wyczytać z rysów twarzy. Udowodniłbym to nawet, gdyby Rozyna była podobną do tandeciarza. Te plemiona żywiły względem siebie wzajemny utajony wstręt i obrzydzenie, które również łamały łączność ciasnych związków krwi, lecz nakazywały trzymać je w ukryciu przed światem zewnętrznym, tak jak strzeże się niebezpiecznej tajemnicy. Nikt nie mógł ich przejrzeć, i w tej solidarności równali się oni ślepcom, pełnym nienawiści, którzy się przywiązali do brudem przesiąkniętego sznura. Jeden obojgiem pięści, inny pomimo woli, tylko jednym palcem, lecz wszyscy ogarnięci zabobonną trwogą, że musieliby zginąć, gdyby opuścili wspólną podporę i odłączyli się od pozostałych.

Rozyna jest z tego plemienia, w którym rudowłosy typ jest bardziej jeszcze odrażający, niż u innych.

Mężczyźni tego plemienia są szczupli w piersiach i mają długie, kogucie szyje z wystającym jabłkiem Adamowym¹⁸. Wszystko wydaje się u nich piegowate. I przez całe życie cierpią brutalne udręczenia. Walczą skrycie przeciwko swoim chuciom¹⁹ bez końca i bez skutku, pełni trwogi nieprzerwanej. Nie mogę sobie jasno wyobrazić, na jakiej zasadzie przypisywałem Rozynie związek pokrewieństwa z tandeciarzem Wassertrumem. Nigdy jej nie widziałem w pobliżu starca i nie zauważyłem, aby kiedykolwiek ze sobą rozmawiali. Rozyna była prawie zawsze na naszym podwórzu, albo przeciskała się przez ciemne przejścia i zakamarki naszego domu. Zapewne wszyscy moi współlokatorzy uważali ją za bliską krewną, a przynajmniej za wychowankę Arona, ja zaś byłem przekonany, że nikt nie mógłby tego przypuszczenia wytłumaczyć. Chciałem myśli oderwać od Rozyny i spojrzałem w otwarte okno swego pokoju w dół, na zaułek. Gdy Aron Wassertrum poczuł mój wzrok, podniósł nagle ku górze swoją nieruchomą, szkaradną twarz z okrągłymi rybimi oczyma i odstającą górną wargą. Wydał mi się jak człowiek-pająk, który wyczuwa najdelikatniejsze dotknięcie swojej sieci, jakkolwiek zdaje się niewzruszony i obojętny. I z czego on mógł żyć? Co myśli i co zamierza? Nie wiedziałem tego. Na ścianach jego sklepu wiszą bez zmiany z dnia na dzień, z roku na rok, te same martwe, bezwartościowe rzeczy. Mógłbym je narysować z zamkniętymi oczyma. Tutaj zgięta, blaszana trąba bez klap, pożółkły obraz malowany na papierze, wyobrażający dziwacznie poustawianych żołnierzy. Potem wiązka zardzewiałych ostróg na spleśniałym rzemieniu i inne na wpół zbutwiały²⁰ rupiecie. A na przedzie na podłodze szereg okrągłych, tak gęsto koło siebie ułożonych żelaznych fajerek²¹, że nikt nie mógł przekroczyć progu sklepu. Ilość tych wszystkich rzeczy nie zmniejszała się nigdy ani nie powiększała i trwała w niezmienności. A gdy pewnego razu jaki przechodzień zatrzymał się i zapytał o cenę tego albo owego przedmiotu, tandeciarz wpadał w gwałtowne rozdrażnienie. W sposób dreszczem przejmujący wyciągał swoją zajęczą wargę ku górze i podniecony wymrukiwał coś niezrozumiałego gardłowym, jękającym się basem, tak że klient tracił ochotę pytać jeszcze i wystraszony udawał się w dalszą drogę.

Wzrok Arona Wassertruma błyskawicznie prześlizgnął się sprzed moich oczu i spoczął z natężoną uwagą na gołych murach przybudówki, która sięgała mego okna. Co on mógł tam zobaczyć? Przecież tylna ściana domu jest zwrócona na ulicę, a okna wychodzą na podwórze! Tylko jedno skierowane jest na ulicę.

Pokoje przylegające do moich na tym samym piętrze — zdaje mi się, że jest to jakaś pokątna²² pracownia — przypadkowo zdawały się być w tej chwili zajęte, gdyż nagle za ścianą usłyszałem rozmawiające ze sobą głosy, męski i kobiecy.

Niepodobna²³, aby tandeciarz na dole głosu te mógł słyszeć. Przed moimi drzwiami ktoś się poruszał; domyśliłem się, że to ciągle jeszcze Rozyna w ciemnościach czeka pożądlwie, aż może ją do siebie zechce zaprosić.

Handel

Pożądanie, Zazdrość

¹⁸jabłko Adama — u mężczyzn: wypukłość na szyi, jaką po mutacji tworzy chrząstka grdyki.

¹⁹chuć — pożądanie.

²⁰zbutwiały — uległy rozpadowi pod wpływem grzybów i bakterii.

²¹fajerka — żeliwna obręcz, służąca do regulacji wielkości otworu w płycie kuchennej.

²²pokątny — niezgodny z prawem a. z innymi przepisami.

²³niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe.

Na dole zaś o pół piętra niżej z zatrzymanym oddechem czatował na schodach dzio-
baty, na pół dorosły Loiz, czy ja drzwi otworzę i czulem formalnie tchnienie nienawiści
i spienioną zazdrość sięgającą aż tu, poza moje progi.

Chłopiec bał się zbliżyć, aby go Rozyna nie spostrzegła. Czuje się on od niej zależny,
jak głodny wilk od swego dozorca, a chciałby z przyjemnością zerwać się i nieprzytomnie
dać upust swojej wściekłości. Usiadłem przy warsztacie i wyjąłem obciążki i rylce. Lecz
nic nie mogłem wykonać, a ręka moja była za mało spokojna, aby poprawiać subtelne
ryciny japońskie. Smętne, ponure życie, związane z tym domem, stało na przeszkodzie
uspokojeniu mego umysłu i ciągle we mnie nurtowały stare obrazy.

Loiz i jego bliźniak Jaromir byli zaledwie o rok starsi od Rozyny. O ojcu ich, który
wyrabiał hostie, nie mogę sobie nic przypomnieć, a teraz, zdaje mi się, opiekę ma nad
nimi pewna stara kobieta. Tylko nie wiem, która to była spośród wielu, co w tym domu
mieszkają ukryte jak krety w swych podziemiach.

Opiekowała się obu chłopcami, to znaczy udzielała im schronienia, oni zaś za to mu-
sieli jej dostarczać tego, co przy sposobności ukradli lub wyżebrali. Czy dawała im również
co jeść? Nie przypuszczam, gdyż stara wraca zwykle do domu późnym wieczorem.

Jest podobno obmywaczką umarłych.

Gdy Loiz, Jaromir i Rozyna byli jeszcze dziećmi, widywałem ich często, jak się we
troje niewinnie bawili. Lecz dużo czasu już minęło.

Teraz Loiz cały dzień biega za rudowłosą Żydówką. Czasami szuka jej nadaremnie,
a gdy nie może nigdzie jej znaleźć, wtedy prześlizguje się przed moimi drzwiami i z wy-
krzywioną twarzą oczekuje, aż ta po kryjomu tutaj przyjdzie. Potem, siedząc przy pracy,
widzę go, jak biegnie przez ulicę z głową po szpiegowsku przechyloną na wychudłym
karku. Czasem nagle przerywa ciszę dziki wrzask. Jaromir, będąc głuchoniemym i ma-
jąc wszystką myśl przepełnioną jedynie szalonym pożądaniem Rozyny, błądzi jak dzikie
zwierzę po domu, a jego nieokreślone wyjące szczekanie, które wydaje na wpół przy-
tomnie z zazdrości i podejrzliwości, brzmi tak strasznie, że niejednemu krew by w żyłach
skrzepła. Jaromir szuka obojga, gdziekolwiek ich obecność podejrzewa, w jednym z ty-
siąca brudnych zakątków, ukryty w ślepej wściekłości, ciągle biczowany tą myślą, że jego
brat za nim śledzi, aby z Rozyną nic się nie stało, czego by on nie wiedział. I właśnie to
ciągle dręczenie kaleki — jak sądzę — jest środkiem podniecającym Rozynę, że wciąż
z nim się spotyka. Gdy jej skłonności i chęci słabną, Loiz wymyśla nowe rozmaite szka-
radziejstwa, aby żądze Rozyny na nowo rozbudzić. Wtedy pozwalają umyślnie przyłapać się
głuchoniememu, wabiąc chytrze szalejącego z wściekłości w ciemne przejścia; tu Jaromir,
włażąc na zardzewiałe obręcze, które przy stąpieniu podnosiły się w górę i żelazne grabie
ostrzami zwrócone do góry, podlegał przykrym wypadkom i bywał nieraz pokrwawiony
i poraniony. Od czasu do czasu Rozyna obmyślała, aby go męczyć na swoją rękę w sposób
jeszcze piekielniejszy. Potem naraz²⁴ zmieniała postępowanie względem Jaromira, uda-
jąc, że nagle znajduje w nim upodobanie. Z wiecznie uśmiechniętą miną, popełnia ona
względem kaleki rzeczy straszliwe, które ją podniecają niemal do obłędu; i w tym ce-
lu urobiła sobie pozornie tajemniczy, na pół zrozumiały język znaków, które wciągały
głuchoniemego bez ratunku w sieć bezwiedzy i pożerającej nadziei. Pewnego razu wi-
działem go stojącego przed nią, a ona mówiła do niego tak groźnie poruszając wargami
i gestykulując, iż byłem pewien, że lada chwila wybuchnie on dzikim wzburzeniem. Pot
spływał mu z czoła od nadludzkiego wyężenia myśli, aby uchwycić tak niejasne i prędkie
zwroty. A w ciągu następnego dnia czatował, trzęsąc się na ciemnych schodach innego,
na wpół rozwalonego domu, który stał na przedłużeniu ciasnego brudnego zaułka póty,
póki mu się nie udało wyżebrać paru centów. A gdy późno w nocy, na wpół umarły
z głodu i niepokoju, chciał wrócić do domu, jego opiekunka dawno już drzwi zamknęła.

Pożądanie, Gniew

Praca, Smutek

Pożądanie, Cierpienie,
Kaleka

Wesoły śmiech kobiety precyzyjnie się do mnie przez ścianę, z sąsiedniej pracowni.
Śmiech? W tym domu wesoły śmiech? W całym Getcie²⁵ nikt nie mieszka, co by mógł

²⁴naraz — nagle.

²⁵getto — dzielnica żydowska.

się śmiać wesoło. Wtem przypomniałem sobie, że przed paru dniami zwierzał mi się stary jasełkarz²⁶. Zwak, że pewien młody, bogaty pan wynajął od niego drogo pracownię widocznie dlatego, aby móc bez przeszkody spotykać się z wybraną swego serca. Aby w domu nikt tego nie spostrzegł, drogie meble nowego lokatora musiano wstawiać nocami w tajemnicy, po sztuce. Dobroduszny starzec, gdy mi to opowiadał, zacierał aż ręce z zadowolenia i cieszył się jak dziecko ze swojej zręczności, że nikt ze współlokatorów nie przypuszcza nawet istnienia jakiejś romantycznej pary zakochanych.

Miłość, Tajemnica

Z trzech domów można się dostać niepostrzeżenie do pracowni. Nawet można wejść przez drzwi tajemne. Tak, gdy się otworzy żelazne drzwi w podłodze — co z tamtej strony jest łatwe do wykonania — można by, przeszedłszy przez mój pokój, dojść do schodów naszego domu i użyć ich za wyjście... Znowu z pracowni zadźwięczał wesoły śmiech i obudził we mnie niewyraźne wspomnienie zbytkownego²⁷ mieszkania pewnej szlachetnej rodziny, do której byłem często wzywany do odnawiania drogocennych starożytności. Nagle usłyszałem tuż obok przeraźliwy krzyk. Słuchałem wystraszony. Żelazne drzwi w podłodze silnie zaskrzypiały i po chwili do mego pokoju wpadła kobieta. Z rozpuszczonymi włosami, blada jak ściana, z zarzuconym na nagie plecy złotogłowie²⁸.

Ucieczka

— Mistrzu Pernath, ukryj mnie pan, na miłość Boską. Nie pytaj się pan, ukryj mnie tutaj.

Zanim mogłem odpowiedzieć, drzwi zostały powtórnie szarpnięte i natychmiast zamknięte. W sekundę później ujrzałem podobną do wstrętnej maski, szyderczą twarz kramarza Arona Wassertruma.

Przedemną wynurzyła się okrągła świecąca plama i w świetle księżyca poznałem znów nogi mego łóżka. Sen ogarniał mnie jeszcze jak ciężki, wełniany płaszcz, a imię²⁹ Pernath, jak gdyby wypisane złotymi literami, pozostawało w mojej pamięci. Gdzie ja to imię czytałem? Atanazy Pernath?

Imię

Przypominam sobie, dawnymi czasy zamieniłem gdzieś swój kapelusz i dziwiłem się wtedy, że tak jest dopasowany, chociaż głowę mam o bardzo niezwykłym kształcie. Zająrzałem wtedy do cudzego kapelusza i — tak, tak, było w nim złotymi, papierowymi literami na białej podszewce napisane:

Atanazy Pernath

Nie wiem, dlaczego poczułem do tego kapelusza wstręt i nawet się go lękałem. Wtem uderzył mnie jak strzała zapomniany głos, który chciał się ode mnie dowiedzieć, gdzie się podział kamień, wyglądający jak słonina. Szybko wyobraziłem sobie ostry, słodko szyszający profil rudej Rozyny i w ten sposób udało mi się uchylić od pocisku, który natychmiast zginął w mroku.

Tak, twarz Rozyny! To jest jednak silniejsze niż bezmyślnie paplający głos i rzeczywistość, gdy się znowu ukryję w swoim pokoiku na Kogucim Zaułku, mogę być zupełnie spokojny.

J³⁰.

Jeżeli się nie łudzę w domyśle, że na zewnątrz ktoś stąpa po schodach, w niezmienniej ciągle odległości ode mnie, z tym zamiarem, aby mnie odwiedzić, to na pewno znajdować się on teraz musi na ostatnim zakręcie schodów. Teraz poszedł w bok, w stronę mieszkania archiwisty Szemajaha Hillela i dostał się z wydeptanych schodów do sieni wyższego piętra, wyłożonej czerwonymi ceglami. Przeszedł po omacku wzdłuż ściany i musiał teraz, właśnie teraz, sylabizując z trudem w ciemnościach, odczytywać z tabliczki na drzwiach moje nazwisko.

²⁶jasełkarz — lalkarz.

²⁷zbytkowny — bogato wyposażony, luksusowy.

²⁸złotogłów — droga tkanina z jedwabiu i złotych nici.

²⁹imię — tu: nazwisko.

³⁰J — po hebrajsku jest to pierwsza litera imienia Boga.

Stałem wyprostowany w środku pokoju i spoglądałem na wejście. Wtem otworzyły się drzwi i on wszedł.

Zbliżył się parę kroków ku mnie i nie zdejmując kapelusza, nie rzekł nawet ani słówka na powitanie. Odniosłem wrażenie, że zachowuje się, jak u siebie w domu i uważałem za zupełnie zrozumiałe, iż on tak, a nie inaczej postępuje. Sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś książkę i długo przewracał w niej kartki.

Okladka książki była metalowa, wyciski na niej w kształcie rozetek i pieczęci były nakładane farbą i wyłożone małymi kamyczkami. W końcu znalazł szukane miejsce i wskazał mi je. Tytuł brzmiał: *Ibbur*³¹, *Brzemie duszy*. Olbrzymi, złotoczerwony inicjał „J” zajmował prawie połowę stronicy, którą pomimo woli przejrzałem; był na brzegu uszkodzony. Starałem się go naprawić. Inicjał ten nie był przyklejony do pergaminu, jak to dotychczas widywałem w starych książkach, składał się on raczej z dwóch cienkich złotych płytek, zlutowanych ze sobą w samym środku, a końcami zaczepionych o brzegi pergaminu. Czyżby to miejsce stronicy, na którym się znajdowała litera, było przedziurawione? Gdyby tak było w rzeczywistości, to na drugiej stronie „J” musiałoby być odwrócone. Przerzuciłem kartkę i moje przypuszczenie się nie sprawdziło. Pomimo woli przeczytałem tę i następną stronicę. I czytałem ciągle dalej a dalej. Książka mówiła do mnie, jak mówi sen, jaśniej tylko i wyraźniej. Poruszyła ona moje serce jakimś zagadnieniem.

Słowa płynęły z niewidzialnych ust, stawały się żywe i zbliżały się do mnie. Tańczyły i drgały przede mną, jak pstro ubrane niewolnice, pogrążały się potem w podłódze lub znikwały jak lśniąca tchnienia w powietrzu i ustępowały miejsca innym. Każda miała chwilę nadziei, że zechce ją wybrać, lecz na widok nowo przybyłej wyrzekała się swych nadziei. Niektóre, znajdujące się pod nimi, przychodziły świetne, jak pawie w mieniących się barw szatach, a kroki ich były powolne i odmierzane. Inne — jak przestarzałe i przeżyte królowe o farbowanych powiekach, o rysach twarzy prostytutki i zmarszczkach pokrytych wstrętną szminką. Patrzyłem na nie, jak się zjawiały i odchodziły, a wzrok mój ślizgał się po wydłużonych konturach szarych postaci o twarzach tak pospolitych i bez wyrazu, że wyrzucie się ich w pamięci było wykluczone.

Potem przywlokły nagą kobietę, olbrzymią jak spiżowy³² kolos. Jej rzęsy były tak długie, jak moje całe ciało; niemo wskazała na puls swej lewej ręki. Uderzał on jak trzęsienie ziemi i miałem wrażenie, że w nim ześrodkowało się życie całego świata. Z oddali zbliżał się orszak korybantów³³. Mężczyzna i kobieta trzymali się w objęciach, widziałem ich zbliżających się z oddalenia, orszak zaś czynił wrzawę coraz bliżej. Teraz słuchałem rozlegającego się śpiewu bezładnie płasającej przede mną gromady, a wzrok mój szukał zagubionej pary. Lecz ta przemieniła się w jedną jedyną postać, na wpół męską, na wpół kobiecą — w Hermafrodytę³⁴, siedzącego na tronie z masy perłowej. Korona Hermafrodyty kończyła się deską z czerwonego drzewa; wewnątrz robak zniszczenia wygrzyzał tajemniczą cyfrę. W obłokach pyłu szybko się zbliżała, popędzana biczem, trzoda małych, ślepych owiec: karmne³⁵ zwierzęta, które prowadził w orszaku gigantyczny mieszaniec, miały przeznaczenie utrzymywać życie korybantów.

Czasami niektóre postacie, wypływające z niewidzialnych ust, przybywały z grobów, z chustami przed obliczem. I stanąwszy przede mną, nagle zrzuciły okrycia i stężale, głodne, spoglądały krwiożerczym wzrokiem, skierowanym w me serce, aż lodowaty strach wciskał mi się w sam mózg, a krew moja kipiała jak potok, w który spadają z nieba odlamy skalne — nagle i w sam środek łóżyska.

Jakaś kobieta unosiła się nade mną w powietrzu. Nie widziałem jej twarzy, gdyż odwróciła się ode mnie, a miała na sobie płaszcz z płynących łez. Maski tańczyły, śmiały się, nie dbając o mnie zupełnie. Tylko jakiś Pierrot³⁶ obejrzał się uważnie — oczy utkwił we mnie i odskoczył. Wrósł w ziemię przede mną i spojrzał mi w twarz jak gdyby w zwierciadło. Robił tak dziwne miny, podnosił i machał rękami, już to ocieźale, już to

Książka

Wizja

Kobieta

Łzy

³¹*ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

³²*spiżowy* — wykonany ze spiżu, tj. ze stopu miedzi, cynku i cyny.

³³*korybant* — w starożytności kapłan Kybele, frygijskiej bogini płodności.

³⁴*hermafrodyta* — (od imion bogów gr. Hermesa i Afrodyty) istota dwupłciowa.

³⁵*karmny* — tuczny, przeznaczony do uboju.

³⁶*Pierrot* — postać z komedii *dell'arte*: smutny kochanek ze łzami wymalowanymi na pobielonej twarzy.

z błyskawiczną szybkością, że moim jedynym nieprzepartym pragnieniem stało się nagle naśladować Pierrota, mrugać oczami jak on, poruszać łopatkami i wykrzywiać kątami ust jak on.

Wtedy odepchnęły go na bok niecierpliwie cisnące się postacie, które wszystkie chciały być przed moim wzrokiem. Lecz żadna z tych istot nie mogła się utrwalić. Są to oślizgłe perły nawleczone na jedwabny sznur, są to poszczególne tony jednej tylko melodii, które z niewidzialnych ust wypływają. Już nie była to książka, co przemawiała do mnie. Był to głos. Głos, który czegoś chciał ode mnie, czegoś, czego nie mogłem uchwycić, choć nie wiem jak usiłowałem to zrobić. Głos dręczył mnie palącymi, niezrozumiałymi pytaniami. Lecz głos, który te widzialne wypowiadał słowa, umarły był i bez echa. Każdy głos, rozbrzmiewający w świecie rzeczywistości, odpowiada wielokrotnym echem, tak jak każdy przedmiot ma jeden duży cień i wiele cieni małych, ten jednakże głos nie odpowiadał już żadnym echem — dawno, dawno już się te echa rozwiały i przebrzmiały.

Zaświaty

Przeczytałem książkę do końca i trzymałem ją jeszcze w rękach, a wówczas było mi tak, jak gdybym badawczo w mózgu własnym kartki przerzucał — i to nie w jednej książce! — Wszystko, co mi ten głos powiedział, nosiłem w sobie, odkąd żyję, lecz było to zapomniane i ukryte przed moją świadomością aż do dnia dzisiejszego.

Spojrzałem przed siebie. Gdzie się podział człowiek, który mi przyniósł książkę? Czyżby wyszedł? Czy przyjdzie po nią, gdy będzie skończona? Może mam mu ją odnieść? Lecz nie mogę sobie przypomnieć, czyli³⁷ mówił, gdzie mieszka. Starałem się wywołać w pamięci jego zjawę, lecz mi się nie udało. Chociażby wiedzieć, jak był ubrany. Czy był stary, czy młody? Jakiego koloru były jego włosy, broda? Nie, nic zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić. Wszystkie przedstawiające go obrazy, które sobie stworzyłem, rozpląwały się bez zatrzymania, zanim byłem w stanie połączyć je w duchu. Zamknąłem oczy i opuściłem rękę na powieki, aby ułoić najdrobniejszą choćby cząstkę jego portretu. Nic, nic. Stałem pośrodku pokoju i spoglądałem na drzwi, tak, jak to zrobiłem przedtem, gdy człowiek ten wchodził i malowałem sobie całą rzecz: teraz skręca koło rogu, teraz stąpa po wyłożonej ceglami posadzce, teraz czyta na drzwiach moją tabliczkę: „Atanazy Pernath”, a teraz wchodzi. Daremnie. Nie mogłem wzbudzić najmniejszego śladu wspomnienia co do jego postaci. Zobaczyłem książkę leżącą na stole i chciałem sobie wyobrazić w duchu rękę, która ją z kieszeni wyjmuję, by mi ją podać. Nie mogłem sobie uzmysłować, czy na rękę była rękawiczka, czy też dłoń była obnażona, czy była młoda, czy pomarszczona, przystrojona pierścieniami, czy też nie.

Wtem wpadł mi szczególny pomysł. Był on jak natchnienie, któremu nie można było się oprzeć. Włożyłem kapelusz i przeszedłszy korytarz, zszedłem po schodach na dół. Potem powoli wróciłem znów do swego pokoju.

Powoli, zupełnie powoli, tak jak on, gdy wchodził do mnie. Otworzywszy drzwi spostrzegłem, że w pokoju był zmrok. Czyż nie promieniał jasny dzień, gdy przed chwilą wychodziłem? Jak długo musiałem marudzić, jeżeli nie zauważyłem, że teraz jest już tak późno?

Czas

Próbowałem naśladować nieznajomego w ruchach i minach, lecz nie mogłem go sobie zupełnie przypomnieć. Jak jednakże miało mi się udać naśladowanie jego postaci, skoro nie miałem żadnego punktu oparcia do jego wyglądu?

Lecz rezultat był inny, zupełnie inny, niż przypuszczałem. Moja skóra, mięśnie³⁸, całe ciało przypomniały sobie nagle wszystko, nie zdradzając się przed mózgiem. One to wykonywały ruchy, których nie chciałem i nie zamierzałem wykonywać. Jak gdyby moje członki³⁹ nie należały więcej do mnie. W jednej chwili, gdy robiłem parę kroków po pokoju, chód mój stał się drepący i cudzy. Określiłem, że to chód człowieka, który jest w ciągłej obawie, że upadnie. Tak, tak, tak, to był jego chód. Najdokładniej wiedziałem — to on. Miałem twarz obcą, bez zarostu, o wystających kościach policzkowych i spoglądałem ukośnymi oczami. Czułem to, lecz nie mogłem się zobaczyć. Przerażony, że moja twarz nie jest moją, chciałem krzyczeć; następnie chciałem się dotknąć, lecz ręka

³⁷czyli — czy z partykułą pytajną -li.

³⁸mięśnie — mięśnie.

³⁹członki (daw.) — kończyny.

nie poszła za rozkazem woli, jeno⁴⁰ zanurzyła się w kieszeni i wyjęła książkę. Zupełnie tak, jak on to robił. Magle siedzę, znowu bez kapelusza i palta przy stole i to jestem ja. To ja, to ja! Atanazy Pernath. Trzęsły mną dreszcze i zgroza, serce szalało, jakby chciało wyskoczyć i czułem, że widmowe palce, ściskające dotychczas mój mózg, usunęły się ode mnie. Tylko z tyłu głowy wyczuwałem jeszcze zimne ślady ich dotyku.

Teraz wiedziałem, jakim był nieznajomy, mógłbym go znowu w sobie wyczuć — w każdej chwili, gdybym zapragnął — lecz wywołać jego obraz tak, abym go widział przed sobą oko w oko, tego jeszcze nie potrafię i nigdy nie będę mógł zrobić. Poznałem, że on jest jak negatyw, niewidoczna próżnia, o nieuchwytnych liniach, w którą muszę się sam wcisnąć, jeżeli chcę poznać jej kształt i istotę we własnym „ja”.

W szufladzie mego stolika stała żelazna kasetka — chciałem w niej zamknąć książkę i dopiero gdy stan choroby ducha ustąpi, chciałem ją wyjąć i podjąć poprawę złamanego inicjału „J”. Wziąłem książkę ze stołu. Czułem, jak gdybym nic nie trzymał; chwytam kasetkę — to samo — wrażenie, jak gdyby zmysł dotyku musiał odbywać długą, długą drogę pełną ciemności, zanim by co wpadło do mojej świadomości; jak gdyby to były rzeczy warstwami czasu mnogich lat oddalone ode mnie i należące do przeszłości, co już dawno przeminęła.

Głos, który poszukiwał mnie, krążąc w mroku, aby mnie trapić kamieniem podobnym do słoniny, przeszedł koło mnie, ale mnie nie zauważył. Wiedziałem, że pochodzi on z krainy snów. Lecz to, co przeżyłem, było rzeczywistością i czułem, że dlatego właśnie nie mógł mnie nie widzieć i szukał mnie na próżno.

PRAGA

Koło mnie stał student Charousek, owijając kołnierz swego bardzo cieniutkiego surduta⁴¹ i słyszałem, jak mu z zimna zęby szczękały. Chłopiec ten może umrzeć — mówiłem sobie — w tym pełnym przeciągów, lodowatym łuku bramy — i prosiłem go, aby wraz ze mną zaszedł do mego mieszkania. Lecz on mi odmówił.

— Dziękuję wam, mistrzu Pernath — mruknął chłodno — nie mam tyle wolnego czasu — muszę spieszyć do miasta.

Gdybyśmy wyszli na ulicę, to po kilku krokach zmoklibyśmy do suchej nitki. Deszcz nie ustaje. Strumienie wody spływały z dachów po fasadach domów, jak potoki łez. Podniósłszy nieco głowę, mogłem tam na górze na czwartym piętrze widzieć swoje okno, deszczem schlapane, a wyglądające, jak gdyby jego szyby rozmiękły i stały się nieprzezroczyste i pogarbione niby żelatyna. Żółtawy, brudny strumień spływał ulicą i brama wypełniła się przechodniami, którzy chcieli przeczekać, póki niepogoda nie minie.

— Tam płynie bukiet ślubny — powiedział nagle Charousek i wskazał na bukiet zwiędłych kwiatów, który się przybliżał, pędzony brudną falą. Na to ktoś roześmiał się głośno. — Odwróciwszy się, zobaczyłem, że był to stary, wytwornie ubrany pan o siwych włosach i nabrzmiałej, rozpuchłej twarzy. Charousek także spojrzał w tył i mruknął coś do siebie.

Starzec miał w sobie coś nieprzyjemnego; odwróciłem uwagę od niego i przyglądałem się obdrapanym domom, które w moich oczach przykucnęły na deszczu, jak stare leniwe zwierzęta. Jak one wyglądały przykro i staro! Budowane bez zastanowienia, stały jak zielsko, co wydobywa się z ziemi. Dobudowano je, bez względu na otoczenie, do niskich żółtych murów kamiennych, jedynych resztek dawniejszego szeroko rozpostartego budynku z przed dwóch-trzech stuleci. Tam połowa pochylonego domu z zapadającym się frontem. Inny obok, wyższy ponad inne, jak ogromny kiel. Pod pochmurnym niebem wyglądały one jak pogrążone we śnie i nie odgadłbyś chytrego, pełnego nienawiści życia, które czasami z nich wytryskało, gdy mgła jesiennych wieczorów zalega ulice i pomaga im ukryć swą cichą, ledwo dostrzegalną grę twarzy. W czasie, gdy tu jeszcze mieszkam, utrwaliło się we mnie to wrażenie i nie mogłem się go pozbyć. Są pewne godziny w nocy i o rannym brzasku, gdy domy te w jakimś podnieceniu prowadzą milczące, tajemnicze narady. I niekiedy zrywa się słabe drżenie poprzez ich ścianę, którego niepodobna wytłumaczyć, szmery płyną poprzez dachy i spadają w rynny deszczowe — my zaś je

⁴⁰jeno (daw.) — tylko.

⁴¹surdut — długa, obcisła dwurzędowa marynarka bądź krótki płaszcz.

Tajemnica

Książka

Brud

Miasto

przejmujemy niebacznie⁴² tępych zmysłami, nie śledząc ich przyczyny. Często roilo mi się⁴³, że podpatrzył upiorne zachowanie się kamienic i dowiedziałem się z pełnym zgrozy podziwem, że one właśnie są utajonymi i istotnymi panami ulicy, że już to tracą żywot i czucie, już to do życia powracają, a w ciągu dnia mieszkańcom, co się tu gnieźdzą, udzielają go w pożyczce, następnej zaś nocy z lichwiarskim procentem⁴⁴ domagają się go powrotnie⁴⁵.

Wyobrażam sobie dziwnych ludzi, którzy mieszkają w tych domach niby schematy, niby istoty nie z matki urodzone — ludzie, którzy w myśleniu i działaniu zdają się być spojeni bez doboru, przeciągają przede mną jak duchy, i jestem skłonniejszy wierzyć, że takie sny tają⁴⁶ w sobie ciemne prawdy, które na jawie tłą się we mnie, jako wrażenie z kolorowych baśni. Potem skrycie budzi się we mnie znów podanie o widmowym Golemie⁴⁷, owym sztucznym człowieku, którego niegdyś tutaj w mrokach Getta pewien rabin, znawca Kabały⁴⁸, utworzył z elementów⁴⁹ i przywoływał go do automatycznego, bezdusznego bytu, szepcząc przez zęby magiczne słowo liczebne⁵⁰. I jak ów Golem drętwiał natychmiast w posąg gliniany w chwili, gdy tajemniczą sylabę jego życia cofał swymi ustami⁵¹ zaklinacz, tak niewątpliwie, sędzę, tracą swój byt duchowy wszyscy ci ludzie, skoro tylko w mózgu u jednego zagasło jakiekolwiek nikłe wyobrażenie, podrzędna⁵² dążność, może zbyteczne przyzwyczajenie, u innego zaś tylko głuche oczekiwanie jakiejś rzeczy całkowicie niezrozumiałej i całkowicie pozbawionej treści. — Przy tym co za nieustanne straszliwe zasadzki i podstępny w tych istotach! Nigdy nie widzi się tych ludzi przy pracy, jednak budzą się o pierwszym brzasku dnia i czekają z zapartym oddechem, jak na ofiarę — na coś, co nigdy nie nadchodzi. Jeżeli istotnie kiedyś powstaje pozór, jakby ktoś wchodził w ich obręb, ktoś bezsilny, co to mogliby go opanować: wówczas spada na nich nagle paraliżujący strach, odpędza ich z powrotem do nor, tak iż drżąc, odstupują od zamiaru. Nikt nie wydaje się dość słaby, by im odwagi starczyło dla opanowania jego niemocy.

— Zwyródniałe, bezzębne, dzikie zwierzęta, którym odebrano siłę i oręż — powiedział Charousek powolnie⁵³ i spojrzał się na mnie.

Jakim sposobem mógł on wiedzieć, o czym myślałem? Czasami tak mocno urabiamy swoje myśli, że one mogą, jak latające iskry, przeskoczyć w mózg stojącego w pobliżu.

— — — Z czego oni mogą żyć? — spytałem po chwili.

— Żyć? Z czego? Niejeden z nich jest milionerem.

Spojrzałem na Charouska. Co on myślał, mówiąc te słowa? Ale student umilkł i spojrzał na obłoki. Na chwilę ustał szmer głosów w bramie i słychać było tylko syczenie deszczu. Co on chciał przez to powiedzieć: „Niejeden z nich jest milionerem”? Znów wydało się, jak gdyby Charousek odgadł moje myśli. Wskazał na sklep tandeciarza obok nas, gdzie woda opłukiwała rdzę żelaznych rupieci, tworząc brązowo-czerwone kałuże.

— Aron Wassertrum! Ten na przykład to milioner. Prawie trzecia część żydowskiego miasta jest jego własnością. Czy pan o tym nie wie, panie Pernath?

Wprost zatamował mi się oddech w piersiach.

Aron Wassertrum tandeciarz⁵⁴, Aron Wassertrum milioner?

— O, znam go dobrze — mówił dalej Charousek, jak gdyby tylko czekał, że go zapytam — znam też jego syna, doktora Wassory. — Nigdy pan o nim nie słyszał? O doktorze

Kondycja ludzka

Zwierzęta, Brój

Bogactwo, Tajemnica

⁴²niebacznie — nieuważnie, nieostrożnie.

⁴³roilo mi się — wydawało mi się.

⁴⁴lichwiarski procent — nazbyt wysokie oprocentowanie pożyczki.

⁴⁵powrotnie — dziś: z powrotem.

⁴⁶taić — ukrywać.

⁴⁷golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

⁴⁸Kabala — mistyczna doktryna judaistyczna, na której oparty był m. in. ruch chasydzki.

⁴⁹elementy (daw.) — żywioły.

⁵⁰szepcząc przez zęby magiczne słowo liczebne — w innych wersjach legendy ożywienie golema następowało przez włożenie mu w usta karteczki z hebrajskim słowem *emet* (prawda) a uśmiercenie przez wymazanie pierwszej litery, na skutek czego powstawało słowo *met* (śmierć).

⁵¹usty — dziś popr. forma N. lm: ustami.

⁵²podrzędny — podległy.

⁵³powolnie — dziś popr.: powoli.

⁵⁴tandeciarz — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

Wassory — słynnym okuliście? — Przed rokiem jeszcze całe miasto mówiło o nim z zachwytem, jako o wielkim uczonym. — Nikt nie wiedział, że on zmienił nazwisko i przedtem nazywał się Wassertrum. Chętnie udawał on oderwanego od świata człowieka nauki i kiedy raz była rozmowa o pochodzeniu, skromnie, z głębokim wzruszeniem oświadczył półsłówkami, że ojciec jego pochodzi jeszcze z Getta — a sam wybił się na światło trudem wszelkiego rodzaju i niewypowiedzianymi kłopotami. Czyim trudem i niewypowiedzianymi kłopotami, za pomocą jakich środków, tego jednak nie objaśnił. Ja przecież wiem, jaki to ma związek z gettem — Charousek ujął mnie za ramię i potrząsnął nim silnie.

Mistrzu Pernath, jestem taki biedny, że sam zaledwie to pojmuję i muszę chodzić prawie nago, jak włóczęga, spójrz pan tutaj! A bądź co bądź jestem studentem medycyny, jestem wykształconym człowiekiem. — Zerwał swoje wierzchnie ubranie i zdumiony spostrzegłem, że student nie miał koszuli ani marynarki i nosił płaszcz na gołym ciele. — I byłem już taki biedny, kiedym tę bestię, tego wszechmocnego, szanownego doktora Wassory doprowadził do upadku, a i dziś jeszcze nikt nie przypuszcza, że ja to, ja byłem właściwym sprawcą...

W mieście sądzą, że to był niejaki doktor Savioli, który jego praktyki ujawnił i doprowadził go do samobójstwa. Doktor Savioli był jeno⁵⁵ narzędziem w moich rękach! Mówię panu. Ja sam wymyśliłem ten plan i zebrałem materiał, dostarczyłem dowodów i cicho, niepostrzeżenie wyciągałem kamień po kamieniu z budowli doktora Wassory'ego, aż cel osiągnąłem, kiedy żadne skarby świata, żadne podstępny Getta nic już nie mogły poradzić, aby odwrócić klęskę, wymagającą tylko nieznacznego posunięcia. Wie pan, tak, tak jak się gra w szachy — zupełnie tak, jak się gra w szachy⁵⁶. I nikt nie wie, że to byłem ja! Tandeciarz Aron Wassertrum coś przeczuwa, bo nieraz sen mu odbiera jakieś groźne majaczenie, że do tej gry przyłożył rękę ktoś, kogo on nie zna, a który wciąż jest w jego pobliżu, którego jednak on uchwycić nie może — ktoś inny, nie doktor Savioli. Chociaż Wassertrum należy do tych, których oczy zdolne są mury przenikać, nie może jednak zrozumieć, że są umysły, które potrafią wyliczyć, jak poprzez takie mury można klucć długimi, niewidzialnymi, zatrutymi szpilkami, omijając krzemienie, złoto i szlachetne kruszce, aby trafić w utajone tętno życia.

I Charousek uderzył się w czoło i roześmiał się dziko.

— Aron Wassertrum wkrótce się o tym przekona, tego samego dnia, w którym zechce powiesić doktora Saviolego! Ścisłe tego samego dnia.

Zapewniam pana, że kto grając ze mną dopuści do takiego gambitu⁵⁷ z królem i laufrem⁵⁸, ten zawiśnie w powietrzu, jak bezradna marionetka na wątłej nici, nici którą ja pociągam, niech pan to zrozumie, którą ja pociągam i która nie ma woli własnej.

Student mówił jak w gorączce — spojrzałem mu w oczy zdziwiony.

— Co panu zrobił Wassertrum i jego syn, że jesteś na nich tak zawzięty?

Charousek wzburzony odpowiedział:

— Nie mówmy o tym. Lepiej niech pan zapyta, jak to doktor Wassory skrzył kark. Albo może pan sobie życzy, abyśmy o tym pomówili kiedy indziej? Deszcz ustał. Może pan chce iść do domu?

Charousek zniżył głos, jak ktoś, co się nagle uspakaja. Potrząsnął głową.

— Słyszał pan kiedy, jak się leczy jaskrę⁵⁹ (glaukoma)? Nie? Muszę to panu wyjaśnić, żeby pan wszystko dokładnie zrozumiał, mistrzu Pernath.

Bieda

Podstęp

⁵⁵jeno (daw.) — tylko.

⁵⁶wie pan, tak, tak jak się gra w szachy — zupełnie tak, jak się gra w szachy — student Charousek nosi być może nazwisko Rudolfa Charouska (1873–1900), silnego i przedwcześnie zmarłego na gruźlicę szachisty węgierskiego czeskiego pochodzenia, urodzonego w Pradze.

⁵⁷gambit — w teorii szachowej wariant, w którym gracz dobrowolnie poświęca materiał (piony, rzadziej figury) za inicjatywę (możliwość ataku).

⁵⁸laufer — gонец (figura szachowa); najsłynniejsza partia Rudolfa Charouska, po którym być może nazwany jest bohater powieści, to jego zwycięstwo nad mistrzem świata Emanuelem Laskerem odniesione w trakcie turnieju w Norymberdze w roku 1896. Charousek zagrał wówczas odgałęzienie gambitu królewskiego zwane gambitem gońca (1.e4 e5 2. f4 exf4 3.Gc4).

⁵⁹jaskra — choroba prowadząca do nieodwracalnego uszkodzenia nerwu wzrokowego i siatkówki, powodująca pogorszenie lub utratę wzroku; łac. *glaucoma*.

A więc słuchaj pan. Jaskra jest to złośliwa choroba we wnętrzu oka, która się kończy ślepotą i istnieje tylko jeden środek, aby zatrzymać postępy choroby, mianowicie tzw. irydektomia⁶⁰, która polega na tym, że z tęczówki oka usuwa się kęsek⁶¹ klinowaty. Nieuniknionym skutkiem tej operacji są pewne bardzo przykre przejawy niedowidztwa⁶², które pozostają na całe życie; proces ślepienia jednakże najczęściej bywa powstrzymany.

Z diagnozą jaskry sprawa ta ma pewien swój szczególny związek. Mianowicie są okresy, zwłaszcza w początku choroby, gdy najostrzejsze symptomata⁶³ pozornie zanikają i w takich wypadkach lekarz, choćby nie mógł znaleźć najmniejszego śladu choroby, nie powinien nigdy za pewnik⁶⁴ uważać, że jego poprzednik, który był innego zdania, z konieczności⁶⁵ się pomylił. Jeżeli jednak zastosowano irydektomię, która może być użyta zarówno przy chorym, jak i przy zdrowym oku, wtedy niepodobna⁶⁶ dowieść, czy jaskra rzeczywiście była, czy też jej nie było.

I oto, opierając się na takich i innych możliwościach, doktor Wassory obmyślił plan straszliwy.

Niezliczoną ilość razy — szczególnie u kobiet — gdy były niewinne zaburzenia w oku — on świadomie konstatował⁶⁷ jaskrę, aby tylko doszło do operacji, która mu nie sprawiała żadnego trudu, przynosiła zaś dużo pieniędzy.

Nareszcie miał istotę zupełnie bezbronną w rękę; tu do ograbienia nie trzeba było nawet śladu odwagi.

Widzisz, mistrzu Pernath, to było zwyrodniałe drapieżne zwierzę, znajdujące się w takich warunkach, w których nawet bez broni i siły mogło rozszarpać swoją ofiarę.

Nie ryzykując nic! Nawet najmniejszej stawki — pojmujesz pan?

Dzięki licznym błahym rozprawkom w zawodowych pismach lekarskich doktor Wassory wyrobił sobie imię znakomitego specjalisty i nawet swoim kolegom, zbyt szczerem i przyzwoitym, by go przeniknąć, potrafił oczy piaskiem zasypać i zaimponować nauką.

Naturalnym wynikiem tego rozgłosu były tłumy pacjentów, którzy u niego szukali pomocy.

Gdy przychodził kto ze słabymi zaburzeniami wzroku i dał się zbadać, wtedy doktor Wassory przystępował do dzieła z chytrze obmyślanym planem.

Z początku prowadził zwykle badanie chorego, lecz aby później mieć na wszelki wypadek wyjaśnienie, z ręcznie notował tylko te odpowiedzi, które miały związek z jaskrą.

I ostrożnie sondował, czy już przedtem nie była postawiona diagnoza.

W ciągu rozmowy dawał do zrozumienia, że dostał nagle wezwanie z zagranicy w ważnej naukowej sprawie i z tego powodu musi już jutro wyjechać.

Prześwietlając oko promieniami elektryczności, którą przy tym stosował, umyślnie sprawiał choremu ból niesłychany.

Wszystko z rozmysłem! Wszystko celowo!

Po zbadaniu, gdy pacjent trwożliwie pytał, czy jest powód do obawy, wtedy Wassory wykonywał pierwsze posunięcie szachowe.

Siadał naprzeciw chorego, czekał chwilę, a potem dobitnie i wyraźnie wypowiadał takie słowa: Ślepotą obu oczu — nieunikniona w najbliższym czasie.

— Scena, która z natury rzeczy wynikała, była okropna. Często ludzie mdleli, płakali, krzyczeli, w rozpacz rzucając się na ziemię. Stracić wzrok — to znaczy stracić wszystko. I gdy nastąpiła chwila odpowiednia, gdy badana ofiara, obejmując kolana doktora Wassory, pytając błagalnie, czy na tym bożym świecie nie znajdzie się dla niej ratunku, wtedy krwiożerczy zwierz wykonywa drugie posunięcie szachowe — i sam niby to staje się bogiem, który w mocy swej miał ocalenie.

Wszystko, wszystko na świecie jest jak gra w szachy, mistrzu Pernath.

⁶⁰irydektomia — operacja wycięcia fragmentu tęczówki.

⁶¹kęsek — tu: fragment.

⁶²niedowidztwo — dziś popr.: niedowidzenie.

⁶³symptomata (daw.) — objawy.

⁶⁴pewnik — całkowicie pewna informacja.

⁶⁵z konieczności — tu: na pewno.

⁶⁶niepodobna (daw.) — jest nieprawdopodobne bądź niemożliwe.

⁶⁷konstatować — stwierdzać.

Lekarz, Podstęp

Nauka

Oko

Jedyne, co mogłoby tu pomóc — mówił po namyśle doktor Wassory — to natychmiastowa operacja — i z pożądliwą próżnością, która się w nim nagle budziła, długo i szeroko opisywał taki lub inny wypadek, który z wypadkiem obecnym ma bardzo wielkie podobieństwo; opowiadał, ilu to chorych jemu jedynie zawdzięcza ocalenie wzroku itp.

Rozkoszował się formalnie myślą, że może być uważany za istotę wyższą, w której rękę złożone jest ocalenie i zagłada bliźnich.

Lecz bezbronna ofiara siedziała przed nim z sercem pełnym palących zapytań, z czołem perlącym się od potu i trwogi, nie miała odwagi ani na chwilę przerwać mu mowę, z obawy, aby go nie rozgniewać, jego, jedyne, co mu zdoła dopomóc.

Doktor Wassory zaś zamykał rozmowę słowami, że do tej operacji mógłby przystąpić dopiero po kilku miesiącach, gdy wróci z podróży.

Miejmy nadzieję — mówił — gdyż w takich wypadkach zawsze się powinno spodziewać najlepszego — miejmy nadzieję, że wtedy nie będzie jeszcze za późno.

Naturalnie chory wówczas zrywał się zawsze przerażony — i tłumaczył, że pod żadnym warunkiem, ani jednego dnia nie chce czekać dłużej — i błagalnie prosił o wskazówkę, czy jaki inny okulista w mieście nie mógłby wykonać operacji.

Wtedy nadchodziła chwila, kiedy doktor Wassory zadawał rozstrzygający cios.

Kroczył po pokoju w głębokiej zadumie, jakby zgryziony⁶⁸ marszczył czoło — i zakłopotany szeptał, że wdanie się⁶⁹ innego lekarza ze względu na konieczność prześwietlania elektrycznością jest niepożądane, gdyż chory sam chyba wie, jakie to bolesne; powtórne użycie tych oślepiających promieni — pociągnęłoby za sobą jak najfatalniejsze skutki.

Inny lekarz, pominąwszy to, że niektórym właśnie brak wprawy koniecznej do *irydectomii*, musiałby na nowo oczy badać — i dopiero po upływie pewnego czasu, gdy nerwy wzrokowe odpoczną, przystąpić do operacji chirurgicznej.

Charausek zacisnął pięści.

— W szachach nazywamy to „ruchem musowym⁷⁰”, drogi mistrzu Pernath! — Co następowało potem — były to ciągłe ruchy musowe — jeden po drugim.

Na wpół przytomny z rozpaczy pacjent zaklinał doktora Wassory, aby go wybawił, aby na jeden dzień podróż odłożył i sam wykonał operację. Chodziło tu więcej niż o rychłą śmierć; chodziło tu o straszną, męczącą obawę, że każdej chwili możesz oślepnąć, co jest gorsze ponad wszystko.

I im bardziej potwór narzekał i ubolewał, że odłożyć podróż to narazić się na nieobliczone szkody, tym większe sumy dobrowolnie składali mu chorzy.

Gdy w końcu suma wydawała się doktorowi Wassory dostateczną, ustępował — i jeszcze tego samego dnia, zanim by jakiś wypadek mógł jego plan odkryć, zaszczepiał zdrowym oczom nieuleczalne cierpienie, bezustanną trwogę oślepienia, która zamieniała życie w torturę; ślady jednakże tego łotrostwa były na zawsze zatarte.

Dzięki takim operacjom zdrowych oczu doktor Wassory nie tylko powiększał swoją sławę niezrównanego lekarza, któremu za każdym razem udało się wstrzymać grożącą ślepotę, lecz jednocześnie zaspakajał swoją beźmierną chciwość i składał daninę swej próżności, gdy nieświadome na ciele i majątku pokrzywdzone ofiary uważały go i ceniły jako swego zbawcę.

Tylko człowiek, który wszystkimi nerwami tkwił w Getcie i w jego niezliczonych niedostrzegalnych, a jednak niepokonanych środkach i zasobach; który się od dzieciństwa uczył czatować w zasadzce jak pajak; który znał każdego człowieka w mieście i przejrzał każdego we wszystkich stosunkach i warunkach życiowych — tylko taki — „pół jasnowidzący” — jak go możemy nazwać — mógł przez długie lata popełniać tego rodzaju ohydy.

I gdyby nie ja, to do dzisiaj prowadziłby on jeszcze swoje rzemiosło, praktykowałby je do późnej starości i w końcu jako szanowany patriarcha⁷¹, w kole swych drogich⁷², wciąż powszechną otoczony, używałby schyłku żywota — aż by w końcu zdechł jak pies.

⁶⁸zgryziony (daw.) — zmartwiony (por. zgryzota).

⁶⁹wdać się — włączyć się.

⁷⁰ruch musowy — dziś raczej: ruch wymuszony.

⁷¹patriarcha — tu: głowa rodziny.

⁷²drodzy — bliscy.

Lecz ja również wyrosłem w Getcie, moja krew również nasiąkła atmosferą piekielnej chytryści i dlatego mogłem go doprowadzić do upadku, tajemniczo tak, jak siły niewidzialne gubią tych, których chcą zgubić. Rzekłbyś — z jasnego nieba piorun w niego uderzył.

Doktor Savioli, młody lekarz niemiecki⁷³, miał tę zasługę, że go zdemaskował; ja to wysunąłem doktora Savioli na zewnątrz; sam zaś gromadziłem dowód za dowodem, aż nastał dzień, w którym władza państwowa nałożyła rękę na doktorze Wassorym.

Wtedy zwierz popełnił samobójstwo. Błogosławiona to chwila!

Jak gdyby mój sobowtór stanął przy nim i prowadził jego rękę, aby życie sobie odebrał z tej flaszeczki amylinitrytu⁷⁴, którą naumyślnie zostawiłem w jego gabinecie przy sposobności, gdy pewnego razu celowo sam go doprowadziłem do tego, że i mnie postawił fałszywą diagnozę jaskry: przy czym szczerze i gorąco życzyłem mu, aby ten amylinitryt zadał mu cios ostateczny.

W mieście mówiono, że umarł na paraliż mózgu. W istocie amylinitryt zabija jak paraliż mózgu. Lecz pogłoska ta długo utrzymać się nie mogła.

Zemsta

Samobójstwo

Charousek skamieniał nagle i ustał nieruchomy, jak gdyby się zagłębił w jakiś problemat: potem spojrzał w kierunku tandeciarni Wassertruma.

— Teraz — szeptał — on jest sam, zupełnie sam ze swoją chciwością — i — i ze swoją lalką woskową!

Lalka

Serce mi uderzało jak młotem.

Ze zgrozą spoglądałem na Charouska. Czy miał pomieszanie zmysłów? Gorączka mu widocznie podsuwa takie fantastyczne opowieści.

Naturalnie, naturalnie. Wszystko to on wymyślił, uroił sobie, wyśnił.

Nie mogą być prawdą te okropne rzeczy, jakie mówił o okuliście. To suchotnik⁷⁵: gorączka śmierci mózg jego trawi.

Chciałem go uspokoić jakimś żartobliwym słowem i myśli jego skierować na weselsze tory.

Nagle, zanim znalazłem odpowiednie słowo, błyskawicznie przypomniałem sobie twarz Wassertruma z rozciętą górną wargą, tak jak wtedy, gdy przez otwarte drzwi spoglądał do mego pokoju okrągłymi, rybimi oczyma.

Doktor Savioli! doktor Savioli! — tak, tak się nazywał ów młody człowiek, o którym mi poufnie szepnął jasełkarz⁷⁶ Zwak jako o znakomitym lokatorze, który od niego wynajął pracownię.

Doktor Savioli! Jak krzyk nurtowało we mnie to imię. Szereg mglistych obrazów przesuwał się przed moją myślą, prześcigał się w strasznych domysłach, które na mnie runęły jak burza.

Chciałem rozpytać Charouska, pełny lęku wszystko mu opowiedzieć, czego wtedy doznałem: gdy naraz⁷⁷ widzę, że studenta opanował gwałtowny atak kaszlu, który go niemal wywraçał. Mogłem tylko zauważyć, jak to on, z trudem opierając się rękami, dreptał w deszcz — i na odchodnym pobieżnie skinął mi głową.

Tak, tak, czuję, on ma słuszość. Nie majaczy w gorączce; nieujęte widmo zbrodni czai się tu w tych ulicach we dnie i w nocy i pragnie się ucieleśnić.

Zawisło w powietrzu, a my go nie dostrzegamy. Nagle wpada w którą z ludzkich dusz — nikt z nas tego nie przeczuwa. A kiedy w końcu zdążymy to pojąć — widmo traci swoją postać i wszystko jest po dawnemu. I tylko niewyraźne szmery, niewyraźne słowa o jakimś okropnym zdarzeniu dochodzą do nas.

W jednym momencie zrozumiałem te zagadkowe stworzenia, które mieszkają naokoło mnie; bez woli własnej wloką się one przez byt, ożywione jakimś niewidzialnym prądem

Zło

⁷³doktor Savioli, młody lekarz niemiecki — dalej mówi się o nim jako o Włochu.

⁷⁴amylinitryt — azotyn amylu, stosowany jako środek obniżający ciśnienie krwi i napięcie mięśni gładkich bądź jako antidotum na zatrucie cyjankiem.

⁷⁵suchotnik — gruźlik.

⁷⁶jasełkarz — lalkarz.

⁷⁷naraz — nagle.

magnetycznym, co tak przez ich istotę przepływa, jak przedtem bukiet ślubny płynął po strugach brudnego ścieku.

Zdało mi się nagle, że wszystkie domy spoglądały na mnie podstępny obliczem, pełne bezimiennej złośliwości; wrota były jak czarne, szeroko rozwarte gęby, w których język wygnił do cna; wielkie paszcze, które każdej chwili mogły wyrzucić przeraźliwy krzyk, tak przeraźliwy i pełny nienawiści, że zatrwożył by nas wskroś po sam rdzeń duszy.

Cóż to na zakończenie mówił mi student o tandeciarzu? — Szeptem powtarzałem sobie jego słowa: — „Aron Wassertrum jest obecnie sam na sam ze swoją chciwością i swoją lalką woskową”.

Cóż on rozumiał pod tą „lalką woskową”?

To musi być przenośnia, uspakajałem się, jedna z tych chorobliwych metafor, którymi Charousek lubi wywoływać podziw, których się nie rozumie, a które później, gdy niespodzianie staną się przejrzyste, tak głęboko mogą uderzyć naszą myśl, jak przedmioty niezwykłej formy, na które nagle padł jaskrawy promień światła.

Odetchnąłem głęboko, aby się uspokoić i odepchnąć straszne wrażenie, jakie sprawiała na mnie opowieść Charouska.

Spojrzałem uważniej na ludzi, którzy wraz ze mną czekali w sieni domu: teraz stał przy mnie gruby starzec, ten sam, który przedtem śmiał się tak odrażająco.

Miał na sobie czarny płaszcz i czarne rękawiczki. Nieruchomo nabrzmiałym okiem spoglądał na bramę przeciwnego domu.

Jego gładko wygolona twarz o pospolitych rysach drgała z podniecenia.

Mimo woli spojrzałem w tym samym kierunku i spostrzegłem, że jego wzrok jak oczarowany spoczywa na rudowłosej Rozynie, która stała na przeciwnej stronie ulicy ze swoim niezmiennym uśmiechem na ustach.

Starzec próbował dawać jej znaki. Widziałem, że Rozyna doskonale to zauważyła, ale zachowywała się, jak gdyby nic nie rozumiejąc. Wreszcie starzec nie wytrzymał. Przebrnął na palcach na drugą stronę ulicy, ze śmieszną elastycznością przeskoczył kałużę — niby duża, czarna piłka kauczukowa.

Zdaje się, że go tu w okolicy znano, gdyż usłyszałem ze wszech stron uwagi, dotyczące jego osoby. Stojący tuż za mną jakiś włóczęga z czerwoną wełnianą chustką na szyi, w niebieskiej furażerce⁷⁸ wojskowej, z cygarem Virginia za uchem — robił ustami jakieś szydercze miny, których nie rozumiałem.

Zrozumiałem tylko, że w żydowskim mieście — nazywali starego „wolnym mularzem”⁷⁹, a w ich gwarze to przezwisko oznaczało kogoś, co poszukiwał dziewcząt małoletnich, ale dzięki serdecznym stosunkom z policją zabezpieczony był od wszelkiej nieprzyjemności.

Później twarz Rozyny i postać starca zniknęły w mrokach sieni.

PONCZ⁸⁰

Otworzyliśmy okno, żeby wypuścić dym tytoniowy z mego małego pokoju.

Zimny wiatr nocny wionął do środka i poruszył płaszcze tak, że się z lekka zaczęły kołysać.

— Szanowna ozdoba głowy Prokopa najchętniej by się stąd gdzie wyniosła — powiedział Zwak i wskazał na wielki kapelusz muzyka: szerokie rondo kapelusza poruszało się jak czarne skrzydła.

Jozue Prokop wesoło mrugnął powiekami.

— Wyniosłaby się — rzekł — najchętniej by się wyniosła.

— Poleciałaby do Loisczka na muzykę taneczną — zabrał głos Vrieslander.

Prokop zaczął się śmiać i ręką jął⁸¹ uderzać w takt do wtóru dźwiękom, które fala zimowego powietrza unosiła poprzez dachy.

⁷⁸furażerka — miękka, podłużna czapka bez daszka.

⁷⁹wolny mularz — w znaczeniu podstawowym: członek masonerii.

⁸⁰poncz — rodzaj gorącego napoju alkoholowego.

⁸¹jąć (daw.) — zacząć.

Lalka

Sztuka

Eroryzm

Śpiew

Potem zdjął ze ściany swoją starą, połamaną gitarę; udawał, że dotyka rozpękniętych strun i zaśpiewał skrzeczącym falsetem i przeciągłym akcentem dziwną śpiewkę w gwarze złodziejskiej.

„An Bein — del von Ei — sen⁸²
recht alt
An Stran — zen net gar
a so kalt
Messinung, a' Raucherl
und Rohn
und immerrr nurr putzen — — —

— Jak on wspaniale i prędko nauczył się mowy złodziejskiej! — i Vrieslander roześmiał się głośno i zanucił:

„Und stock — en sich Aufzug
und Pfiff
Und schmallen an eisernes
G'süff.
Juch —
Und Handschuhkren, Harom net san — — —

— Tę osobliwą śpiewkę co wieczór grzechoce u Loiziczka myszugen⁸³ Neftali Szafranek z zielonym daszkiem, a wyszminekowana kobieta gra na harmonice i mruczy tekst — objaśnił mnie Zwak. Musisz też kiedy iść z nami do tego szynku, mistrzu Pernath! Może później, kiedy skończymy poncz. Jak pan sądzi? Dla uczczenia dzisiejszego dnia pańskich urodzin.

— Tak jest. Chodź pan z nami później — rzekł Prokop i zamknął okno — Trzeba to zobaczyć.

Potem wypiliśmy gorący poncz i oddaliśmy się swoim myślom.

Vrieslander wycinał jakąś marionetkę⁸⁴.

— Jozue — przerwał ciszę Zwak — wyście nas formalnie odcięli od świata zewnętrznego! Od chwili, gdyście zamknęli okno — nikt ani słowem się nie odezwał.

— Myślałem właśnie, gdy tu przed chwilą nasze pałta zaczęły się kołysać, jakie to dziwne, że wiatr porusza rzeczy martwe! — szybko odpowiedział Prokop, jakby chciał usprawiedliwić swe milczenie. — Jest to zdumiewające, gdy nagle zaczynają się trzępotać przedmioty, które zazwyczaj leżą bez życia. Nieprawdaż? Widziałem kiedyś, jak na pustym podwórku wielkie strzępy papieru (choć nie czułem wcale wiatru, gdyż stałem osłonięty domem) goniły się w kółko z wściekłością i ścigały się wzajemnie, jakby sobie śmierć zaprzysięgły. Chwilę później zdawały się uspokojone, gdy naraz napadła je znowu szalona zawziętość i z uporem bezmyślnym razem w kąt się wcisnęły, na nowo się rozprysły i w końcu zniknęły za rogiem. Tylko jakaś gruba gazeta nie mogła podążyć za nimi; została na chodniku, podnosiła się i opadała bezradnie, jakby jej tchu zabrakło i z trudem chwyciła powietrze. Wówczas przyszło mi do głowy mroczne podejrzenie: cóż, jeżeli w końcu nasze życie niczym innym nie jest, jak takim strzępką papieru? Czy to nie jaki niewidzialny, nieuchwytny wiatr pomiata nami w tę i ową stronę — i nadaje kierunek naszym czynom, gdy nam roi się w zaślepieniu, że idziemy za naszą własną wolną wolą? Cóż, jeżeli nasze życie niczym więcej nie jest, jak zagadkowym wiatrem wirowym,

Kondycja ludzka

⁸²An Bein — del von Ei — sen — Piosenka w gwarze złodziejskiej prasko-niemieckiej nie nadaje się do przekładu. Podajemy ją w oryginale (przyp. tłum.) Piosenka opowiada o groźeniu nożem, zabieraniu pieniędzy i przepuszczaniu ich; Red.WL.

⁸³myszugen — właśc. *meszugene* (jidisz): wariat, pomyłony.

⁸⁴marionetka — lalka poruszana za pomocą sznurków.

wiatrem, o którym Biblia mówi: wiesz-li, skąd on przybywa i dokąd idzie?⁸⁵ Czyż nie śni się nam czasem, że stoimy w głębokiej wodzie i łowimy srebrne ryby, a nic innego się nie stało, prąd zimnego powietrza musnął nasze ręce?

— Prokopie, mówicie słowami Pernatha. Cóż to się z wami dzieje? — pytał Zwak i nieufnie spojrzał na muzyka.

— Historia o księdze *Ibbur*⁸⁶, którą przedtem mistrz nam opowiadał. Szkoda, żeście przyszli tak późno, i żeście jej nie słyszeli! Ta historia jakby echem w nim przemawia — powiedział Vrieslander.

— Historia o księdze?

— Właściwie historia o człowieku, który przyniósł książkę i wyglądał dziwnie. Pernath nie wie, jak się ten człowiek nazywa, gdzie mieszka, czego chciał, a chociaż jego postać musi być bardzo uderzająca — nie da się jednak żadną miarą⁸⁷ określić dokładnie.

Zwak przysłuchiwał się rozmowie.

— To jest godne zastanowienia — rzekł po chwili. Czy obcy nie był czasem gołobrody i czy nie miał oczu skośnych, zezowatych?

— Zdaje się — odpowiedziałem — to jest — ja — ja — tak — tak — wiem to na pewno. Więc go znacie?

Jasiek⁸⁸ głową potrząsnął:

— On mi tylko kogoś przypomina... To jakby Golem.

Malarz Vrieslander opuścił nożyk swój na ziemię.

— Golem? Już tak wiele o nim słyszałem. Czy wiecie coś o Golemie, Zwak?

— Któż może powiedzieć, że coś wie o Golemie? odpowiedział Zwak i wzruszył ramionami. — Zaliczają go do dziedziny baśni, aż pewnego dnia zdarza się coś, co nagle znów powołuje go do życia. I długo jeszcze potem każdy o nim mówi i fama rozrasta się do potworności. Mówią, że początek tej historii sięga aż wieki wieków. Podług dawno zaginionych opowieści, pewien rabin⁸⁹ kabalista⁹⁰ miał sporządzić sztucznego człowieka — tak zwanego Golema — który jako posługacz pomagał mu dzwonić w synagodze⁹¹ i wykonywał różne cięższe roboty.

Lecz z tej operacji nie powstał bynajmniej prawdziwy człowiek, ożywiła go tylko ślepa, na pół świadoma dusza wegetacyjna. Jak mówią nadto, działo się to tylko za dnia i dzięki wpływom magnetycznej kartki, zatkniętej za zębami — wyzwalalo astralne⁹² siły bytu.

I gdy pewnego wieczoru po modlitwie rabin zapomniiał z ust Golema wyjąć pieczęć, ten wpadł w szal, w ciemnościach wybiegł przez ulice i rozbijał, co mu stanęło po drodze.

Aż w końcu rabin wybiegł naprzeciw niego i czarodziejską kartkę zniszczył. Wtedy ów stwór runął bez życia. Nic nie zostało po nim, prócz karłowatej figurki glinianej, którą dziś jeszcze pokazują w starej synagodze. —

— Ten sam rabin — dodał Prokop — wezwany był przez cesarza do Burgu⁹³, aby wywołać cienie umarłych i uczynić je widzialnymi⁹⁴. Dzisiejsi badacze twierdzą, że posługiwał się latarnią magiczną⁹⁵.

Książka, Gość

Pamięć

Czary, Podstęp

⁸⁵wiesz-li, skąd on przybywa i dokąd idzie? — por. J 3,8: Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha.

⁸⁶*ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcieleśną jakiejś misji.

⁸⁷żadną miarą — w żaden sposób.

⁸⁸jasek — lalkarz.

⁸⁹rabin — (z hebr. *rabbi*, czyli nauczyciel), funkcja religijna w judaizmie.

⁹⁰kabalista — znawca Kabały, to jest mistycznej doktryny judaistycznej, na której oparty był m. in. ruch chasydzki.

⁹¹synagoga — żydowski dom modlitw, niekiedy również siedziba instytucji takich jak sąd rabinacki.

⁹²astralny — tu: niematerialny.

⁹³Burg (niem.) — zamek.

⁹⁴wezwany był przez cesarza do Burgu, aby wywołać cienie umarłych i uczynić je widzialnymi — w Polsce istnieje podobna legenda o Zygmuncie Augustcie wzywającym mistrza Twardowskiego, by ten umożliwił mu kontakt ze zmarłą Barbarą Radziwiłłówną.

⁹⁵latarnia magiczna — rodzaj projektora, znanego już w XVII w., rzutującego obrazy ze szklanych przeźroczy.

— Tak, żadne wyjaśnienie nie jest dość średniowieczne, jeżeli u współczesnych nie znajdzie poklasku — pewny siebie rzeczce Zwak. — Jak gdyby cesarz Rudolf⁹⁶, który całe życie zajmował się takimi rzeczami, nie przejrzał natychmiast takiego kuglarstwa⁹⁷! Właściwie nie wiem, skąd pochodzi baśń o Golemie, ale to wiem, że owo coś, co umrzeć nie może, istnieje i że jego istnienie związane jest z tą dzielnicą. — Z pokolenia w pokolenie mieszkali tu moi przodkowie, lecz nikt nie zna tyłu, co ja — rzeczywistych i zasłyszanych wspomnień o periodycznych⁹⁸ zjawach⁹⁹ Golema.

Zwak nagle zamilkł i razem z nim czuleś, jak jego myśli cofały się wstecz ku czasom zamierzchłym i ubiegłym.

Gdy z podniesioną głową siedział przy drzwiach, a w blasku światła lampy jego czerwone, młodzieńcze policzki odcinały się dziwnie od siwych włosów, mimo woli porównywałem jego twarz z maseczkami jego kukielek, które mi pokazywał tak często. Dziwne, jak ten starzec był do nich podobny. Ten sam wyraz i ten sam owal twarzy.

Są na świecie rzeczy, które nie mogą się wyzwolić same od siebie. I rozpatrując losy Zwaka, uważałem za rzecz niesłychaną, żeby człowiek taki jak on, który otrzymał wychowanie lepsze niż jego przodkowie i który mógł być doskonałym aktorem, powrócił nagle do brudnego pudła marionetek, aby włóczyć się po jarmarkach i wykonywać lalkami niezręczne ukłony, przedstawiając senne przygody tych lalek, które jeszcze jego przodkom były źródłem zarobkowania. —

Rozumiałem, że nie był w stanie rozstać się z nimi; żył ich życiem, a gdy się od nich oddalał, zamieniały się one w jego myśli, zamieszkiwały w jego mózgu i nie dawały mu spokoju, póki nie powrócił. Dlatego też kochał je i dumnie ubierał w błyskotki.

— Zwak, nie opowiesz nam nic więcej? — zagadnął Prokop starca i pytająco spojrzał na Vrieslandera i na mnie, czy nie dzielimy jego życzenia.

— Nie wiem, od czego zacząć — odparł z wahaniem Zwak — od czego zacząć? Historię Golema trudno ułożyć. Jak wam Pernath mówił, nie wiadomo dokładnie, jak ten nieznajomy wyglądał i niepodobna go określić. Mniej więcej co lat 33 powtarza się pewne zdarzenie na naszych ulicach, które, choć nie ma w sobie nic osobliwego, wywołuje zdumienie. Zdarzenie to wymaga pewnych objaśnień i uzupełnień. Mianowicie bywa tak, że zupełnie obcy człowiek, bez zarostu, o żółtym kolorze twarzy na podobieństwo rasy mongolskiej, staromodnie ubrany, wychodzi z ulicy Staroszkolnej, przechodzi przez dzielnicę żydowską — idąc miarowym, dziwnie utykającym krokiem, jakby każdej chwili miał upaść przed siebie — i nagle — znika bez śladu. Zazwyczaj skręca w pewną ulicę — i tam przepada. Czasami trafia się, że ruchem swoich kroków opisuje koło i powraca do punktu, z którego wyszedł, do starego domu w pobliżu synagogi. Ten i ów wzburzony zapewnia, że go widział na rogu, jak szedł naprzeciwko, a jednak choć najwyraźniej widział go naprzeciwko, jego postać rozplywa się w oddali, zmniejsza się coraz bardziej, a w końcu znika zupełnie.

Przed 66 laty wrażenie, jakie obudził, było szczególnie głębokie, gdyż przypominam sobie — byłem wtedy zupełnie małym chłopcem — przeszukiwano dom na Staroszkolnej od góry do dołu. Stwierdzono, że istnieje rzeczywiście w tym domu pokój o oknach okratowanych, do którego nie masz¹⁰⁰ żadnego wejścia. We wszystkich oknach zawieszono białinę, żeby z ulicy można było od razu rzecz ocenić — i tym sposobem natrafiono na ślad rzeczywisty.

Nic więcej nie uzyskano. Pewien człowiek, chcąc zajrzeć do środka, spuścił się z dachu na linie. Zaledwie jednak zbliżył się do okna, lina się zerwała i nieszczęsny rozbił czaszkę o chodnik uliczny. Później, gdy badanie ponawiano, spoglądano w okno z pewnej odległości.

Ja sam spotkałem Golema blisko przed 33 laty. Wyszedł z tak zwanego domu przechodniego naprzeciw mnie tak, że szliśmy prawie tuż obok siebie. — Jeszcze dzisiaj nie

Lalka

Artysta

Śmierć, Tajemnica

⁹⁶cesarz Rudolf — Rudolf II Habsburg (1552–1612), król Czech i Węgier, arcyksiążę Austrii i król Niemiec, co pozwalało mu na dziedziczenie tytułu cesarza. Z czasem stracił władzę na rzecz brata Macieja. Zasłynął jako badacz nauk tajemnych, patron alchemików i okultystów.

⁹⁷kuglarstwo — sztuczka.

⁹⁸periodyczny — następujący okresowo, w pewnych odstępach czasu.

⁹⁹zjawia — tu: pojawienie się.

¹⁰⁰nie masz (daw.) — nie ma (nieosobowa forma czasownika).

mogę pojąć, co wtedy działo się we mnie. Każdy spodziewał się z dnia na dzień spotkać Golema. Lecz w danej chwili, na pewno — najpewniej, zanim go ujrzałem — zabrzmiał we mnie jakiś krzyk: Golem! I w tej samej chwili wynurzył się ktoś z ciemności bramy — i ów nieznajomy przeszedł koło mnie. W mgnieniu oka później wpadła na mnie fala bladych, podnieconych postaci, która zasypała mnie pytaniami, czy go widziałem. Gdym odpowiedział na pytania, spostrzegłem, że język mój, którego przedtem nie czułem, uwolnił się od kurczu. Byłem formalnie zdumiony, że mogę się poruszać i najwyraźniej uświadomiłem sobie, że w przeciągu jednego uderzenia serca znajdowałem się jakby w letargu.

Wiele i często myślałem o tym i zdaje mi się, że będę najbliższy prawdy, jeżeli powiem: zawsze w życiu pokolenia raz jeden przebiega błyskawiczna epidemia duchowa w dzielnicy żydowskiej, napada umysły żyjących w jakimś nieokreślonym celu, który dla nas na zawsze zostaje ukryty — i jak widziadło przybiera kontury jakiejś charakterystycznej istoty, która zapewne żyła tu przed wiekami i pragnie się ucieleśnić. Być może jest ona między nami, ale my nie uważamy jej za rzeczywistą. Podobnie nie słyszymy dźwięku drgającego kamertonu¹⁰¹, o ile nie dotkniemy nim kawałka drzewa, co je pobudza również do drgania. Być może jest to tylko coś niby psychiczny wytwór sztuki bez immanentnej¹⁰² świadomości — wytwór sztuki, który powstaje tak, jak kryształ wyłania się z bezkształtności podług pewnego starego prawa. — Któż to wie?

Jak w parne dni do najwyższego stopnia rośnie napięcie elektryczności, aż w końcu wywołuje błyskawicę: czyż nie mogło być tak samo, że z nagromadzonych tu i nigdy niezmiennających się myśli, które w Getcie zatrują powietrze, również następuje gwałtowne, nagłe ich wyładowanie, eksplozja psychiczna, która naszą senną świadomość na światło dzienne niby biczem pędzi — tworząc tam błyskawicę naturalną — tu zaś widmo, które w wyrazie twarzy, ruchu i zachowaniu nieomylnie objawić się musi we wszystkich razem i w każdym z osobna, jako symbol duszy tłumu, o ile jesteśmy w stanie dokładnie rozumieć tajemniczą mowę form zewnętrznych.

I jak niektóre zjawiska zapowiadają uderzenie piorunu — tak i tu pewne groźne wróżby świadczą o bliskim zejściu tego widma do królestwa rzeczywistości. Kęś¹⁰³ opadniętego starego muru przybiera postać krocącego człowieka, a w szronie na oknach tworzą się rysy stężonych twarzy. Piasek z dachu zdaje się spadać inaczej niż zwykle — i w nieufnym przechodniu budzi się podejrzenie, że jakaś niewidzialna inteligencja, która w obawie światła kryje się tajemnie, rzuca go na ziemię, próbując w sposób nieokreślony urobić zeń wszelkiego rodzaju postacie, wyłaniające się ku bytowi. Gdy oko spocznie na jednostajnej zmarszczce lub nierówności skóry, opanowuje nas zdolność, by wszędzie dostrzegać dziwne kształty, które w naszych rojeniach urastają do rozmiarów olbrzymich. I wciąż poprzez te schematyczne zakusy nagromadzonych myśli, które mają przeciągać skroś codzienności, niby czerwona nić płynie bolesna pewność, że nasza najbardziej wewnętrzna treść umyślnie a wbrew naszej woli bywa tu wysysana, aby z niej postać widma mogła być uplastyczniona.

Skorom usłyszał zapewnienie Pernatha, że był u niego człowiek bez zarostu, o skośnych oczach, natychmiast stanął w mojej myśli Golem, tak jak go widziałam wówczas. Stanął przede mną, jak gdyby wyrósł z ziemi. Na chwilę ogarnęła mnie głucha trwoga, że blisko mnie znajduje się coś niewytłumaczonego; taka sama trwoga, jaką raz przeżyłem już w swoich latach dziecięcych, gdy pierwsze groźne zapowiedzi, że Golem się zbliża, rzucały swe cienie.

Jest temu lat 66 i sprawa ta wiąże się z wieczorem, kiedy narzeczonej mojej siostry przyszedł do nas w odwiedziny i kiedy miano oznaczyć dzień ślubu.

Żartem lano wtedy olów. Ja stałem z rozdziawionymi ustami — i nie rozumiałem istoty tej zabawy. W bujnej swej wyobraźni dziecinnej łączyłem to z Golem, o którym często słyszałem od swego dziadka. Wyobrażałem też sobie, że każdej chwili drzwi się muszą otworzyć i nieznajomy wejdzie. Siostra moja wylała z łyżki płynny metal w naczynie z wodą i roześmiała się wesoło, widząc moje wzruszenie. Zwiędłą drżącą ręką dziadek

Omen

¹⁰¹kamerton — urządzenie wydające dźwięk o stałej wysokości, używane do strojenia instrumentów.

¹⁰²immanentny (filoz.) — zawarty w czymś.

¹⁰³kęś — tu: kawałek.

mój wyjął ołowianą figurę i trzymał ją pod światło. Nagle powstało ogólne zdumienie. Rozmawiano głośno między sobą. Chciałem się do nich docisnąć, ale mnie odsunęto.

Później, gdy byłem starszy, powiedział mi mój ojciec, że roztopiony ołów przybrał formę małej, bardzo wyraźnej głowy — równej i okrągłej, jak gdyby ulanej w sztancy — a tak podobnej z rysów do Golema, że wszyscy byli w podziwieniu.

Często rozmawiałem o tym z archiwistą Szemajahem Hillelem, który przechowuje rzeczy starej synagogi i ma pewną figurę z czasów cesarza Rudolfa. Jest on doskonałym znawcą Kabały¹⁰⁴ i sądzi, że owa bryłka gliniana o nibyludzkich członkach¹⁰⁵ jest to nic innego, jak jakaś dawna wróżba, podobnie jak w moim wypadku ołowiana głowa. Nieznajomy, który zniknął, musiał to być obraz fantazji lub myśli; obraz ten ów rabin średniowieczny pierwszy pomyślał żywym, zanim go zdołał przyodziać materią — a teraz w prawidłowych¹⁰⁶ odstępach czasu, w tymże samym astrologicznym układzie gwiazd, w jakim powstał — obraz ten, widmo raczej, powraca, udręczone pragnieniem życia materialnego.

Także zmarła żona Hillela widziała Golema oko w oko i czuła, że jest niby w letargu¹⁰⁷ póty, póki ta zagadkowa postać znajduje się w pobliżu. Miała — powiada — niezłomne przekonanie, że kiedyś mogła to być jej własna dusza, która — na chwilę ciało jej opuściwszy — stanęła na przeciw niej i zeszytywniała z rysami obcej istoty na twarzy. Mimo straszne przerażenie¹⁰⁸, które ją wówczas opanowało, na sekundę jednak nie straciła świadomości, że ów obcy może być tylko częścią jej własnej duszy.

— To nie do wiary — szepnął zagłębiony w myślach Prokop.

Malarz Vrieslander był także zaszperany w głębokim rozważaniu tej tajemnicy.

Wówczas zapukano do drzwi. Weszła stara kobieta, która mi wieczorem przynosi wodę i w ogóle to, co mi potrzebne; postawiła gliniany dzbanek na podłodze i wyszła w milczeniu.

Wszyscy nagle spojrzeliśmy dokoła, rozglądając się po pokoju — niby przebudzeni ze snu, ale przez długi czas jeszcze nikt nie przemówił ani słowa.

Jakby jakiś nowy wpływ wślizgnął się wraz ze starą we drzwi, wpływ, do którego pierw trzeba się było przyzwyczaić.

— Ale! Ta ruda Rozyna — to jest także twarz, której niepodobna się pozbyć — a która ci nieustannie wygląda z każdego rogu i z każdego kąta — powiedział nagle Zwak bez żadnego związku z tym, o czym była mowa. Ten stężały, wyszczerzony uśmiech znam już niemal cały wiek ludzki. Naprzód babka, potem matka! I zawsze ta sama twarz, i nigdy innych rysów. I zawsze to samo imię Rozyna; zawsze jedna jest zmartwychwstaniem drugiej.

— Czy Rozyna nie jest córką tandeciarza¹⁰⁹ Arona Wassertruma? — zapytałem.

— Tak mówią — odparł Zwak — — — ale Aron Wassertrum miał synów i córki, o których nic nie wiadomo. Także co do matki Rozyny nic nie wiadomo: nie wiadomo, kto był jej ojcem — i również co się z nią stało. W piętnastym roku życia urodziła dziecko i odtąd już się nie pokazała. Jej zniknięcie wiąże się z zabójstwem, które, o ile sobie przypominam, miało miejsce w tym domu. —

Jak dziś jej córka, zawracała ona wtedy głowy niedorosłym chłopcom. Jeden z nich żyje jeszcze — widuję go często — ale imię jego wyszło mi z pamięci. Pozostali wkrótce umarli i myślę, że ona ich wszystkich przedwcześnie powiodła do grobu. Z tego czasu przypominam sobie tylko krótkie epizody, które przesuwają się w mojej pamięci, jak blade obrazy.

Był wtedy na wpół zidiociały człowiek, który nocami chodził od szynku do szynku i wycinał za parę centów gościom sylwetki z czarnego papieru. I gdy go kto upił, człowiek ten wpadał w niewypowiedziany smutek, i wśród łez i łkań, nie słuchając, wycinał zawsze ten sam ostry, dziewczęcy profil, a zużywał na to cały zapas papieru.

¹⁰⁴Kabała — mistyczna doktryna judaistyczna, na której oparty był m. in. ruch chasydzki.

¹⁰⁵członki (daw.) — kończyny.

¹⁰⁶prawidłowy — tu: regularny.

¹⁰⁷letarg — stan śmierci pozornej.

¹⁰⁸mimo straszne przerażenie — dziś popr.: mimo strasznego przerażenia.

¹⁰⁹tandeciarz — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

Milczenie

Smutek, Tęsknota

Na koniec muszę dodać, o czym dawno zapomniałem, że za dziecinnych lat kochał się on w niejkiej Rozynie, zapewne w babce dzisiejszej Rozyny, i że przez to stracił rozum. Policzywszy lata, sądzę, że nie mógł to być nikt inny, tylko babka Rozyny.

Zwak umilkł i w tył się przechylił.

Przeznaczenie w tym domu błądzi dokoła i powraca zawsze do tego samego punktu — przyszło mi do głowy — i wstrętny obraz, który niegdyś widziałem — kota z okaleczoną połową mózgu, a który wciąż kręcił się w koło — stanął mi przed oczyma.

— Teraz będzie Golem — usłyszałem nagle malarza Vrieslanda, który mówił dobitnym głosem.

Wyjął okrągły kawałek drzewa i zaczął go wycinać. Ciężkie zmęczenie padło mi na oczy i odsunąłem swój fotel ze światła w głąb pokoju.

Woda na poncz wrzała w kociołku, a Jozue Prokop napełnił znów szklanki.

Cicho, zupełnie cicho zabrzmiały przez zamknięte okna dźwięki tanecznej muzyki; niekiedy głuchły zupełnie, potem znów się budziły, jak gdyby wiatr je gubił po drodze lub z ulicy do nas donosił. Po chwili spytał mnie muzyk, czy nie chcę się trącić szklankami.

Nie odpowiedziałem jednak — tak zupełnie odeszła mnie wola ruchu, że nawet otwarcie ust leżało poza nią. Zdawało mi się, że śpię, tak opanowała mnie konieczna cisza wewnętrzna. I aby mieć świadomość, że nie śpię, musiałem patrzeć wciąż na błyskający nóż Vrieslandera, który bez przerwy wycinał z drzewa drobne wzorki.

W oddali szemrał głos Zwaka, który znowu opowiadał najróżniejsze cudowne historie o marionetkach i nadzwyczajne baśnie, które wymyślał dla swoich lalek.

Była również mowa o doktorze Savioli i o znakomitej damie, żonie jakiegoś szlachcica, która skrycie odwiedzała doktora Savioli w tajemniczej pracowni.

I znowu zobaczyłem w myśli szyderską¹¹⁰, tryumfującą minę Arona Wassertruma.

Rozważyłem, że nie warto zadawać sobie trudu, aby podzielić się ze Zwakiem tym, co się wtedy działo. Chociaż wiedziałem, że wola mi odmówi, pragnąłem jednak teraz spróbować przemówić.

Nagle wszyscy trzej siedzący przy stole spojrzeli uważnie na mnie i Prokop powiedział zupełnie głośno: „On zasnął!” — tak głośno, że brzmiało to prawie, jak gdyby się pytał.

Rozmawiali dalej przytłumionym głosem i poznałem, że mówią o mnie. Nóż Vrieslandera tańczył, tu i ówdzie chwytając światło lampy, a odbite promienie raziły mnie w oczy. Padło słowo jak: „Zwariować” — przysłuchiwałem się rozmowie, prowadzonej w tym kółku.

— Tematów takich, jak o „Golemie” nie należy poruszać przy Pernacie — powiedział z wymówką Jozue Prokop — gdy opowiadał o książce *Ibbur*¹¹¹, zamilkliśmy i nie pytali więcej. Ręczę, że mu się to wszystko tylko śniło.

Zwak potwierdził:

— Macie zupełną słuszność. Doznajesz wrażenia, jakbyś chciał przekroczyć, ze światłem, zapyłony pokój o ścianach i suficie obciążonych spróchniałym sukrem i podłodze pokrytej na wysokość stopy¹¹² suchym próchnem przeszłości; przy najdelikatniejszym dotknięciu wnet płomień wybucha ze wszystkich kątów.

— Czy Pernath był długo w szpitalu wariatów? Szkoda go, może mieć zaledwie czterdzieści lat — powiedział Vrieslander.

— Tego nie wiem i nie mam pojęcia, skąd on może pochodzić i jaki dawniej był jego zawód. Z postaci przypomina szlachcica starofrancuskiego, dzięki swojej wysmukłej postaci i ostrej brodzie. Przed wielu, wielu laty prosił mnie jeden stary doktor, abym się nim trochę zajął i wyszukał mu małe mieszkanie tutaj w tych ulicach, gdzie by nikt go nie śledził i niepokoił go pytaniami o przeszłych czasach. — Zwak znów spojrzał na mnie. —

¹¹⁰szyderski — dziś popr.: szyderczy.

¹¹¹ibbur — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

¹¹²stopa — dawna miara długości, ok. 30 cm.

Od tego czasu mieszka tu, reperuje antyki, wycina kamee¹¹³ i tym zapewnia sobie trochę egzystencji. To szczęście dla niego, że zapomniał o wszystkim, co ma związek z jego pomieszaniem zmysłów. Nie pytajcie się go przypadkiem nigdy o rzeczy, które mogłyby w jego pamięci wywołać przeszłość, jak to często mi tłumaczył stary doktor. Mówił mi zawsze: „Wiedzie, Zwak, mamy pewną metodę; mógłbym powiedzieć, że zamurowaliśmy z trudem jego chorobę, tak, jak odgradza się miejsca nieszczęścia, gdyż z nimi wiąże się smutne wspomnienie”.

Słowa jasełkarza¹¹⁴ uderzyły mnie jak rzeźnik bezbronne zwierzę i uciskały mi serce brutalnymi, groźnymi rękami.

Zaczął mnie niegdyś nękać głuchy ból — poczucie, jak gdyby mi coś odebrano i jak gdybym, przebywszy w swym życiu długą drogę, jak lunatyk¹¹⁵ zleciał w przepaść. I nigdy nie udało mi się wyjaśnić przyczyny.

Rozwiązanie zagadki leżało teraz przede mną i piekło mnie nieznośnie jak otwarta rana. Za jednym razem znalazłem okropne wyjaśnienie, skąd się wziął mój chorobliwy wstręt do wspomniania przeszłości, skąd pochodzi osobliwy, co pewien czas powracający sen, że jestem zamknięty w dziwnym domu, gdzie są izby, z których wyjść niepodobna; dlatego wreszcie pamięć moja odmawia mi wspomnień o dniach mojej młodości.

Miałem pomieszanie zmysłów. Zastosowano do mnie hipnotyzm¹¹⁶, zamknięto „izbę”, która się łączy z komórkami mego mózgu i stałem się bezdomny wśród otaczającego mnie życia. I nie masz¹¹⁷ nadziei na odzyskanie straconej pamięci. Sprężyny moich czynów i myśli spoczywają w innym, zapomnianym bycie. Pojąłem, że nigdy ich nie poznam: jestem ściętą rośliną, gałązką powstałą z obcego korzenia¹¹⁸.

Gdyby mi się udało przemóc¹¹⁹ wejście do tej zamkniętej izby, czy nie wpadłbym wtenczas w ręce upiórów, które tam wpędzono?

Historia o Golemie, którą Zwak opowiadał przed godziną, przeszła mi przez myśl i nagle spostrzegłem ogromny, pełen tajemniczości związek między tą okratowaną izbą bez wyjścia, w której nieznajomy miał mieszkać, a moim wiele znaczącym snem.

Tak, i w tym wypadku, gdy próbowałem spojrzeć przez zakratowane okno swej duszy, zerwał się sznur, na którym chciałem wspiąć się ku górze. Ten dziwny związek stawał mi się coraz wyraźniejszy i przybierał zarysy czegoś nieopisanie strasznego.

Czułem to: istnieją rzeczy nieuchwytnie, powiązane ze sobą i biegnące koło siebie, jak ślepe konie, które nigdy się nie dowiedzą, dokąd prowadzi droga.

To samo w Getcie: izba, miejsce, którego wejścia nikt nie może odkryć — jakaś tajemnicza istota, która w niej mieszka i drepce czasami po ulicach, aby między ludźmi siać przerażenie i trwogę.

Vrieslander wciąż wycinał głowę, a drewno trzeszczało pod ostrzem nożyka. Słyszając to, odczuwałem prawie ból i spoglądałem, czy prędko będzie koniec. Gdy głowa w ręku malarza zwracała się w tę i ową stronę, doznawałeś wrażenia, jak gdyby miała świadomość i śledziła po wszystkich kątach. Potem oczy jej spoczęły długo na mnie zadowolone, że nareszcie mnie znalazły. Również i ja nie byłem w stanie odwrócić mego wzroku i spoglądałem nieruchomie¹²⁰ na drewniane oblicze.

Zdawało się, iż nóż malarza szuka czegoś ze złością, potem stanowczo wyciął jedną linię i rysy drewnianej głowy nabrały nagle strasznego życia.

Poznałem obcą twarz. Była to twarz nieznajomego, który mi przyniósł książkę. Potem nie mogłem nic więcej rozróżnić; widok trwał tylko sekundę, czułem, że serce przestaje mi bić, trzepocze się trwożliwie.

Los

Lalka

¹¹³kamea — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

¹¹⁴jasełkarz — lalkarz.

¹¹⁵lunatyk — osoba nieświadomie wykonująca przez sen różne czynności.

¹¹⁶hipnotyzm — właściwie hipnoza, wywołany za pomocą sugestii stan częściowego wyłączenia świadomości, także i dziś stosowany w psychoterapii.

¹¹⁷nie masz (daw.) — nie ma (forma nieosobowa).

¹¹⁸gałązka powstała z obcego korzenia — w sadownictwie praktykuje się niekiedy szczepienie gałązek jednego gatunku lub odmiany na pniu drzewa innego gatunku.

¹¹⁹przemóc (daw.) — pokonać.

¹²⁰nieruchomie — dziś popr.: nieruchomo.

Jednak tak, jak wówczas, miałem świadomość tej twarzy.

Ja to sam się nią stałem i leżałem na kolanach Vrieslandera i patrzyłem dokoła. Oczy moje wędrowały po pokoju, a jakaś obca ręka poruszała moją czaszką.

Potem naraz zobaczyłem wzburzoną twarz Zwaka i usłyszałem jego słowa:

— Na miłość Boską — to Golem!

Powstała krótka walka i chciano siłą wyrwać Vrieslanderowi rzeźbę, lecz ten się bronił i wołał ze śmiechem: „Czego wy chcecie — to jest zupełnie, ale to zupełnie nieudane”. Obrócił się, otworzył okno i wyrzucił głowę na ulicę. Wtedy straciłem przytomność i pograżyłem się w ogromną ciemność, poprzez którą snuły się złote nici, i gdy po długim, długim, jak sądzę, czasie obudziłem się, usłyszałem przede wszystkim dźwięk spadającego na chodnik drewna.

— Tak pan twardo spał, że nie zauważył, jak go trząśliśmy — powiedział mi Jozue Prokop — ponczu już nie ma, wszystko pan popsuł; — gorący ból tego, co przedtem słyszałem, opanował mnie znowu i chciałem wołać, że nie śniło mi się wcale to, com opowiadał o książce *Ibbur*, chciałem wyjąć ją z kasetki i pokazać ją kolegom.

Ale te myśli nie mogły dojść do słowa i powstrzymał ogólnego nastroju, jaki porwał moich gości.

Zwak otulił mnie siłą w palto i zawołał:

— Mistrzu Pernath! chodź z nami do Loisczka, to ożywi siły pańskiego ducha!

Alkohol

NOC

Bezwiednie pozwoliłem Zwakowi sprowadzić się ze schodów.

Coraz wyraźniej czułem zapach mgły, wciskającej się z ulicy do domu.

Jozue Prokop i Vrieslander szli o parę kroków przed nami i słychać było, jak rozmawiali przed bramą na ulicy.

— Musiał wpaść do ścieku — niech go diabli wezmą.

Wyszliśmy na ulicę i zobaczyłem, jak nachylony Prokop szukał marionetki¹²¹.

— Cieszy mnie, że nie możesz znaleźć tej głupiej głowy — mruknął Vrieslander.

Stanął przy murze, a gdy wciągał ogień z zapalki do swej krótkiej fajki, twarz jego w małych odstępach czasu świeciła rażąco i znów gasła. Prokop zrobił mocny ruch ręką, nakazując milczenie, pochylił się jeszcze bardziej, ukląkł prawie na chodniku.

— Cicho, nic nie słyszycie? — Podeszliśmy ku niemu, wskazał gestem ściek kanałowy i przyłożył rękę do ucha, przysłuchując się uważnie. Chwilę staliśmy nieruchomo i nasłuchiwaliliśmy nad otworem.

Nic.

— Co to było? — szepnął wreszcie stary jasełkarz¹²², ale Prokop ujął go natychmiast za łokieć. Przez chwilę trwającą tyle, co uderzenie serca, zdawało mi się, że na dole jakaś ręka stuka w płytę żelazną, zaledwie dosłyszalnie. Gdy w chwilę później zdałem sobie z tego sprawę, wszystko minęło; tylko w piersi mej trwało to dalej, jak echo wspomnienia i zamieniło się powoli w nieokreślone uczucie strachu. Kroki przechodzących przez ulicę rozwiąły to wrażenie.

— Idźmy, po co tu stoimy — zauważył Vrieslander. Szliśmy wzdłuż szeregu domów. Prokop szedł niechętnie.

— Dałbym sztygę, że pod nami ktoś krzyczał w śmiertelnej trwodze. — Nikt z nas mu nie odpowiedział, lecz czułem, że coś, jak cicha pośepna trwoga trzymała nasze języki w kajdanach.

W krótkce stanęliśmy przed zasłoniętym czerwonym oknem szynku:

Salon Loisczek.

„*Dzisiaj wielgi kohnzert*”

było napisane na papierowym transparencie, którego brzeg pokrywały wyblakłe fotografie jakichś dziewcząt. Zanim Zwak położył rękę na klamce, drzwi otworzyły się od wewnątrz i krępy¹²³ drab z rozwichrzonym czarnym włosiem, bez kołnierzyka, z gołą szyją

¹²¹marionetka — lalka poruszana za pomocą sznurków; tu ogólnie: drewniana lalka.

¹²²jasełkarz — lalkarz.

¹²³krępy — niski a mocno zbudowany.

owiniętą zielonym jedwabnym krawatem i w frakowej kamizelce, zdobnej pękiem świńskich kłów, przyjął nas ukłonami.

— To mi są goście! Panie Szafrank, prędko stół — rzucił, plecami zwrócony do lokalu przepelnionego ludźmi, równocześnie zwracając się do nas z przyjemnym ukłonem.

Brzęczący szum, jak gdyby szmer, co przebiegł przez klawiaturę, był odpowiedzią na te słowa.

— No, no — to mi goście, to mi goście, patrzcie no! — mruczał wciąż krępy chłop do siebie, pomagając nam zdejmować palta. — Tak, tak dziś u mnie zebrała się cała wysoka szlachta wiejska — odpowiedział tryumfalnie na zdziwioną minę Vrieslandera, ukazując wewnątrz, na pewnego rodzaju estradzie, oddzielonej od przedniej części szynku poręczą i dwustopniowymi schodkami, dwóch eleganckich panów w wieczorowych ubraniach.

Obłoki gryzącego dymu tytoniowego unosiły się nad stołami, za którymi przy ścianach długie drewniane ławki były wypełnione obszarpanymi postaciami. prostytutki z przedmieść, nieuczesane, brudne, bose, o dużych piersiach, zaledwie osłoniętych jaskrawymi chustkami, obok sutenerzy w niebieskich wojskowych czapkach, z papierosem za uchem, handlarze bydła z obrośniętymi pięściami i ociężałymi palcami, w których każdym poruszeniu tkwił niemy język podłości, zwolnieni kelnerzy o beczelnych oczach, dziobaci¹²⁴ subiekt¹²⁵ w kratkowanych spodniach. —

— Aby panom nikt nie przeszkadzał, postawię wam parawan hiszpański — — — — zakrakał tubalnym głosem niezgrabiasz i przed stołem, przy którym siedzieliśmy, opuścił ruchomą ścianę oklejoną kołem małych, tańczących Chinek. Skrzypiące dźwięki harfy, gwar w pokoju, sekunda rytmicznej pauzy, śmiertelna cisza, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech.

Po chwili ciszy w szklankach piwa ogniste, gorące pręty żelazne zasyczały, parując — po czym muzyka wzięta górę nad szmerem i pochłonęła go w całości. Jak gdyby nagle powstały, wynurzyły się przed moim wzrokiem z obłoków dymu tytoniowego dwie dziwne postacie. —

Z długą, falującą białą brodą proroka, w czarnej, jedwabnej mycy¹²⁶ na łysinie, jak to nosili starzy żydowscy ojcowie rodzin, ze ślepymi oczami, mętnie i szklisto zwróconymi ku powale¹²⁷, siedział starzec, poruszał bezdźwięcznie wargami, uderzał suchymi palcami, jakby tępymi szponami, w struny harfy.

Obok niego, w otłuszczonej, czarnej kitajce¹²⁸, z błyskotkami na szyi i ramionach, symbol obłudnej moralności mieszczańskiej, zgrzybiała postać kobieca z rozciągliwą harmonijką na kolanach.

Dziki chaos dźwięków wypływał z instrumentów, po czym uderzyła melodia, osłabiona samym akompaniamentem. Starzec parę razy zaczerpnął powietrza i rozwarł tak szeroko usta, że widać było czarne pieńki zębów. Wolno wyłaniał się z jego piersi dziki bas o specjalnie hebrajskim akcencie gardłowym.

O-krą-głą, niebieską gwiazdę

„Rititit” (pisnęła przeraźliwie postać kobieca i natychmiast złożyła gderliwe wargi, jak gdyby powiedziała za dużo)

Okrągłą, niebieską gwiazdę,
Rogalik lubię również
Rititit
Czerwoną brodę, Zieloną brodę,
Wszelaką gwiazdę —
Rititit, rititit.

¹²⁴dziobaty — o twarzy noszącej ślady ospy.

¹²⁵subiekt (daw.) — sprzedawca.

¹²⁶myca — właśc. mycka: miękka, okrągła czapka.

¹²⁷powala (daw.) — sufit.

¹²⁸kitajka — tkanina pochodzenia wschodniego a. ubiór z niej.

Muzyka

Pary wystąpiły do tańca.

— To jest pieśń o „Borchu z Chomca” — objaśnił nam, śmiejąc się, jasełkarz i uderzał cicho takt cynową łyżką, która w szczególny sposób była przyczepiona do stołu łańcuszkiem. —

— Przed stoma, albo więcej laty dwaj piekarze Czerwona broda i Zielona broda wieczorem w dzień „Szabbes Hagodel”¹²⁹ zatruli chleb w kształcie gwiazdek i rogalków, aby wywołać masową śmierć w dzielnicy żydowskiej; lecz „Meszores” — służący gminny — wpadł na to zawczasu, ostrzeżony przez Boga i oddał obydwu przestępców w ręce policji. Na pamiątkę cudownego ocalenia od śmiertelnego niebezpieczeństwa „Landonim” i „Bocherlech” ułożyli tę dziwną pieśń, którą teraz słyszymy, jako kadryla¹³⁰ z lupanaru¹³¹.

Rititit, rititit!

— „Okrągła niebieska gwiazda” — — — coraz głębiej i fantastycznej brzmiało szczerkanie starca.

Nagle melodia ucichła i przeszła w rytm czeskiego „szłapaka” — posuwistego tańca, w którym pary przyciskają nawzajem spocone policzki.

— Dobrze! Brawo! Ty tam, łap, hop —

Krzyknął harfiarzom z estrady wysmukły młodzieniec we fraku z monoklem¹³² w oku, sięgnął do kieszeni od kamizelki i rzucił w ich kierunku srebrną monetę. Nie trafiła do celu: jeszcze zobaczyłem, jak błysnęła między tańczącymi; tam nagle zniknęła. Jakiś włóczęga — twarz jego wydała mi się znajomą, myślę, że to był ten sam, który podczas deszczowej ulewy stał obok Charouska — wyciągnął rękę, którą dotychczas trzymał spokojnie, poza chustką swej tancerki — z małpią zręcznością, nie opuszczając ani jednego taktu muzyki, pochwycił monetę w powietrzu i skarb znalazł się w jego ręce.

Zaden muskuł¹³³ nie drgnął w twarzach wyrostków, tylko dwie, trzy pary w pobliżu roześmiały się cicho.

— Zapewnie ktoś z „Batalionu”, sądząc ze zręczności — powiedział, śmiejąc się, Zwak.

— Mistrz Pernath zapewne nigdy nie słyszał nic o „Batalionie” — rzucił dziwnie pospiesznie Vrieslander i mrugnął na jasełkarza, tak żebym ja tego nie spostrzegł.

Zrozumiałem zupełnie dobrze: było tak jak przedtem w moim pokoju — uważali mnie za chorego i chcieli mnie rozweselić.

I Zwak miał coś opowiedzieć.

Gdy dobry stary patrzył na mnie tak litościwie, gorąco wstrząsnęło to mną aż po serce.

Gdyby wiedział, jak mnie bolało jego współczucie!

Nie dosłyszałem pierwszych słów, od których Zwak rozpoczął opowiadanie — wiem tylko, tak mi jakoś było, jakby krew powoli wypływała ze mnie. Było mi coraz zimniej i nieruchomiałem, jak wówczas, gdy jako drewniana głowa leżałem na kolanach Vrieslandera.

Potem nagle wpadłem w środek opowiadania, które mi dziwnie duszę otulało, jak martwa część jakiejś szkolnej książki. —

Zwak zaczął:

— Opowiadanie o uczonym prawniku doktorze Hulbercie i jego batalionie. — — — No, co mam wam powiedzieć: twarz miał pełną brodawek i krzywe nogi, jak jamnik. Jeszcze jako młodzieniec nic nie znał poza nauką.

Z tego, co męcząco zarabiał udzielaniem lekcji, musiał jeszcze utrzymywać chorą matkę. Myślę, że tylko z książek wiedział, jak wyglądają zielone łąki, gaje oraz pagórki pokryte kwiatami i lasy.

Sami wiecie, jak mało promieni słonecznych pada na ciemne uliczki Pragi.

¹²⁹*Szabbes Hagodel* — właśc. *Szabat hagadol*, sobota poprzedzająca żydowskie święto Paschy, tzw. Wielki Szabat.

¹³⁰*kadryl* — taniec salonowy z XVIII w.

¹³¹*lupanar* — dom publiczny, od łac. *lupa* — prostytutka.

¹³²*monokl* — szkło korekcyjne noszone w jednym oku, zazwyczaj przymocowywane łańcuszkiem do kieszeni fraka.

¹³³*muskuł* — mięsień.

Doktoraty zdał z odznaczeniem: to się rozumie samo przez się. No i z czasem został sławnym jurystą¹³⁴. Tak sławnym, że wszyscy — sędziowie, notariusze, starzy adwokaci — przychodzili do niego po światło, gdy czego nie wiedzieli. Przy tym żył ubogo, jak żebrak, na poddaszu, którego okno wyglądało na podwórze.

Tak szły lata za latami. Rozgłos doktora Hulberta jako gwiazdy w swej nauce stawał się przysłowiowy w całym kraju. Nikt nie przypuszczał, aby człowiek taki jak on mógł być przystępny tkliwym uczuciom serca, zwłaszcza, że jego włosy już zaczynały siwieć. Nikt nie przypuszczał, aby doktor Hulbert mógł myśleć i mówić o czym innym niż o *Pandektach*¹³⁵. A właśnie w takich zamkniętych sercach kwitnie najgoręcej tęsknota. Owego dnia, gdy doktor Hulbert cel osiągnął, cel który mu za czasów studenckich wydawał się najwyższy: mianowicie kiedy Najjaśniejszy Pan cesarz wiedeński nadał mu tytuł: *Rector magnificus*¹³⁶ naszego uniwersytetu, podawano sobie z ust do ust, że Hulbert się ożenił z młodą, przeliczną panną z zupełnie biednej, ale szlacheckiej rodziny.

I rzeczywiście zdawało się, że szczęście nawiedziło doktora Hulberta. Chociaż jego małżeństwo było bezdzietne, to jednak nosił on swoją młodą żonę na rękach — i największą jego radością było spełniać każde życzenie, jakie mógł wyczytać z jej oczu. —

W szczęściu swoim nie zapomniał jednak bynajmniej, jak to wielu innym się trafia, o cierpiących bliźnich. — „Bóg — miał raz powiedzieć Hulbert — zaspokoił moją tęsknotę; pozwolił mi urzeczywistnić senne marzenie, które jak promień świeciło mi od dzieciństwa; dał mi za żonę najlepszą istotę na ziemi. I chcę, żeby odblask tego szczęścia, o ile to leży w moich siłach — spłynął też na innych”. —

I w końcu przy sposobności zaopiekował się pewnym biednym studentem, niby rozdonym synem. —

Pomyślał sobie, jak by podobny dobry czyn był dla niego samego zbawczy — niegdyś — za dni jego pełnej trosk młodości. —

Lecz ponieważ na ziemi nieraz czyny mające wszelki pozór dobroci i szlachetności prowadzą za sobą skutki godne tylko przekleństwa, gdyż nie potrafimy dobrze rozróżnić tego, co nosi w sobie nasiona jadowite od tego, co uzdrowia, stało się również i tutaj, że z pełnego litości dzieła doktora Hulberta powstała dla niego gorzka krzywda. Młoda żona wkrótce rozgorzała skrytą miłością do studenta, a nielitościwy los chciał, że gdy Rektor raz niespodzianie wrócił do domu, aby jej na dowód miłości zrobić przyjemność i ofiarować bukiet róż, jako dar imieninowy, zastał ją w ramionach tego, któremu tyle dobrodziejstw wyświadczył. Mówią, że błękitna niezapominajka może stracić na zawsze swój kolor, gdy nagle padnie na nią płowe, siarczane światło błyskawicy, zwiastujące burzę gradową; nic dziwnego, że dusza starego męża oslepla na zawsze w dniu, w którym jego szczęście rozbiło się na szczęty¹³⁷. —

Tego samego jeszcze wieczoru siedział on, on, który dotychczas nie wiedział, co to jest nadużycie, siedział, mówię, tutaj — u „Loisiczka” — prawie nieprzytomny od trunków — aż od świtu. „Loisiczek” stał mu się domem do końca jego zrujnowanego życia. Latem sypiał gdziekolwiek na rusztowaniach nowo budujących się domów, zimą tutaj na drewnianych ławach. —

Tytuł profesora i doktora obojga praw¹³⁸ dyskretnie mu pozostawiono. Nikt nie miał odwagi powiedzieć jemu, niegdyś jednemu z najznakomitszych uczonych, że jego sposób życia sieje zgorszenie. —

Powoli gromadził się koło niego motłoch, stroniący od światła, pędzący życie w dzielnicy żydowskiej — i w ten sposób powstała ta osobliwa grupa, która jeszcze do dzisiejszego dnia zowie się „batalionem”.

Znajomość prawa, którą doktor Hulbert szerzył teraz w owym kole, stała się oparciem dla wszystkich, którym policja zbyt surowo zaglądała w ręce. — Gdy jakiś świeżo wypuszczony więzień był w niedostatku, kazał mu doktor Hulbert iść zupełnie nago na Rynek Staromiejski i urząd na tzw. Ławicy Rybiej zmuszony był obdarzyć go ubraniem. —

¹³⁴jurysta (daw.) — prawnik.

¹³⁵Pandekta — dział kodeksu Justyniana, spisującego prawo rzymskie.

¹³⁶Rector magnificus (łac.) — najwspanialszy rektor.

¹³⁷szczęty (daw.) — szczątki, kawałki.

¹³⁸obojga praw — prawa kościelnego (kanonicznego) i świeckiego.

Ślub

Kondycja ludzka

Miłość, Zdrada

Prawo

Gdy jakaś bez określonego zajęcia dziewczucha miała być wypędzoną z miasta — natychmiast z porady mistrza wychodziła za mąż za jakiego włóczęgę, który należał do okręgu — i wskutek tego stawała się stałą mieszkanką miasta.

Setki takich wykrętów znał Hulbert, a wobec jego rad policja była bezbronna. Wszystko, co te wyrzutki społeczeństwa „zapracowały” — oddawały stale co do halerza¹³⁹ i centa do kasy wspólnej — co szło na najpilniejsze potrzeby. Nikt nie pozwoliłby tu sobie na najmniejszą choćby nieuczciwość. Być może, że z powodu tej żelaznej dyscypliny — powstała nazwa „batalion”.

Ścisłe pierwszego grudnia — w rocznicę nieszczęścia, które spotkało starca — odbywała się w nocy u Loisczka oryginalna uroczystość. Głowa przy głowie stali tutaj słóczyeni koło siebie: żebracy, włóczęgi, alfonsi, ulicznicy, pijanicy i próżniacy — i panowała cisza jak w czasie nabożeństwa.

Wtedy doktor Hulbert opowiadał im z tego kąta, w którym teraz siedzi oboje muzykantów, tuż pod portretem Jego Cesarskiej Mości — historię swego życia: jak się przebił przez nędzę aż cel osiągnął, jak to później stał się zeń *Rector magnificus* itd. Gdy zaś dochodził do miejsca, kiedy z bukietem róż wszedł do pokoju swej młodej żony — aby uczcić dzień jej urodzin oraz pamięć tej godziny, w której ostatecznie ją pozyskał i w której stała się jego ukochaną żoną: wtedy za każdym razem głos odmawiał mu posłuszeństwa i równocześnie z płaczem gwałtownym głowę opuszczał na stół. Zdarzało się wtedy czasami, że jakaś ładacznicą, wstydliwie i po kryjomu, kładła mu w rękę — aby nikt tego dostrzec nie mógł — na pół zwiędły kwiatek. —

Długo czas jeszcze nikt ze słuchaczy się nie poruszał. Ludzie ci są twardzi do płakania¹⁴⁰, ale oczy spuszczały ku ziemi i niepewnie kręcili palcami.

Pewnego ranka znaleziono doktora Hulberta martwym na ławce nad rzeką Węltawą. — Zdaje się, że zmarł.

Widzę jeszcze dzisiaj jego pogrzeb przed sobą. Batalion czynił, co mógł, aby wszystko wypadło z największą paradą.

Na czele szedł pedel¹⁴¹ uniwersytecki w szacie uroczystej: na ręku nosił czerwoną poduszkę ze złotym łańcuchem na niej — a za karawanem w nieprzerwanym szeregu „batalion” bosi, brudny, w łachmanach i w poszarpanym przyodziewku. Jeden z nich posprzedawał wszystkie swoje resztki — i obwinał sobie ciało, nogi i ręce kawałkami starych gazet.

Tak mu ostatni hołd złożyli:

Na grobie jego, na cmentarzu, stoi dziś biały głaz, na którym wyryte trzy figury: zbawiciel ukrzyżowany między dwoma łotrami. — Nieznana ręka postawiła ten pomnik. Jak przypuszczają — żona nieboszczyka.

Smutek

Pogrzeb

Grób

Jednak w testamentie zmarłego uczonego prawnika — przewidziany był legat¹⁴², na zasadzie którego każdy z „batalionu” w południe otrzymuje u „Loisczka” bezpłatną zupę; dla tego celu wiszą tu przy stole łyżki na łańcuchu — a wydrążone na powierzchni stołu małe niecki zastępują talerze. O godzinie dwunastej przychodzi kelnerka z wielką blaszaną sikawką, rozlewa zupę w niecki — a jeżeli kto nie może dowieść, że należy do „batalionu” — z powrotem szprycą¹⁴³ zabiera zupę.

O tym stole szeroko po całym świecie rozchodziły się wieści, jako o rzeczy nadzwyczaj zabawnej.

Wrażenie hałasu w lokalu obudziło mnie z letargu¹⁴⁴. Ostatnie słowa, które mówił Zwak, przewiały jakoś ponad moją świadomością. Widziałem jeszcze, jak poruszał ręce, by pokazać sikawkę, co wylewa i wsiąka¹⁴⁵ płyn, po czym obraży ją¹⁴⁶ się przed moimi

¹³⁹halerz — drobna moneta używana na terenie Austro-Węgier.

¹⁴⁰są twardzi do płakania — sens: rzadko i niechętnie płaczą.

¹⁴¹pedel (daw.) — woźny.

¹⁴²legat — zapis testamentowy dla osoby niebędącej spadkobiercą.

¹⁴³szpryca — duże narzędzie podobne do strzykawki.

¹⁴⁴letarg — stan śmierci pozornej.

¹⁴⁵wsiąka — dziś powiedzianoby tu: wciąga.

¹⁴⁶jąć (daw.) — zacząć.

oczami rozwijać tak szybko i automatycznie, a jednak z taką upiorną wyrazistością — że chwilami zapominałem zupełnie o sobie i zdawało mi się, że jestem kółkiem w jakimś żyjącym zegarze. —

Cała izba wyglądała jak jeden kłęb ludzkich istot. W górze na estradzie: tuziny panów w czarnych frakach. Białe mankiety, świecące pierścienie. Dragoński¹⁴⁷ mundur z szamerunkiem¹⁴⁸. W głębi kapelusz damski ze strusimi piórami barwy łososiowej.

Po przez sztachety poręczy — jak młody byczek — patrzył swoją wykrzywioną głę — Lois. — Spojrzałem: zaledwie mógł się trzymać prosto. I Jaromir był w pobliżu i spoglądał niewzruszony w salę — oparłszy grzbiet ściśle o ścianę boczną, jakby go przytłoczyła jakaś niewidzialna ręka. Postacie nagle zatrzymały się w tańcu: gospodarz musiał im coś krzyknąć, co je przeraziło. Muzyka grała jeszcze, ale ciszej, nie dowierzała już sama sobie. Drżała. Czułeś to wyraźnie. A jednak był na twarzy gospodarza wyraz zdradzieckiej, dzikiej radości. —

— — — U drzwi wchodowych¹⁴⁹ nagle ukazał się komisarz policji w mundurze. Ramiona rozpostarł, co znaczyło, że nie wypuszcza nikogo. Za nim podoficer policji kryminalnej.

— A więc tutaj tańczą? Pomimo zakazu? Zamykam tę szpelunkę¹⁵⁰. Chodź ze mną, gospodarzu! A wszyscy, którzy tu są, marsz na policję!

Brzmi to jak komenda.

Kwadratowy gospodarz nic nie odpowiada, ale zdradliwie szyderczy małpi grymas na jego twarzy pozostał dalej.

Tylko jakby zdrętwiał.

Harmonika urwała swą grę i tylko poświstuje chwilami.

I harfa wciąga w siebie swoje dźwięki. Naraz¹⁵¹ wszystkie twarze ukazują się w profilu: pełne jakiegoś oczekiwania wszystkie się gapią w estradę.

I oto idzie jakaś dostojna czarna postać, która zestąpiła z paru stopni estrady — i kroczy powoli wprost do komisarza.

Oczy podoficera policji kryminalnej zawisły jak zakłęte na powolnie¹⁵² stąpających czarnych, lakierowanych bucikach.

Kawaler o jeden krok zatrzymał się przed komisarzem — i znudzonym wzrokiem przygląda mu się od stóp do głów i od głów do stóp.

Inni młodzi panicze ze szlachty na estradzie przechylili się przez barierę i pokrywają śmiech jedwabnymi chusteczkami.

Rotmistrz¹⁵³ dragonów kładzie sztukę monety w oko — i dziewczynie, która stoi pod nim koło estrady, wyziewa¹⁵⁴ dym swego cygara w jasne warkocze. —

Komisarz policji zarumieniał się i przy sposobności dokładnie się przygląda perle na koszuli arystokraty; nie jest w stanie znieść obojętnego, pozbawionego blasku spojrzenia tej gładko wygolonej, nieruchomej twarzy z orlim nosem.

Wytrąca go ze spokoju. Wali nim o ziemię.

Grobowe milczenie w zakładzie staje się coraz bardziej dręczące.

— Tak wyglądają posągi rycerzy, co z rękami na krzyż leżą na kamiennych grobach w kościołach gotyckich — szepcze malarz Vrieslander, spoglądając na kawalera.

Wkońcu arystokrata przerywa milczenie. —

— Eh — hm! — naśladuje głos gospodarza — Tek, tek, to są moje goście, to widać!

Wrzaskliwy chichot wybucha w lokalu, aż szklanki dzwonią; andrusy¹⁵⁵ aż się za brzuchy trzymają ze śmiechu. Butelka jakaś leci na ścianę i pęka. Czworograniasty¹⁵⁶ szynkarz powiadamia nas pełnym czci najwyższej głosem:

¹⁴⁷ *dragoński* — przymiotnik od rzeczownika dragon, oznaczającego żołnierza formacji poruszającej się konno, a walczącej z reguły pieszo.

¹⁴⁸ *szamerunek* — ozdoba ubioru w postaci pętli grubej nici a. sznurka naszytych z przodu.

¹⁴⁹ *wchodowy* — dziś popr.: wejściowy.

¹⁵⁰ *szpelunka* — właśc. spelunka, podejrzany lokal, od łac. *spelunca*: jaskinia.

¹⁵¹ *naraz* — nagle.

¹⁵² *powolnie* — dziś popr.: powoli.

¹⁵³ *rotmistrz* — stopień wojskowy w kawalerii, odpowiednik kapitana.

¹⁵⁴ *wyziewać* — tu: wydychać.

¹⁵⁵ *andrus* (daw.) — łobuz.

¹⁵⁶ *czworograniasty* — czworoboczny.

Taniec

Pozycja społeczna

— Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę Ferri Athenstädt.

Książę podał urzędnikowi kartę wizytową. Nieszczęśliwy ją przyjął, salutował kilkakrotnie i bardzo pragnął dać drapak¹⁵⁷.

Na nowo cisza, tłum przysłuchuje się bez oddechu, co się dalej stanie.

Kawaler mówi znów.

— Damy i panowie, których Pan tu widzi zebranych — eh, eh — to są moje miłe i przyjemne goście! Jego Wysokość niedbałym ruchem ręki wskazuje zgromadzoną gawieź¹⁵⁸:

— czy nie zechciałby pan, panie komisarzu — eh — być przedstawiony temu państwu?

Komisarz odmawia z przymuszonym uśmiechem, szepce coś przy okazji o „smutnym obowiązku” i ostatecznie kończy tymi słowy¹⁵⁹:

— Widzę, że tu się wszystko wcale¹⁶⁰ przyzwocie odbywa.

Słowa te budzą życie w rotmistrzu dragonów: spieszy w głąb po kapelusz damski ze strusimi piórami — i w następnej chwili wśród wybuchów śmiechu młodych paniczów wyciąga Rożynę na środek sali, objawwszy ją ramieniem. —

Rożyna chwieje się od trunku; oczy ma zamknięte. Wielki, drogi kapelusz leży jej krzywo na głowie; ona zaś nie ma na sobie nic prócz długich różowych pończoch — i męski frak na gołym ciele. —

Na dany znak muzyka jak szalona gra „Rititit, Rititit” — — — i pochłania gardłowy krzyk, który wydał stojący pod ścianą głuchoniemy Jaromir, zobaczywszy Rożynę.

Alkohol, Erotyzm

Zazdrość

— Chcemy wyjść!

Zwak woła kelnerkę.

Hałas powszechny zagłusza jego słowa.

Sceny wydają mi się fantastyczne jak pod działaniem opium.

Rotmistrz trzyma półnągą Rożynę — w ramionach i powoli krąży z nią do taktu. —

Tłum z szacunkiem robi im miejsce.

Z ław słyhać poszmer: „Loisiczek, Loisiczek”! Szyje się wydłużają i do tańczącej pary przyłącza się druga, jeszcze osobliwsza. Po niewieściemu wyglądający chłopiec w różowym trykocie, z długim jasnym włosiem aż do łopatek, pod malowaną jak u dziewczki twarzą i wargą, z oczami wywróconymi kokieterijnym zezem — poządlwie się zwiesza na piersiach księcia Athenstäda. —

Słodkawy walc kwili na arfie¹⁶¹.

Dziki obrzydzenie do życia zaciska mi gardło.

Z trwogą oczy moje szukają drzwi: komisarz stoi tam odwrócony, aby nic nie widzieć — i pospiesznie coś szepcze z kryminalnym policjantem, który coś mu podaje. Słysząc niby uderzenie ręki o rękę.

Obaj śledzą w głębi krostowatą fizjonomię Loisa, który chwilowo stara się ukryć, potem zaś zdrętwiały — z twarzą białą jak kreda i wykrzywioną od zgrozy — stoi dalej na miejscu.

Jakiś obraz mi się nagle przypomina i natychmiast gaśnie: obraz, jak Prokop spogląda (widziałem to przed godziną) — poprzez sztachety kanałowe nachylony — i krzyk śmiertelny dochodzi nas spod ziemi!

Chcę wołać i nie mogę. Zimne palce wcisnęły mi się w usta i zaginają mi język w dół na podniebienie tak, jak bryła, coś zasłania mi krtań i słowa powiedzieć nie mogę.

¹⁵⁷ *dać drapak* — uciec.

¹⁵⁸ *gawieź* — tu: tłum.

¹⁵⁹ *tymi słowy* — dziś popr. forma N. lm: tymi słowami.

¹⁶⁰ *wcale* (daw.) — całkiem.

¹⁶¹ *arfa* — dziś popr.: harfa.

Palców nie mogę dostrzec; wiem, że są niewidzialne, a jednak odczuwam je jako coś cielesnego. I jasno to tkwi w mej świadomości: są to palce tej upiornej ręki, która mi w mym pokoju na Kogucim Zaulku podała księgę *Ibbur*¹⁶².

— Wody, wody — krzyczy Zwak koło mnie. Trzymają mi głowę i za pomocą świecy starają się zajrzeć mi w źrenice.

— Do mieszkania go odnieść, doktora sprowadzić — archiwariusz Hillel zna się też na takich rzeczach — — do niego pójdźmy z nim — — radzą tak szeptem.

Leżę nieruchomy jak trup na narach¹⁶³, a Prokop i Vrieslander wynoszą mnie na ulicę.

JAWA

Zwak, uprzedziwszy nas, pobiegł po schodach i usłyszałem, jak Miriam, córka archiwariusza Hillela, trwożnie go wypytywała, on zaś starał się ją uspokoić.

Nie zadawałem sobie trudu, by usłyszeć, co oni z sobą mówili, i raczej odgadłem, niż w słowach zrozumiałem, że Zwak opowiadał, jakoby zdarzyło mi się nieszczęście i przyszli prosić, aby mi dano pierwszą pomoc i przywrócono do przytomności.

Ciągle jeszcze nie mogłem ruszyć żadnym członkiem¹⁶⁴ ciała, a niewidzialne palce trzymały mnie za język; ale myśl moja była mocna i pewna, a poczucie zgrozy zupełnie mnie odeszło. Wiedziałem dokładnie, gdzie byłem i co się ze mną stało — i nieraz wydawało mi się to osobliwością, że mnie wniesiono tu jak umarłego, wraz z narami¹⁶⁵ złożono w pokoju Szemajaha Hillela i pozostawiono samego.

Ciche, naturalne zadowolenie, jakiego się doznaje po długiej wędrówce, nappełniało moją duszę.

W izbie było ciemno, a ramy okien unosiły się rozlewnym rysunkiem w formie krzyża, odbijając od matowo-świecącego dymu, który wił się z ulicy.

Wszystko mi się wydawało samo z siebie zrozumiałym i nie dziwiło mnie ani to, że Hillel wszedł z żydowskim siedmiopłomiennym świecznikiem sobotnim¹⁶⁶, ani że mi życzył „Dobry wieczór” jak komuś, czyjego przyjścia oczekiwał.

To, na co przez cały czas, odkąd mieszkalem w tym domu, nie zwróciłem uwagi, jako na rzecz szczególną, mimo żeśmy się spotykali na schodach dwa — trzy razy w tygodniu, uderzyło mnie teraz z wielką siłą, gdy Hillel tak chodził w tę i ową stronę pokoju, niektóre przedmioty na komodzie ustawiał i wreszcie swoim świecznikiem zapalał drugi, również siedmioramienny¹⁶⁷.

Mianowicie: zauważyłem harmonię jego ciała i członków oraz szczupły, delikatny rysunek jego twarzy ze szlachetnym układem czoła. Mógł, jak to widziałem teraz przy blasku świecy, mieć lat nie więcej ode mnie: najwyżej 45.

— Przyszedłem o parę minut za wcześniej — zaczął po chwili — inaczej bym już przedtem światła zapalił.

Wskazał na oba świeczniki, zbliżył się do nar i skierował swe ciemne, głęboko osadzone oczy, jak się zdaje, na kogoś, co mi w głowach¹⁶⁸ stał lub klęczał, ktoś kogo jednak dostrzec nie byłem w stanie. Przy tym poruszał ustami i bez głosu wymówił jakieś zdanie.

Natychmiast niewidzialne palce oswobodziły mój język i letarg¹⁶⁹ przeminął: odwróciłem się i spojrzałem poza siebie: nikogo prócz Szemajaha Hillela oraz mnie w pokoju nie było.

A więc jego „ty” i uwaga, że mnie oczekiwał, dotyczyły tylko mojej osoby?

¹⁶²*ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

¹⁶³*nary* (daw.) — prycza, legowisko, być może przenośne.

¹⁶⁴*członki* (daw.) — kończyny.

¹⁶⁵*nary* (daw.) — prycza, legowisko, także przenośne.

¹⁶⁶*z żydowskim siedmiopłomiennym świecznikiem sobotnim* — siedmioramienny świecznik (menora) stanowi podstawowy symbol judaizmu.

¹⁶⁷*swoim świecznikiem zapalał drugi, również siedmioramienny* — siedmioramienny świecznik (menora) stanowi podstawowy symbol judaizmu.

¹⁶⁸*w głowach* — od tej strony łóżka, gdzie znajduje się głowa leżącego człowieka.

¹⁶⁹*letarg* — stan śmierci pozornej.

Daleko szczególnie od tych obojga okoliczności działało na mnie to, że nie byłem w stanie doznać mniejszego zdziwienia z tego powodu.

Hillel odgadł jawnie moje myśli, gdyż uśmiechał się przyjaźnie, przy czym pomógł mi wstać z nar i ręką wskazał na krzesło, mówiąc:

— Nie ma tu nic dziwnego, straszliwie działają na ludzi tylko rzeczy upiorne, Kiszuf¹⁷⁰; życie drapie i parzy jak włosienica¹⁷¹, ale słoneczne promienie świata duchowego są łagodne i ogrzewające.

Milczałem, gdyż nie wpadła mi na myśl żadna odpowiedź. Zdaje się też, że z mojej strony żadnych słów nie oczekiwał Hillel, gdyż mówił dalej.

— I srebrne zwierciadło, gdyby miało czucie, odczuwałoby wielki ból w chwili pole-
rowania. Stawszy się gładkim i promiennym — odbija ono wszelkie obrazy, jakie w nie
wpadają — bez cierpienia i wzruszenia.

Błogosławiony jest człowiek — mówił dalej milcząco — który o sobie może powie-
dzieć: Jestem wypolerowany (jak zwierciadło).

Chwilę pogrążył się w myślach i słyszałem — jak szeptał parę słów po hebrajsku:
*Liszuo secho kiwisi adoszem*¹⁷². Po czym znów jego głos brzmiał mi w uszach wyraźnie:

— Przyszedłeś do mnie w głębokim śnie, a ja zbudziłem cię do jawy. W Psalmie Dawida powiedziano: „Tedy rzekłem sam w sobie: teraz zaczynam! Prawica to Boga, co uczyniła tę zmianę”.

Gdy ludzie budzą się w swoich łóżach, roją, że otrząsnęli się ze snu, a nie wiedzą, że
padają jako ofiara swych zmysłów i stają się łupem nowego, znacznie głębszego snu, niż
ten, z którego wyszli: Jest tylko jeden prawdziwy stan jawy; ten mianowicie, do którego
się teraz przybliżasz.

Gdybyś o tym powiedział ludziom, to by ci odparli, żeś chory, gdyż nie są w stanie
cię zrozumieć. Jest to więc rzecz bezcelowa i smutna — mówić im o tym.

Oni płyną niby potok,
A są jak gdyby sen,
Niby trawa, która wnet powiędnie —
A pod wieczór będzie ścięta — i uschnięta. ¹⁷³

Kondycja ludzka, Lustro

Sen, Jawa

— Kto był ten nieznajomy, co mnie szukał u mnie w domu i dał mi księgę *Ibbur*¹⁷⁴.
Czym go widział na jawie, czy we śnie? — chciałem zapytać, lecz Hillel mi odpowiedział,
zanim swą myśl wyraziłem w słowach:

— Przypuść, że człowiek, który przyszedł do ciebie i którego zowiesz Golem¹⁷⁵, ozna-
cza przebudzenie umarłego poprzez najwewnętrzniejsze życie duchowe. Wszelka rzecz na
ziemi — niczym innym nie jest, jeno¹⁷⁶ symbolem, przyodzianym w proch. — Jak ty
myślisz okiem? Wszelką formę, którą spostrzegasz, myślisz okiem. Wszystko, co zgęst-
niało do formy, było przedtem istotą widmową. —

Czułem, że te pojęcia, co dotychczas siedziały w moim mózgu jak na kotwicy, zerwały
się i jak okręty bez steru pognały po bezbrzeżnym morzu.

Pełen spokoju Hillel mówił dalej:

— Kto jest przebudzony, ten nie może już umrzeć; sen i śmierć są dla niego tym
samym.

— Już nie może umrzeć? — głuchy ból mną zaszarpał.

Tajemnica, Filozof

¹⁷⁰kiszuf (hebr.) — czary.

¹⁷¹włosienica — ubranie z gryzącej wełny, używane przez pokutników.

¹⁷²liszuo secho kiwisi adoszem (hebr.) — pomocy Twojej oczekuję, Panie.

¹⁷³Oni płyną niby potok (...) — parafraza bądź tłumaczenie Psalmu 90(89).

¹⁷⁴ibbur — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy
żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle
wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

¹⁷⁵golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa
lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało
się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

¹⁷⁶jeno (daw.) — tylko.

— Dwie ścieżki biegną w dal obok siebie: droga życia i droga śmierci. Otrzymałeś księgę *Ibbur* i czytałeś ją. Dusza twoja stała się ciężarna duchem żywota — słyszałem jego słowa.

— Hillelu, Hillelu, daj mi iść drogą, którą idą wszyscy ludzie: drogą śmierci! — Dziko we mnie krzychało wszystko.

Twarz Szemajaha Hillela stała się nieruchoma z powagi:

— Ludzie nie krocą żadną drogą, ani drogą życia, ani drogą śmierci. Pędzą jak plewy w wichrze. W Talmudzie¹⁷⁷ stoi: „Zanim Bóg stworzył świat, postawił zwierciadło przed istotami. Istoty widziały w nim duchowe cierpienia bytu i rozkosze, jakie z nich wynikają. Więc jedni wzięli na się cierpienie. Ale inni wzbranieli się — i tych Bóg wykreślił z księgi żywota”. Ty idziesz pewną drogą — i wkroczyłeś na nią z wolnej woli — choć może sam teraz o tym już nie wiesz. Jesteś powołany sam przez siebie! Nie trap się: stopniowo, gdy przychodzi poznanie, przychodzi też wspomnienie.

Poznanie i wspomnienie — to jedno i to samo.

Przyjacielski, prawie miłościwy ton, który zabrzmiał w mowie Hillela, przywrócił mi spokój i czułem się bezpieczny jak chore dziecko, które wie, że ojciec przy nim siedzi.

Spojrzałem w górę i spostrzegłem, że naraz zjawiły się w izbie liczne postacie i otoczyły nas kołem: niektóre w białych koszulach śmiertelnych, jak to nosili starzy rabini¹⁷⁸, inne w kapeluszu trójkątnym, w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami — ale Hillel przesunął rękę przed moimi oczyma — i pokój znów stał się pusty.

Potem wyprowadził mnie na schody i dał mi zapaloną świecę, abym mógł sobie drogę oświetlić do swego pokoju.

Kondycja ludzka, Pamięć

Położyłem się do łóżka i chciałem zasnąć, ale sen nie przychodził — i zamiast tego wpadłem w szczególny stan, który nie był ani marzeniem, ani czuwaniem, ani snem.

Światło zgasilem, ale pomimo to w izbie wszystko było tak wyraźne, że mogłem najdokładniej rozróżnić każdą pojedynczą formę. Przy tym czułem się doskonale błogo, wolny od pewnego męczącego niepokoju, co niejednemu sprawia katusze, gdy się znajduje w podobnej sytuacji.

Nigdy przedtem w życiu swoim nie byłbym w stanie myśleć tak ściśle i wyraźnie, jak właśnie w tej chwili. Rytm zdrowia toczył się poprzez moje nerwy i porządkował moje myśli w szeregi, jak wojsko, które jeszcze czeka na rozkaz.

Dość mi było tylko zawołać, a przychodziły do mnie i wykonywały to, czegom pragnął.

Przypomniła mi się naraz¹⁷⁹ *gemma*¹⁸⁰, którą w ostatnich tygodniach próbowałem wyciąć z awentury¹⁸¹ — nie mogłem jednak dojść do żadnego wyniku, gdyż nie udało mi się nigdy rozproszonych błysków minerału pokryć rysami twarzy, jaką sobie wyobraziłem — i oto w jednym mgnieniu ujrzałem rozwiązanie i wiedziałem dokładnie, jak mam prowadzić dłutko, by opanować strukturę masy.

Niegdyś niewolnik hordy fantastycznych wrażeń i sennych widziadeł, o których nie wiedziałem, czy to pojęcia, czy też uczucia: nagle uczułem się jako pan i król we własnym państwie.

Zadania z rachunku, które wprzód¹⁸² stękając na papierze mogłem rozwiązać, wpadały mi naraz do głowy, niby w igraszce¹⁸³ prowadząc do rezultatu. Wszystko przy pomocy jakiejś nowej, zbudzonej we mnie zdolności, żem widział i ustanawiał to właśnie, co mi było potrzebne: cyfry, formy, przedmioty, barwy.

A gdy chodziło o kwestię, które za pomocą tych środków — nie dawały się rozstrzygać — problematy¹⁸⁴ filozoficzne itp. — miejsce wewnętrznego wzroku zajmował słuch, przy czym głos Szemajaha Hillela brał na siebie rolę mówiącego. Udzielone mi były uświadomienia najrzadszego rodzaju. —

Sztuka

¹⁷⁷ *Talmud* — w judaizmie księga zawierająca komentarz do *Tory* (pierwszych pięciu ksiąg Biblii).

¹⁷⁸ *rabin* — (z hebr. *rabbi*, czyli nauczyciel), funkcja religijna w judaizmie.

¹⁷⁹ *naraz* (daw.) — nagle.

¹⁸⁰ *gemma* — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

¹⁸¹ *awentury* — minerał: rzadka, czerwona lub zielona odmiana kwarcu.

¹⁸² *wprzód* (daw.) — najpierw.

¹⁸³ *igraszka* — tu: zabawa.

¹⁸⁴ *problematy* — zagadnienia.

Com tysiąc razy w życiu nieuważnie jako puste słowo puszczał mimo ucha, teraz w najgłębszych fibrach¹⁸⁵ mej istoty tkwiło we mnie jako wartość; to, czegom nauczył się „powierzchnownie”, w jednej błyskawicy „ujmowałem” jako swoją „własność” wewnętrzną. Budowy słów tajemnica, której nie przeczuwałem, obnażyła się przede mną.

„Wysokie” ideały ludzkości, które z dobroduszną radcowsko-handlową miną, zaklek-sano¹⁸⁶ orderem na patetycznej piersi, z góry mi chciały się narzucić: pokornie teraz zdjęły z pyska maskarkę¹⁸⁷ i tłumaczyły się przede mną: w istocie one są żebrakami, ale zawsze mają przy sobie ożogi¹⁸⁸ — dla jeszcze gorszego oszustwa.

Czy ja nie śnię? Czy nie rozmawiałem z Hillelem?

Wyciągnąłem rękę do krzesła obok mego łóżka. Wszystko jak należy: tu leży świeca, którą mi dał Szemajah; szczęśliwy jak mały chłopiec w noc Bożego Narodzenia, który się przekonał, że jego ulubiony pajacyk rzeczywiście i żywo jest przy nim obecny — na nowo się wtuliłem w poduszki.

I jak wyżeł wciskałem się coraz głębiej w gęstwinę duchowych zagadek, które mnie otaczały dokoła.

Naprzód próbowałem dotrzeć do tego momentu mego życia, do którego najdalej sięga moja pamięć. Tylko z tego punktu — sądziłem — była dla mnie rzeczą możliwą spojrzeć w tę część mego bytu, która dla mnie, przez szczególny zbieg warunków mego losu, leży utajona w mroku.

Ale jakkolwiek dręczyłem się nad tym, nie mogłem iść dalej, jak po za to, żem się kiedyś znalazł w ponurym podwórzu naszego domu i przez luk bramy oglądał tandeciarnię Arona Wassertruma: tak jak gdybym od stu lat jako snycerz¹⁸⁹ kamei¹⁹⁰ mieszkał w tym domu — zawsze jednakowo stary człowiek, który nigdy nie był dzieckiem.

Chciałem już dać temu pokój¹⁹¹ jako próbom beznadziejnym i przerwać to szperanie po warstwach minionej przeszłości: gdy naraz¹⁹² z promienną jasnością pojąłem, że istotnie w mojej pamięci szeroki gościniec zdarzeń kończy się łukowym sklepieniem pewnej bramy, ale błyska mi też cały szereg małych ścieżek, które dotychczas stale towarzyszyły drodze głównej, a których ja dotąd nie zauważyłem:

— Skądże — krzyknęło mi coś prawie w ucho — masz wiadomości, dzięki którym wleciesz życie? Kto cię nauczył wycinania kamei, kto cię nauczył sztuki rytowniczej i wszystkiego innego? Czytać, pisać, mówić — i jeść — i chodzić, oddychać, myśleć, czuć?

Wnet uchwyciłem się wskazówki mego wnętrza. Systematycznie szedłem wstecz przez moje życie. —

Zmusiłem się w odwróconej, ale nieprzerwanej kolei zdarzeń wyrozumieć¹⁹³, co się stało ostatnio, jaki był ku temu punkt wyjścia, co stało się przedtem i tak dalej?

Znowu dotarłem do łuku pewnej bramy.

Teraz — teraz! Tylko mały skok w próżnię, w otchłań, która mnie oddzielała od zapomnianego; ten mały skok powinien bym zrobić. Naraz ukazał mi się obraz, który dostrzegłem przy powrotnym biegu swoich myśli: Szemajah Hillel przeciągnął mi rękę przed oczami — ściśle tak, jak przedtem na dole w swym pokoju. —

I wszystko się zatarło. Nawet pragnienie dalszych poszukiwań. —

Tylko jedno osiągnąłem jako zysk trwały i niezmienny; świadomość, że szereg przygód w życiu to ślepa ulica, jakkolwiek zdaje się szeroka i dogodna do przechadzki.

Drobne to są, ukryte szczeble, co prowadzą do zatraconej ojczyzny: to, co delikatną, prawie niewidzialną farbą w naszym ciele jest wyrzyte — nie zaś ohydna blizna, jaką pozostawia po sobie raszpla¹⁹⁴ życia zewnętrznego — to właśnie ukrywa rozwiązanie ostatecznych tajemnic. —

¹⁸⁵fibra (daw., z łac.) — włókno.

¹⁸⁶zaklekać — w oryginale *bekleksen*: upaprać, zasmolić; prawdop. winno tu być: przylepić.

¹⁸⁷maskara (daw.) — maska.

¹⁸⁸ożóg — kij służący za pogrzebacz.

¹⁸⁹snycerz — tu w znaczeniu ogólnym: rzeźbiarz.

¹⁹⁰kamea — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

¹⁹¹dać czemuś pokój — zrezygnować z czegoś.

¹⁹²naraz (daw.) — nagle.

¹⁹³wyrozumieć — dziś popr.: zrozumieć.

¹⁹⁴raszpla — pilnik charakteryzujący się grubymi nacięciami.

Podobnie jak mógłbym wyobrazić sobie ruch wstecz ku dniom mojej młodości, jak gdybym z elementarza uczył się abecadła w odwrotnym porządku od Z do A, aby z tego punktu dojść do szkoły, w której zacząłem się uczyć — tak samo, zrozumiałem, musiałbym też umieć powędrować do innej dalekiej krainy, która leży po tamtej stronie wszelkiego myślenia. —

Głob świata toczył się z trudem na moich barkach. I Herkules¹⁹⁵ jakiś czas dźwigał na głowie sklepienie niebios, przyszło mi do głowy — i utajony sens baśni odsłonił mi się przejrzysto. I jak się na nowo podstępem wyzwolił, mówiąc do olbrzyma, atleta: „Pozwól mi jeno¹⁹⁶ wiązką szpagatu¹⁹⁷ głowę obwiązać, aby mi czaszka nie pękła od tego strasznego ciężaru” — tak może byłaby jakaś ciemna droga, którą udałoby mi się zejść z tej stromej skały.

Naraz¹⁹⁸ opanowała mnie mocna podejrzliwość: nie chciałem już ślepo ufać kierownictwu swoich myśli. Położyłem się na grzbiecie — i palcami zasłoniłem oczy i uszy, aby mnie zmysły nie prowadziły na manowce. Ażeby zabić wszelką myśl.

Jednakże woła moja łamała się o żelazne prawo: mogłem tylko wypędzać jedną myśl przy pomocy drugiej — i skoro tylko jedna marła, druga wnet wyłaniała się z mogiły tamtej. Uciekałem w huczący potok swej krwi, ale myśli szły za mną aż do nóg; ukryłem się w kowadle swego serca: ale trwało to jedną chwilę, odkryły mnie natychmiast.

Znowu przybiegł mi z pomocą życzliwy głos Hillela i rzekł: „Zostań na swojej drodze i nie bądź chwiejny. Klucz sztuki zapomnienia należy do naszych braci, którzy wędrują po ścieżce śmierci; ale ty jesteś brzemienny duchem — żywota”.

Księga *Ibbur* ukazała się przede mną — i dwie litery płomienne z niej błysły: jedna, która oznaczała kobietę ze spiżu¹⁹⁹, mającą tętna puls tak potężne jak trzęsienie ziemi — i druga w nieskończonej dali, hermafrodyta²⁰⁰ na tronie z masy perłowej, w koronie z czerwonego drewna na głowie.

Po raz trzeci Szemajah Hillel przeciągnął rękę przed moimi oczyma — i pograżyłem się w głęboki sen.

Zaświaty

Krew, Myśl

ŚNIEG

„Drogi i szanowny mistrzu Pernath!

Piszę do Pana ten list w niesłychanym pośpiechu i najwyższej trwodze. Proszę, niechaj Pan ten list natychmiast zniszczy — po przeczytaniu, albo jeszcze lepiej niech mi go Pan zwróci wraz z kopertą. — Inaczej nie miałabym ani chwili spokoju. — Żadnej ludzkiej duszy niech Pan nie mówi, że do Niego pisała. Ani też, dokąd Pan dziś pójdzie.

Pańska zacna, dobra twarz — „świeżo” (ta krótka aluzja pozwoli Panu przypomnieć zdarzenie, którego Pan był świadkiem — i odgadnąć, kto pisze list, gdyż lękam się podpisać tu swe imię) — obudziła we mnie tyle zaufania, a nadto ponieważ drogi Pański nieboszczyk ojciec był moim nauczycielem, kiedyś była dzieckiem — wszystko to daje mi śmiałość, że zwracam się do Pana jako do jedynej osoby, do którego zwrócić się mogę.

Błagam Pana, niechaj pan dziś wieczorem o godzinie piątej przyjdzie do katedry na Hradczynie²⁰¹.

Znana Panu dama”.

List

¹⁹⁵*Herkules* — mitologiczny heros, jednym z jego czynów było tymczasowe zastąpienie Atlasa w podtrzymywaniu sklepienia niebieskiego.

¹⁹⁶*jeno* (daw.) — tylko.

¹⁹⁷*szpagat* — rodzaj cienkiego, mocnego sznurka.

¹⁹⁸*naraz* (daw.) — nagle.

¹⁹⁹*spiż* — stop miedzi, cynku i cyny.

²⁰⁰*hermafrodyta* — (od imion bogów gr. Hermesa i Afrodyty) istota dwupłciowa.

²⁰¹*Hradczyn* — dziś Hradczany, dzielnica Pragi, w której znajduje się zamek królewski.

Więcej niż kwadrans siedziałem bez ruchu i trzymałem list w ręce. Szczególny, uroczysty nastrój, który mnie opanował od wczoraj w nocy, nagłym uderzeniem został rozbity — został rozwany świeżym powiewem nowego dnia ziemskiego.

Młode przeznaczenie — uśmiechnięte i gorące — dziecię wiosny — przyszło do mnie. Ludzkie serce szukało u mnie pomocy. U mnie! Jakże inaczej wyglądał teraz mój pokój! Od robaków²⁰² stoczona²⁰³ szafka patrzyła na mnie ze szczególnym zadowoleniem, a cztery krzesła wydały mi się jak czworo poczciwych ludzi, którzy zasiedli dokoła stołu i chichocząc wesoło, grają w taroka²⁰⁴.

Godziny moje nabrały treści, treści bogatej i świetnej. Miałożby więc powiedzieć drzewo — jeszcze przynosić owoce?

Czułem, jak zaszemrała we mnie siła żywotna, która dotychczas we mnie drzemała — ukryta w głębiach mojej duszy, przysypana wrzawą dnia powszedniego: wytrysła jak krynica²⁰⁵ spod lodu, kiedy zima pęka.

I *wiedziałem* na pewno, trzymając ten list w ręku, że choćby nie wiem co się stanie, potrafię znaleźć ratunek. Radość mego serca dawała mi pewność.

Jeszcze raz — i jeszcze raz czytałem ten ustęp „a nadto ponieważ drogi Pański nieboszczyk ojciec był moim nauczycielem, kiedy byłam dzieckiem — —”; oddech miałem cichy. Czyż nie brzmiało to jak zapowiedź: czy dziś jeszcze będziesz ze mną w raju²⁰⁶?

Ręka, co się wyciągnęła ku mnie, szukając pomocy, dar trzymała dla mnie: *odrodzenie wspomnień, których pożałowałem*. Ona mi objawi tajemnicę, ona mi pomoże podnieść zasłonę, która się zamknęła nad moją przeszłością.

„Drogi Pański nieboszczyk ojciec” — — jakże osobliwie brzmią mi te słowa, które sobie wywróżyłem! — Ojciec! — Przez chwilę widziałem zmęczoną twarz siwowłosego starca — wynurzającą się w fotelu koło skrzyni — twarz obcą, a jednakże tak oczywiście mi znaną; — — potem oczy moje znów wróciły do siebie, a młot uderzeń mego serca wybijał uchwytłą godzinę teraźniejszości.

Podniosłem się przerażony. Czyżem przemarzył czas²⁰⁷? Spojrzałem na zegarek: chwila Bogu, wpół do piątej.

Zaszedłem do swej sypialni, wzięłem kapelusz i płaszcz — i zszedłem na dół po schodach.

I cóż mnie dziś obchodzić mogła ta zgroza ciemnych kątów i owe złowrogie, cisnące, pełne przygnębienia myśli, co się tu wszędzie ku mnie wydobywały: „Nie opuścimy cię — tyś nasz; nie chcemy, żebyś się radował — dopieroż byłoby to dobre, radość w tym domu!”

Lekki, zatruty pył, co się tu ze wszystkich przejść i zakamarków wydobywał i kładł się na mnie dławiącymi rękami, dziś rozpraszał się przed żywym tchnieniem mej piersi. Na chwilę zatrzymałem się przed drzwiami Hillela.

Czyż miałem wejść?

Tajemnicza trwoga powstrzymała mnie: nie zastukałem. Jakoś inaczej było we mnie — tak mianowicie, jakbym nie powinien wchodzić do niego. I już ręka żywota popychała mnie naprzód, w dół po schodach.

Ulica była biała od śniegu.

Zdaje się, że wielu ludzi mi się kłaniało. Nie pamiętam, czym też im odpowiadał ukłonem. Nieustannie czułem na piersi, że list przy sobie niosę. Ciepło tchnęło z tego miejsca.

Pamięć

Smutek

²⁰²od robaków (daw.) — przez robaki.

²⁰³stoczony — przeżarty przez korniki bądź inne robactwo.

²⁰⁴tarok a. tarot — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wróżenia.

²⁰⁵krynica — źródło.

²⁰⁶dziś jeszcze będziesz ze mną w raju — por. Łk 23, 43.

²⁰⁷czyżem przemarzył czas — sens: czy marząc, zapomniałem o terminie spotkania.

Szedłem przez łuki arkad²⁰⁸ z ciosowego kamienia²⁰⁹ na rynku Staromiejskim i obok spiżowej studni, której barokowe sztachety obwieszane były soplami z lodu, dalej przez kamienny most z posągami świętych i figurą świętego Jana Nepomucena²¹⁰.

W dole pieniała się rzeka, pełna nienawiści ku fundamentom mostu.

Przez pół²¹¹ w marzeniu rzuciłem wzrok na wydrążony piaskowiec ze świętym Luitgardem i „mękami potępionych” na nim; gęsto leżał śnieg na członkach²¹² pokutników i łańcuchach, pętających ich do góry podniesione ręce.

Łuki arkad były już poza mną, teraz ciągnęły się powoli pałace o dumnych, snycerską robotą²¹³ zdobnych podwojach, a na nich lwie głowy z kółkiem spiżowym w paszczy.

I tu wszędzie śnieg — śnieg. Miękki, biały jak skóra olbrzymiego niedźwiedzia spod bieguna lodowatego²¹⁴.

Wszystkie, dumne okna, gzymsy pokryte szromem i lodem, obojętnie spoglądały w przestwór ku obłokom.

Dziwiłem się, że niebo jest pełne ciągnących ptaków.

Gdy wchodziłem po niezliczonych stopniach granitowych na Hradczyn²¹⁵, a każdy szeroki na miarę czworga chłopa, krok za krokiem miasto ze swymi dachy i szczyty²¹⁶ zapadało się w mgły przed moimi zmysłami.

Już czołgał się zmierzch wzdłuż szeregu domów, gdy wszedłem na samotny plac, z którego środka katedra unosi się ku tronowi aniołów.

Ślady nóg, których brzegi zakrzepły lodem — prowadziły do bocznej bramy.

Skądziś z jakiegoś odległego mieszkania dzwoniły łagodne zabłąkane tony harmoniki²¹⁷ — śród²¹⁸ powszechnej ciszy wieczornej. Jak kropelki łez żaloby, dźwięki te zapadały w omdleniu.

Usłyszałem poza sobą westchnienie wyścielanej poduchy²¹⁹, gdy zamykał za sobą drzwi kościelne poduchą wewnątrz wyścielone; wówczas znalazłem się w mroku, a złoty ołtarz w niemym spokoju migał ku mnie zielonym i niebieskim skrzyżowaniem²²⁰ zamierającego światła, które spływało na klęczniki poprzez kolorowe szyby.

Iskry się sypały z czerwonych szklanych ampl²²¹.

Powiedły zapach wosku i kadzidła.

Opieram się o ławkę. Krew moja dziwnie się uspokaja w tym królestwie nieruchomości.

Życie bez uderzeń serca napelniało przestrzeń — tajemnicze, cierpliwe oczekiwanie.

Srebrne skrzyneczki z relikwiami leżały we śnie wiekiustym.

Oto z wielkiej, wielkiej oddali przenikał turkot kopyt końskich przytłumiony, ledwie wyczuwalny uchem, jakby chciał się przybliżyć i milknąć.

Matowy dźwięk, jak kiedy turkot kół ścicha.

Świątynia

Szelest jedwabnej sukni zbliżył się do mnie i subtelna, wytworna kobieca ręka dotknęła się mego ramienia.

Kobieta, Spotkanie

²⁰⁸arkada — łuk wsparty na dwóch kolumnach.

²⁰⁹ciosowy kamień — „cios” to duży blok kamienny, dekoracyjnie obrobiony z jednej strony.

²¹⁰św. Jan Nepomucen (ok. 1350–1393) — kapłan i męczennik, spowiednik Zofii Bawarskiej, rzucony z mostu do Wełtawy z rozkazu króla czeskiego Wacława.

²¹¹przez pół (daw.) — w połowie.

²¹²członki (daw.) — kończyny.

²¹³snycerska robota — snycerstwo, rzeźbienie w drewnie.

²¹⁴olbrzymiego niedźwiedzia spod bieguna lodowatego — w oryginale mowa po prostu o dzikim niedźwiedziu polarnym.

²¹⁵Hradczyn — dziś Hradczany, dzielnica Pragi, w której znajduje się zamek królewski.

²¹⁶ze swymi dachy i szczyty — dziś popr. forma N. lm: ze swymi dachami i szczytami.

²¹⁷harmonika — instrument muzyczny złożony z obracających się szklanych kręgów różnej wielkości, wprawianych w drgania przez pocieranie wilgotnym opuszkiem palca.

²¹⁸śród — dziś popr.: pośród.

²¹⁹poducha — chodzi o obicie, stanowiące izolację cieplną.

²²⁰skrzyżowanie — iskrzenie, błyski.

²²¹ampla — z niem. *die Ampel*, światło, źródło światła (obecnie przede wszystkim: sygnalizacja świetlna).

— Proszę, proszę — chodźmy tam pod kolumnę; przykro by mi było tu koło kłęczników mówić z panem o rzeczach, o których mam mu powiedzieć.

Uroczyste obrazy dokoła wypłynęły w trzeźwej jasności, światło nagle mi się jawiło.

— Nie wiem wcale, jak mam Panu dziękować, mistrzu Pernath, że Pan był łaskaw na tak brzydką nie pogodę zrobić dla mnie tak daleką drogę.

Szepnąłem parę banalnych wyrazów.

— Ale nie znam innego miejsca, gdzie była bym pewniejsza od szpiegów i niebezpieczeństwa, jak²²² tu. Tu do katedry na pewno nikt za nami nie chodził.

Wyjąłem list i wręczyłem go damie.

Była ona prawie jak zamaskowana, w kosztownym futrze — ale już z dźwięku jej głosu poznałem ją jako tę, która niegdyś pełna strachu uciekła przed Wassertrumem do mego pokoju na Kogucim Zaulku. Nie byłem też bynajmniej zdziwiony, gdyż tego właśnie oczekiwałem.

Oczy moje zawisły na jej twarzy, która w zmierzchu śród²²³ tej niszy muru zdawała się jeszcze bledszą, niż to mogło być w rzeczywistości. Piękność jej była tak zdumiewająca, że powstrzymałem oddech i stałem jak zaklęty. Najchętniej padłbym jej do nóg i całowałbym jej stopy, dziękując, że to ona była, co wzywała mojej pomocy; że ona mnie do tego wybrała.

— Niech pan zapomni, najserdeczniej błagam Pana — przynajmniej dopóki tutaj jesteśmy — o sytuacji, w jakiej mnie Pan kiedyś widział — mówiła z pewnym zażenowaniem — choć nie wiem nawet, co pan o takich sprawach myśli — —.

— Stary już jestem, ale ani razu w życiu nie miałem tyle pychy, aby pozwolić sobie być sędzią swoich bliźnich! — oto jedyna rzecz, którą powiedziałem.

— Dziękuję panu, mistrzu Pernath — rzekła mi ciepło i szczerze. — A teraz niech pan słucha cierpliwie, czy pan nie mógłby mi w moich wątpliwościach dopomóc, albo przynajmniej rady jakiej udzielić.

Czułem, jak ją dzika trwoga opanowuje. Głos jej drżał.

— Wówczas — w pracowni — — — wówczas ze strasliwą świadomością błysła mi pewność, że ten okropny ludożerca śledzi mnie nieustannie z rozmysłem. Już od paru miesięcy zauważyłam, że gdziekolwiek pójdę — czy to sama — czy ze swoim mężem — — czy — — czy z doktorem Savioli, zawsze bezecna, zbrodnicza twarz tego tandeciarza gdziekolwiek krąży w moim pobliżu. We śnie czy na jawie prześladowa mnie jego zezowate oczy. Jeszcze nie masz²²⁴ żadnego znaku, który by świadczył, co on zamyśla, ale tym bardziej dręczy mnie trwoga po nocy: kiedy poczuję jego pętlę na szyi²²⁵.

Początkowo doktor Savioli chciał mnie uspokoić, drwiąc, co w ogóle mógłby tam zrobić taki nędzny tandeciarz²²⁶ jak Aron Wassertrum — co najwyżej chodzi tu może o jakie błahе wyciśnięcie pieniędzy lub coś podobnego. Uważałem jednak, że zawsze, gdy zabrzmiało imię Wassertrum — wargi jego stawały się prawie białe. Czuję, że doktor Savioli ukrywa przede mną jakąś tajemnicę, aby mnie uspokoić — coś strasliwego, co albo on, albo ja mogę zapłacić życiem. —

I oto dowiedziałam się tajemnicy, którą on starannie chciał przede mną zasłonić: że tandeciarz wielokrotnie nocą odwiedzał jego mieszkanie! — Wiem o tym, czuję to każdą fibrą²²⁷ swego ciała: dzieje się coś, co powoli dokoła nas się zacieśnia, jak pierścienie wężowe. — Czego szuka ten morderca? Dlaczego doktor Savioli nie może go precz wypędzić? Nie, nie! dłużej tak wytrzymać nie mogę: muszę coś uczynić! Co bądź, zanim wpadnę w oblężenie. —

Chciałem jej powiedzieć kilka wyrazów na pocieszenie, ale ona aż do końca nie dała mi dojść do słowa.

— A w ostatnich dniach ten upiór, co mi grozi zadławieniem, przybiera coraz uchwyt-

Strach, Tajemnica

Niebezpieczeństwo

²²²jak — dziś popr.: niż.

²²³śród — dziś popr.: pośród.

²²⁴nie masz (daw.) — nie ma (forma bezosobowa).

²²⁵tym bardziej dręczy mnie trwoga po nocy: kiedy poczuję jego pętlę na szyi — sens: tym bardziej obawiam się, że kiedyś on mnie zaatakuję.

²²⁶tandeciarz — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

²²⁷fibra (daw., z łac.) — włókno.

niejsze formy. Doktor Savioli zachorował — nie mogę się z nim więcej porozumieć — nie mogę iść do niego, bo co chwila się lękam, że tajemnica naszej miłości będzie odkryta. Leży w gorączce — i jedyna rzecz, jakiej się mogłam dowiedzieć, jest ta, że w delirium²²⁸ czuje się ściganym przez okropne widmo, które ma zajęczą wargę: to Aron Wassertrum.

Wiem, jak doktor Savioli jest mężny; tym bardziej przerażająco — czy pan może sobie to wyobrazić? — działa to na mnie, że go widzę całkiem złamanym, gdy mu grozi jakieś niepojęte niebezpieczeństwo, które ja sama przeczuwam tylko jako ponure zbliżanie się jakiegoś strasznego anioła dusiciela.

Pan mi powie, że jestem tchórzliwa — i dlaczego otwarcie się nie przyznam, że Kocham doktora Saviolego... Tak, odrzuciłam precz od siebie wszystko: bogactwa, szczyty, reputację i tak dalej, ale — krzyknęła tak mocno, że głos jej odbił się echem w galeriach chórowych — ale ja nie mogę. Ja mam dziecko, drogą, jasnowłosą, małą dziewczynkę. Nie mogę przecie dziecka ustąpić! Czy pan myśli, że mój mąż by mi je zostawił?

Niech pan to weźmie, panie Pernath — w półoblędzie rzuciła mi woreczek wyhaftowany sznurami perłą i drogich kamieni. — I niech pan to zanieś temu zbrodniarzowi; wiem, on jest chciwy — niechaj zabiera wszystko, co mam, ale dziecko musi mi zostać! — Nie prawda, będzie milczał? A więc powiedz mi pan na miłość Jezusa Chrystusa, powiedz mi Pan tylko jedno słowo, że Pan mi pomoże!

Po długich trudach udało mi się opętanej kobietę uspokoić na tyle, że usiadła w ławce.

Mówiłam do niej to, co mi chwila przyniosła. Pomieszane, związku pozbawione zdania. —

Myśli przy tym ścigały się wzajem w moim mózgu tak, że ledwie rozumiałem, co mówiły moje usta — pomysły fantastyczne, które rozwiewały się, zanim na świat się rodziły.

Nieprzytomny prawie utkwilem wzrok na jakiejś malowanej postaci mnicha w sąsiedniej kaplicy. Mówiłam a mówiłam. Rysy posagu zmieniały się co chwila: habit stał się wytartym do nici paltem o okłapłym wysokim kołnierzu, a razem²²⁹ wylaniała się młodzieńcza twarz z wyżartą wargą — i suchotniczymi²³⁰ plamami. Zanim zdołałem ująć tę wizję, mnich na nowo stał się mnichem. Pulsy moje biły za mocno.

Nieszczęśliwa kobieta pochyliła się nad moją ręką — i po cichu płakała. Dałem jej coś z tej siły, jaką wyrobiłem w sobie wówczas, gdy czytałem jej list — i na nowo czułem się teraz mocny — i widziałem, jak ona powoli się tym napawała.

— Powiem panu, dlaczego ja właśnie do pana się zwróciłam, mistrzu Pernath — łagodnie rzekła znów po dłuższym milczeniu. — Pan mi kiedyś powiedział parę słów — i tych słów nie zapomniałam nigdy, pomimo że wiele lat już minęło — —

Wiele lat! Ile? krew mi uderzyła do głowy.

— — Pan odjeżdżał — pan się żegnał ze mną — nie wiem już, dlaczego i po co — przecież byłam jeszcze dzieckiem — i mówił Pan tak życzliwie, a jednak tak smutno: „Oby nigdy ta chwila nie nadeszła, ale jeżeli kiedy zdarzy ci się w życiu, czego nie przeczuwasz, to wspomnij sobie o mnie. Może pozwoli mi Pan Bóg, że ja to będę kiedyś tym, co ci da pomoc i ratunek”. Odwróciłam się i szybko rzuciłam piłkę do wodotrysku, aby Pan moich łez nie zobaczył. A potem chciałam panu dać czerwone serce koralowe, które nosiłam na szyi na jedwabnej wstążce, ale wstydziałam się, bo to byłoby tak śmieszne. — —

Wspomnienie!

Palce drętwego kurczu dotykały znów mego gardła. Błysk z jakiejś zapomnianej, dalekiej krainy tęsknoty zajaśniał mi — bezpośrednio i strasznie: mała dziewczynka w białym ubraniu, a dokoła ciemna łąka parku zamkowego, otoczona starymi więzami. Wyraziście ujrzałem znowu to wszystko przed sobą.

Miłość, Dziecko

Siła

Musiąłem się zarumienić; zauważyłem to z pośpiechu, z jakim ona mówiła dalej:

²²⁸delirium — stan zaburzenia świadomości, w którym występują halucynacje.

²²⁹razem (daw.) — jednocześnie.

²³⁰suchotniczy — charakterystyczny dla suchotnika, tj. chorego na gruźlicę.

— Ja wiem, że pańskie słowa wówczas odpowiadały nastrojowi pożegnania, ale ich pamięć często była moją pociechą — i dziękuję Panu za nie.

Ze wszystkiej siły ścisnąłem zęby — i wyjący ból, co mnie szarpał, wyгнаłem z powrotem z piersi.

Zrozumiałem: dobrotliwa była to ręka, która zasunęła rygle przed moją pamięcią. Jasno teraz wyczytałem w swej świadomości: Miłość, zbyt silna dla mego serca, na lata przegryzła moje myślenie, a noc obłąkania stała się balsamem dla mego ranionego ducha.

Pomału zapadł nade mną spokój obumierania i ochładzał łzy na mych powiekach. Odgłos dzwonu poważnie i dumnie zagrzmiął po katedrze — i z radosnym uśmiechem mogłem spoglądać w oczy tej, co tu przyszła szukać u mnie pomocy.

Miłość niespełniona,
Szaleństwo

Znów słyhać było głuchy turkot kół i tętent kopyt końskich.

W nocnym, błękitnawym połysku śnieżnych ulic zeszedłem w dół do miasta.

Latarnie przyglądały mi się migotliwym okiem, a z zestromiałych gór — z jodeł — płynęły szepty o błyskotkach i srebrnych orzechach i o nadchodzącym Bożym Narodzeniu.

Na placu ratuszowym pod figurą Matki Boskiej przy blasku świec stare żebraczki w szarych chustach na głowie mruczały swój różaniec do Marii Panny.

Przed ciemnym wejściem do żydowskiego miasta sterczały budy jarmarczne na Boże Narodzenie. W samym środku — opięta czerwonym płótnem jaskrawo się uwydatniała, oświetlona bujającymi lampionami — otwarta scena teatru kukiełek.

Teatr

Poliszynel²³¹ Zwaka w purpurze i fioletach, z biczem w ręce, a na biczu na sznurku trupia głowa — pędził, kłapiąc, na drewnianej szkapie po deskach.

Lalka

Szeregami ściśle koło siebie stłoczeni stali malcy — chłopcy i dziewczęta — w czapczkach futrzanych, mocno na uszy naciśniętych — z otwartą buzią — i jak oczarowani słuchali wierszy poety praskiego Oskara Wienera²³², które mój przyjaciel Zwak wymawiał ukryty w parawanie.

Na samym czele szedł Pajac,
Chłop chudy niby wierszopis:
Jaskrawe nosił łachmany
Chwiał się i gębę wykrzywał.

Skręciłem w zaułek, który czarno i węglowato wsuwał się w plac. Gęsto, głowa przy głowie, milczaco stał tłum ludzi — w mroku — przed jakimś ogłoszeniem.

Ktoś zapalił zapalną — i ułamkowo mogłem odczytać kilka wierszy. W odrętwieniu zmysłów świadomość moja była zdolna pochwycić parę słów.

Zaginiony!
1000 florenów²³³ nagrody.
Starszy Pan.....czarno ubrany.
.....Rysopis...
..... twarz mięsista, gładko wygolona...
..... Barwa włosów: biała...
... Dyrekcja policji... Pokój nr....

Pozbawiony pragnień współludziału w czymkolwiek, żywy trup — szedłem powoli w głąb — w ciemne szeregi domów.

Garść drobnych gwiazdek migotała na wąskiej, ciemnej drodze niebios nad wierzchołkami kamienic.

²³¹Poliszynel — (wl. *Pulcinella*, czyli kogucik), postać z komedii *dell'arte*, zwykle występująca z kogucim piórem, charakteryzująca się złośliwością, nieuprzejmością i egoizmem.

²³²Oskar Wiener — poeta praski, aktywny na początku XX w.

²³³floren — złota moneta z Florencji, często naśladowana przez mennice innych krajów.

Pełne upojenia myśli moje bujały, płynąc z powrotem ku katedrze — a cisza mojej duszy stawiała się wciąż uroczystsza i głębsza, gdy oto dotarł do mnie z placu poprzez zimowe powietrze donośny i wyraźny jakby tuż koło mego ucha brząający — głos jasełkarza²³⁴.

Gdzie serce z czerwonego kamienia?
Wisiało na sznurku jedwabnym
I błyszczało w jutrzni porannej! — — —

STRACH

Długo w noc niespokojnie krążyłem po pokoju i w mózgu trawiłem różne myśli, jak to ja mógłbym jej pomóc.

Nieraz byłem już bliski postanowienia, aby zejść na dół do Szemajaha Hillela, opowiedzieć mu, co mi powierzono i prosić go o radę. Ale za każdym razem odrzuciłem precz tą decyzję.

Stał on w duchu przede mną tak wysoko, że mi świętokradztwem się zdawało zaprzętać²³⁵ go rzeczami, które dotyczą życia zewnętrznego; po czym znów przyszły chwile, gdy mnie opadły palące wątpliwości, czy ja rzeczywiście przeżyłem wszystko, co trwało jeno²³⁶ krótki czas, a jednak zdało się przybladłym — w porównaniu z huraganowym potokiem przeżyć dnia ubiegłego.

Czym nie śnił? Czyż ja, człowiek, któremu się zdarzyła rzecz niesłychana, że zapomniał swej przeszłości — czyż ja na jedną chwilę mogłem uznać za pewność — to, ku czemu jako jedyny świadek wspomnienie moje wyciągało rękę? —

Oko moje padło na świecę Hillela; wciąż leżała na krześle. Dzięki Bogu przynajmniej jedna rzecz jest pewną: byłem z nim w osobistym zetknięciu.

Czyż nie powinienem bez namysłu lecieć do niego, za kolana go obłapić²³⁷ i jak człowiek człowiekowi żale mu swe wypowiedzieć, że jakiś niewymowny ból pożerał moje serce.

Już ręką trzymałem za klamkę, ale znów ją cofnąłem. Domyślałem się, co by z tego wynikło. Hillel łagodnie przeciągnąłby spojrzeniem moje oczy i — — — Nie, nie! tylko tego nie chcę. Nie miałem prawa szukać ulgi. Ona zaufała mnie i mojej pomocy, a gdyby nawet niebezpieczeństwo, w jakim się czuła, chwilami nawet zdawać się mogło drobne i nikłe — to jednak ona je odczuwała na pewno jako olbrzymie.

Hillela prosić o radę — miałem czas jutro; zmuszałem się myśleć chłodno i trzeźwo.

Teraz — w połowie nocy go niepokoić — nie, to rzecz niewłaściwa. Tylko obłąkany tak by postąpił.

Chciałem zapalić lampę, ale dałem pokój. Światło księżyca z zaśnieżonych dachów spływało do mej izby i dawało mi więcej jasności, niż potrzebowałem. Lękałem się, że noc mogłaby mi się wydać dłuższą, gdybym zapalił lampę.

Tyle beznadziejności było w moich myślach, że nie pałę rzekomo lampy dlatego tylko, aby doczekać się świtu! Ale lekka trwoga szeptała mi, że ranek tym sposobem cofa się w dal niepochwytą.

Zbliżyłem się do okna; jak widmowy, w powietrzu bujający cmentarz unosiły się bezładnie rozmieszczone szeregi szczytów kamienicznych tam w górze: niby głazy mogilne z zatartą cyfrą lat, zawisły te „siedziby”, w których gryzły się rojowiska piekieł i ścieżek pokolenia żywych.

Długo tak stałem i spoglądałem w górę, aż w końcu miękko, zupełnie miękko zacząłem się dziwić, dlaczego się nie przerażam, gdy odgłos powstrzymywanych kroków przenika do mego ucha wyraźnie poprzez ściany.

²³⁴jasełkarz — lalkarz.

²³⁵zaprzętać — zajmować kogoś jakimiś sprawami.

²³⁶jeno (daw.) — tylko.

²³⁷za kolana go obłapić — obejmowanie pod kolana było gestem błagania i zarazem uznania czyjejs wyższości.

Pamięć

Światło

Nasłuchuję: nie ma wątpliwości, znów jakiś człowiek tam stąpa. Krótkie skrzypienie desek zdradza, gdzie jego trzewik, zwlekając, dotknie podłogi. Od razu wróciłem do przytomności. Po prostu znalazłem siebie, tak się wszystko zjednoczyło we mnie pod naciskiem woli nasłuchiwania. Każde wrażenie czasu zlewało się w teraźniejszość.

Jeszcze gwałtowne trzeszczenie, które się przeraziło samo siebie i gwałtownie się przerwało.

Nieruchomy stałem, przycisnąwszy ucho do ściany, z groźnym uczuciem w gardle, że wewnątrz tam ktoś stoi właśnie tak, jak ja — i czyni to samo.

Nasłuchuję a nasłuchuję:

Nic!

Pracownia w sąsiedztwie wydawała się jak zamarła.

W najgłębszej ciszy — na palcach nóg zakradłem się na krzesło przy moim łóżku, wzięłem świecę Hillela i zapaliłem.

Wtedy przekonałem się: żelazne drzwi spichrzowe na zewnątrz na ganku, prowadzące do pracowni Saviolego, można było otworzyć tylko z wewnątrz. — — —

Na chybił-trafił pochwyciłem kawał hakowanego drutu, który leżał wśród²³⁸ moich narzędzi do rytowania. Takie zamki łatwo się otwierają.

I co by się potem stać mogło?

Mógł to być, jak przypuszczam, tylko Aron Wassertrum, który w pobliżu szpiegował — zapewne szperał w szafkach, aby dostać w ręce nową broń i dowody.

Czy to mi na co się przyda, gdy tam wejść? Nie namyślałem się długo: trzeba działać, a nie namyślać się. Aby się tylko skończyło to straszne oczekiwanie jutra!

I stałem już koło żelaznych drzwi na podłodze, nacisnąłem je, wyciągnąłem hak z zamku i nadśluchiwałem. Rzeczywiście: wewnątrz w pracowni szmer, jak gdyby ktoś wysuwał szufladę.

W następnej chwili rygiel odskoczył.

Mogłem obejrzeć pokój, chociaż było prawie ciemno i świeca tylko mnie oślepiła; ujrzałem, jak ktoś w długim czarnym palcie nagle odskoczył przerażony od biurka — wahając się przez sekundę, dokąd uciekać — wykonał ruch, jakby chciał się na mnie rzucić, zerwał po chwili kapelusz z głowy i szczelnie zakrył nim twarz.

— Czego pan tutaj szuka? — chciałem krzyczeć, lecz człowiek ten uprzedził mnie:

— Pernath! to pan? Na miłość Boską! Zgaś pan światło — Głos wydawał mi się znajomy, lecz w żadnym wypadku nie należał do kramarza Wassertruma.

Automatycznie zdmuchnąłem świecę. W pokoju był półmrok — słabo rozświetlony tylko błyszczącą parą, wciskającą się przez zagłębienia okienne i musiałem oczy dobrze wyteńczyć, zanim udało mi się w wynędzniałej, przelęknionej twarzy, która wynurzyła się nagle ponad paltem, poznać rysy studenta Charouska.

„Mnich!” cisnęło mi się na usta i poznałem od razu wizję, którą widziałem wczoraj w katedrze.

Charousek! To był człowiek, z którym miałem rozmawiać! Słyszałem znowu jego słowa, które wypowiadał wtedy podczas deszczu w bramie: „Aron Wassertrum przekonał się, że można kłuć po przez mury zatrutą niewidzialną igłą”.

Właśnie w dniu, w którym chciał ująć za kark doktora Saviolego.

Czyżbym miał w Charousku współnika? Czy on wiedział, co się teraz stało? Jego obecność tutaj o tak niezwyklej porze prawie stwierdzała to, lecz lękałem się wprost go o zapytać. Pośpieszył do okna i zza firanki śledził ulicę.

Zrozumiałem: obawiał się, czy Wassertrum nie spostrzegł światła mojej świecy.

— Pan myśli zapewne, że jestem złodziejem, który nocą grabi po cudzych mieszkaniach, mistrzu Pernath? — zaczął po długim milczeniu, niepewnym głosem — lecz przysięgam panu — —

Przerwałem mu natychmiast mowę i uspokoiłem go szczerze. I aby mu okazać, że o nim nic złego nie myślę, lecz uważam go raczej za współnika, opowiedziałem mu z małymi opuszczeniami to, co uważałem za konieczne, i co miało związek z pracownią. Dodałem nadto:

²³⁸śródo — dziś popr.: pośród.

— Obawiam się, że pewna bliska mi kobieta jest w niebezpieczeństwie i w nieprzewidywany sposób może stać się ofiarą złych zamiarów tandeciarza.

Po uprzejmym sposobie, w jaki się przysłuchiwał, nie przerywając pytaniami, domyśliłem się, że jeżeli nie szczegóły, to przynajmniej ogólna treść sprawy jest mu znana.

— Zgoda — powiedział, gdy skończyłem.

— Nie myliłem się jednakże! Łotr chce schwycić Saviolego za gardło, ale widocznie ma jeszcze przy sobie za mało materiału. Gdyby nie to, po cóż by on się tutaj kręcił!

A mianowicie szedłem wczoraj, powiedzmy: przypadkowo, przez Koguci Zaulek — objaśnił, spostrzegłszy moją pytającą minę — wtęmad wpadło mi w oczy, że Wassertrum, z początku długo zapewne niezdecydowany, wahał się wciąż przed bramą, lecz potem, gdy się przekonał, że nikt go nie śledzi, skręcił szybko do domu. Szedłem wciąż za nim, udawałem, jak gdybym go chciał odwiedzić, to znaczy zapukałem do niego i zaskoczyłem go właśnie, gdy wewnątrz majstrował kluczem przy żelaznych drzwiach w podłodze.

Naturalnie zaniechał tego natychmiast, gdy tylko wszedłem, i także upozorował, że stuka do pana. Zdaje się, że właśnie pana w domu nie było, gdyż nikt nie otwierał.

Skoro potem ostrożnie wypytywałem w żydowskiej dzielnicy, dowiedziałem się, że ktoś — podług opisu mógł to być tylko doktor Savioli — zajmuje tutaj potajemnie uboczne mieszkanie. Lecz ponieważ doktor Savioli leży często chory, reszty domyśliłem się sam. Widzi pan: wyłowilem to z szuflad, aby uprzedzić Wassertruma w każdym wypadku — zakończył Charousek i wskazał paczkę listów, leżącą na biurku. — To wszystkie papiery, jakie mogłem znaleźć. Przypuszczam, że nic więcej nie zostało. Tak dobrze mi to szło w ciemności, że wypróżniłem przynajmniej wszystkie skrzynie i szafy.

W ciągu tego opowiadania przyglądałem się bacznie²³⁹ pokojowi i mimo woli wzrok mój zatrzymał się na skrytych drzwiach w podłodze. Zamyśliłem się przy tym, gdyż Zwak mi kiedyś opowiadał, że do pracowni prowadzi z dołu jakieś skryte wyjście. Była to czworokątna płyta z kółkiem do podnoszenia.

— Gdzie mamy schować te listy? — rozpoczął znowu Charousek. Pan, panie Pernath, i ja jesteśmy jedyni w całym Getcie, którzy bez złej myśli uprzedzamy działanie Wassertruma... Dlaczego właśnie ja, to ma swoje specjalne znaczenie. (Widziałem, jak jego rysy wykrzywiły się w dzikiej nienawiści, gdy rozgryzał to ostatnie zdanie —) A pana on uważa za — Charousek stłumił ostatnie słowo „wariata” prędkim, sztucznym kaszlem, lecz domyśliłem się, co chciał powiedzieć. Nie sprawiło mi to przykrości: Uczucie, że mogę „jej” pomóc wywołało we mnie taką radość, że wszystką wrażliwość²⁴⁰ moją zatarła.

Radość

— W końcu zrobiliśmy postanowienie²⁴¹ ukryć paczkę u mnie i poszliśmy do mego pokoju.

Charousek wyszedł już dawno, lecz ja wciąż nie mogłem się zdecydować iść do łóżka. Jakieś wewnętrzne niezadowolenie gryzło mnie i powstrzymywało od tego; czułem, że miałem jeszcze coś do wykonania; Ale co? co?

Nakreślić plan dla studenta, co czynić potem? Było to niepodobieństwem. Tak czy owak, Charousek nie schodzi z oczu tandeciarza, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wzdrygnąłem się, pomyślawszy o nienawiści przezierającej ze słów Charouska. Cóż mu uczynić mógł Wassertrum? Dziwny niepokój wewnętrzny wzrastał we mnie i doprowadzał mnie do rozpacz. Było to coś niewidzialnego, coś grobowego, lecz nie rozumiałem, co to jest. Czułem się jak szkapa, którą tresują, która czuje szarpnięcie wędzidla, lecz nie wie, jaką sztukę ma wykonać, nie rozumiejąc woli swego pana. Może zejść na dół do Szemajaha Hillela? Każda fibra²⁴² mówiła mi: nie! Wizja mnicha w katedrze, z którego ramion wynurzała się wczoraj głowa Charouska jako odpowiedź na niemą prośbę o radę, dała mi wskazówkę, aby nie lekceważyć bezwzględnie przeczuć utajonych. Tajemnicze siły kielkowały we mnie od dłuższego czasu, było to pewne: okazały się one zbyt potężne, jeżeli tylko spróbowałem się im oprzeć. Pojąłem, że wyczuwać można litery nie tylko oczyma,

²³⁹bacznie — uważnie.

²⁴⁰wrażliwość — tu raczej: drażliwość.

²⁴¹zrobiliśmy postanowienie — dziś popr.: postanowiliśmy.

²⁴²fibra (daw., z łac.) — włókno.

czytając je w książce; — wywołać w sobie samym tłumacza, który by objaśniał, co bez słów szepczą instynkty: że to jest właśnie klucz porozumienia ze swą duszą za pomocą przejrzystej mowy nadcielesnej. „Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie”²⁴³ — wpadł mi do głowy, niby wyjaśnienie, wyjątek z Pisma.

„Klucz, klucz, klucz” — zauważyłem nagle, że wargi moje powtarzają to mechanicznie, podczas gdy duch igraszkę sobie robił we mnie z tymi szczególnymi pojęciami. „Klucz, klucz” — — ?

Wzrok mój padł na zgięty drut trzymany w ręce, który mi służył do otwierania drzwi od spichrza i ogarnęła mnie niezwalczona ciekawość, dokąd mogły prowadzić czworokątne ukryte drzwi pracowni. — Nie namyślając się, wszedłem jeszcze raz do pracowni Saviolego i ciągnąłem kółko od drzwi tak długo, aż wkońcu udało mi się płytę podnieść.

Z początku nic, tylko ciemność. Zszedłem na dół. Chwilę dotykałem rękami wzdłuż ściany, lecz nie można było się domyśleć, kiedy to się skończy. Framugi²⁴⁴ wilgotne od pleśni i próchna, zakręty; rogi i kąty — spadziste przejścia na lewo i na prawo, resztki starych drzwi drewnianych, rozgałęzienia dróg i potem znów stopnie, stopnie w górę i na dół. Wszędzie mdły, duszący zapach pleśniowego grzyba i wilgotnej ziemi. I nigdzie ani promyka światła. — Gdybym choć zabrał ze sobą świecę Hillela! W końcu płaska, równa droga. Ze skrzypienia pod nogami doszedłem do wniosku, że stąkam po suchym piasku. Mogło to być jedno z tych niezliczonych przejść, które bezcelowo pod Gettem prowadziły do rzeki. Nie zdziwiłem się: pół miasta stoi od niepamiętnych czasów na takich podziemnych przejściach, a mieszkańcy Pragi mieli widać niejedną ważną przyczynę, aby unikać światła dziennego. Brak jakiegokolwiek szmeru nad głową mówił mi, że znajduję się wciąż w okolicach dzielnicy żydowskiej, która w nocy jest jakby wymarłą — chociaż wędrowałem już tak zda się całą wieczność. Ożywione ulice i place zdradzałyby się nade mną odległym turkotem wozów. Przez sekundę ogarnęła mnie trwoga: co będzie, gdy zabłądzę?! Wpadnę w dół, poranę się, złamię nogę i nie będę mógł iść dalej? Co się wtedy stanie z jej listami w moim pokoju? Musiałyby niezawodnie wpaść w ręce Wassertruma. Myśl o Szemajahu Hillelu, z którym niejasno łączyłem pojęcie pomocnika i kierownika, uspokoiła mnie mimo woli. Ostrożnie szedłem coraz wolniej, badawczym krokiem i trzymałem ręce w górze, aby nie uderzyć się niespodzianie w głowę, gdyż korytarz robił się coraz niższy. Od czasu do czasu coraz częściej uderzałem ręką w sufit, aż w końcu kamienie tak znacznie²⁴⁵ wystawały, że aby przejść, musiałem się pochylać! Nagle, podniósłszy rękę, natrafiłem na pustą przestrzeń. Stałem i zdretniałem. Zdawało mi się, że z sufitu pada słaby, zaledwie dostrzegalny promień światła. Czyżby dochodził dotąd szyb z jakiejś piwnicy?

Ciemność

Strach

Światło

Udałem się w tym kierunku, obmacywałem obojgiem rąk dokoła siebie: na wysokości głowy otwór był czworokątny i obmurowany. Powoli mogłem rozróżnić w nim, jako zamknięcie, ciemne zarysy poziomego krzyża, a w końcu udało mi się pochwycić za jego ramiona, podciągnąć się w górę i przecisnąć się przez jego szczyty. Stałem teraz na krzyżu i zacząłem się orientować. Widocznie kończyły się tu resztki żelaznych, krętych schodów, o ile mnie czucie moich palców nie myliło. Długo, bardzo długo musiałem szukać, zanim znalazłem drugi stopień, po czym wdrapywałem się dalej. Wszystkiego było ośm²⁴⁶ stopni. Każdy z nich prawie na wysokość człowieka nad poprzednim. Dziwne schody kończyły się pewnego rodzaju poziomą płaszczyzną, co migotała od regularnych, krzyżujących się linii świetlnych, które zauważyłem jeszcze na dole w korytarzu. Schyliłem się, jak tylko mogłem najbardziej, aby móc z trochę większej odległości lepiej odróżnić, jak idą te linie i spostrzegłem ku memu zdziwieniu, że tworzą one tutaj kształt prawidłowego sześciokąta, jak to ma miejsce na Synagogach²⁴⁷.

Co by to mogło być? Nagle odgadłem. Były to drzwi spuszczone, dające światłu przejście przez szpary! Drzwi spuszczone z drewna w kształcie gwiazdy. Oparłem się plecami o płytę, nacisnąłem ją, a w chwili następnej stanąłem w pokoju, pełnym rażącego światła. Był on bardzo mały, zupełnie pusty z wyjątkiem kąta, gdzie leżały liczne gałgany; i miał

²⁴³ *macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie* — Mk 8, 18.

²⁴⁴ *framuga* — miejsce, w którym osadza się okno lub drzwi.

²⁴⁵ *znacznie* — bardzo.

²⁴⁶ *ośm* — dziś popr.: osiem.

²⁴⁷ *synagoga* — żydowski dom modlitw, niekiedy również siedziba instytucji takich jak sąd rabinacki.

tylko jedno jedyne, silnie zakratowane okno. Drzwi ani wejścia, z wyjątkiem tego, z którego właśnie korzystałem, nie mogłem znaleźć, pomimo że obszukiwałem mury bardzo dokładnie. Kraty w oknie były za gęste, abym mógł między nimi przecisnąć głowę; tyle tylko zobaczyłem: pokój znajdował się mniej więcej na wysokości trzeciego piętra, gdyż domy naprzeciwko miały tylko dwa piętra i były znacznie niższe. Jeden brzeg ulicy na dole był mało widzialny, lecz wskutek oślepiających promieni księżyca, który świecił mi prosto w oczy, był pogrążony w głębokim cieniu, co mi ułatwiło rozróżnianie szczegółów. Ulica musiała na pewno należeć do dzielnicy żydowskiej, gdyż wszystkie okna były zamurowane, a tylko w Getcie zwracały się tak dziwnie ku sobie. Na próżno z trudem starałem się poznać, co to może być za dziwny budynek, w którym się znajdowałem. Może to jest opuszczona boczna wieżyczka greckiego kościoła? A może należy do starej synagogi? Otoczenie nie zgadzało się z tymi domysłami. Znowu rozejrzałem się po pokoju: nic, co by mi mogło objaśnić. Ściany i sufit były gołe, wapno wzdłuż opadło, a dziury od gwoździ i same gwoździe zdradzały, że pokój był kiedyś zamieszkały.

Podłoga była pokryta kurzem na wysokość stopy²⁴⁸, jak gdyby od dziesiątków lat żadna żywa istota nie stąpała po niej. Brzydziłem się przeszukiwać kąty ze śmieciami; były one w cieniu i nie mogłem rozróżnić, co by one zawierały. Zewnętrznie wyglądało to jak zwinięty kłębek łachmanów, albo była to może para starych ręcznych tobołków? Wcisnąłem tam nogę i udało mi się obcasem wyciągnąć jakiś kawałek na światło, które rozlewał po pokoju księżyc. Wyglądało to jak szeroka, ciemna, wolno rozwijająca się wstążka.

Punkt błyszczący jak oko!

Może guzik metalowy?

Powoli zacząłem pojmywać: stary rękaw dziwnego, niemodnego kroju zwieszał się z tłumoka.

I mała biała szkatułka czy coś podobnego, co leżało pod tą płachtą, znalazło się koło mojej nogi i rozsypało się na mnóstwo drobnych ułamków.

Kopnąłem je lekko: jakiś karton błysnął w promieniach księżyca. Obraz? Nachyliłem się: *Pagad*²⁴⁹?

To, co mi się wydawało białą szkatułką, było talią kart do taroka²⁵⁰. Podniosłem ją. Czy mogło być coś śmiesznieszego: talia kart — tutaj — w tym tajemniczym miejscu?

Dziwne, że zmuszałem się do śmiechu. Lekkie uczucie zgrozy zakradło się we mnie.

Szukałem jakiegoś banalnego wyjaśnienia, w jaki sposób te karty mogły się tutaj dostać i zarazem mechanicznie liczyłem talię. Była pełna: 78 sztuk. Ale już w czasie liczenia zauważyłem coś szczególnego; karty były jak z lodu.

Wiało z nich zimno paraliżujące i gdy trzymałem zamkniętą paczkę w ręku, nie mogłem jej już wypuścić: tak zdrętwiały mi palce. Znów chwyciłem się za trzeźwe wyjaśnienie:

Oto przyczyny: moje lekkie ubranie, długa wędrówka bez płaszcza i kapelusza w podziemnych przejściach, groźna noc zimowa, kamienne ściany, straszny mróz, który wraz z księżycowym światłem przedostawał się przez okno: dosyć dziwne, że dopiero teraz zacząłem marznąć!

Podniecenie, w jakim się znajdowałem cały czas, nie dawało mi tego odczuć! Dreszcze jeden po drugim przechodziły mi po skórze. Stopniowo wciskały się głębiej w moje ciało, coraz głębiej. Czulem, że mój szkielet lodowacieje i każda pojedyncza kość wydawała się jak sztaba żelazna, do której przymarzło ciało. Nie pomagało bieganie dokoła, stukanie nogami, ani uderzenie rękami. Ścisnąłem zęby, żeby nie słyszeć ich szczękania. To śmierć kładzie ci zimne swe dłonie na ramiona — powiedziałem sobie. Bronilem się jak szalony od zmarznięcia przeciwko odurzającemu snowi, który skrycie się zbliżał, aby mnie okryć swym płaszczem.

„Listy w moim pokoju — jej listy!” — wołało coś we mnie. — „Znajdą je, jeśli ja umrę tutaj. A ona liczy na mnie!”

Jej ratunek spoczywa w moich rękach —

²⁴⁸*stopa* — dawna miara długości, nieco ponad 30 cm.

²⁴⁹*Pagad* — Zongler bądź Magik, pierwsza karta w talii tarota, w niniejszej powieści identyfikowana z Głupcem.

²⁵⁰*tarok* a. *tarot* — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wróżenia.

Brud

Śmierć, Sen

Obowiązek

— Na pomoc, na pomoc, na pomoc! — I przez okienne kraty krzyknąłem w pustą ulicę, aż echo odpowiedziało: na pomoc, na pomoc, na pomoc!

Rzuciłem się na podłogę i znów skoczyłem na nogi. Ja nie mogę umrzeć, nie mogę! Dla niej, tylko dla niej! Nawet gdybym musiał wykrzesać iskry z mych kości, aby się ogrzać. Nagle wzrok mój padł na łachmany w kącie. Rzuciłem się na nie i wciągnąłem je trzęsącymi rękami na swoje ubranie. Była to odzież zniszczona z grubego, ciemnego sukna o staromodnym, dziwnym kroju.

Strój

Wydzielał się z niej zapach pleśni. Potem przykucnąłem w przeciwległym kącie i czułem, że skóra moja powoli się rozgrzewa. Tylko uczucie osobliwego, lodowatego szkieletu we mnie trwało dalej. Siedziałem nieruchomo, a oczy moje wędrowały dokoła: karta, którą najpierw zobaczyłem — Pagad — wciąż jeszcze leżała pośrodku pokoju, w promieniu światła. Musiałem nieruchomo wlepić w nią oczy. Wydawała się, o ile mogłem odróżnić z oddalenia, namalowaną wodnymi farbami, niezręczną dziecięcą ręką, i przedstawiała hebrajską literę Alef²⁵¹ w postaci człowieka odzianego po staro-frankońsku, z krótko ostrzyżoną na szpic brodą, z lewą ręką podniesioną, gdy druga była w dół opuszczona.

Czy twarz tego człowieka nie ma dziwnego podobieństwa z moją? — zaświtało mi podejrzenie. Broda — wcale to nieodpowiednie dla Pagada — — podpełzłem do karty i rzuciłem ją w kąt do reszty gratów, żeby oswobodzić znużony wzrok.

Teraz tam leżała i błyszczała — biało-szara, niejasna plama — z ciemności.

Siłą zmusiłem się do myślenia, co mam począć, aby znów wrócić do swego mieszkania. Czekać rana? Zawołać z okna na przechodzących, żeby mi za pomocą drabiny dostarczyli świecy albo latarni? Miałem przygnębiającą pewność, że nigdy mi się nie uda znaleźć bez światła nieskończonych, wciąż krzyżujących się labiryntów podziemnych. Okno leży za wysoko: to może ktoś by mi z dachu sznur — —?

Boże Wielki! jak błyskawica mi zajaśniało — teraz wiedziałem, gdzie jestem: to pokój bez wejścia, z jednym tylko zakratowanym oknem — starożytny dom na Staroszkolnej ulicy, od którego każdy stroni²⁵²! Już raz przed wielu laty spuścił się człowiek na sznurze z dachu, żeby spojrzeć w okno i sznur się zerwał — Tak, byłem w domu, w którym za każdym razem znikał upiorny Golem²⁵³.

Głęboka zgroza, przeciwko której daremnie się broniłem, której nie mogłem zmóc²⁵⁴ wspomnieniem o listach, paraliżowała każdą dalszą myśl i serce zaczęło odczuwać kurcz. Spieszenie powiedziałem sobie zdrtwiałymi wargami, że to tylko wiatr, co zawiał z kąta tak lodowato — mówiłem to sobie wciąż prędzej a prędzej, przy czym oddech mój po prostu świszcział. Nic to nie pomogło: tam z tamtej strony biaława plama — karta napęczniała do rozmiarów wydętej bryły sunęła brzegiem światła księżycowego i podpełzła na powrót w ciemność. Kapiące szmery na wpół urojone, na wpół rzeczywiste — w pokoju i wokoło mnie i jeszcze gdzieś — głęboko w moim sercu, i znowuż w środku pokoju dźwiękły, jak kiedy padnie cyrkiel i ostrzem utkwi w drewnianej desce.

Wciąż: biaława plama — — — biaława plama — —! To nędzna karta, głupia, niedorzeczna karta do gry, krzyczałem w myśli — — — daremnie — teraz jednak — bądź co bądź — przybrał postać — Pagad — teraz przykucnął w rogu i spogląda na mnie moją własną twarzą!

Sobowótór

Godziny za godzinami siedziałem w kukli nieruchomo — tam, w moim kącie, zamarnięty szkielet w cudzych, spleśniałych sukniach²⁵⁵! I on po tamtej stronie: *ja sam*! Niemy i nieruchomy.

Tak spoglądaliśmy sobie w oczy — jeden straszne, zwierciadlane odbicie drugiego. —
— — —

²⁵¹przedstawiała hebrajską literę Alef — symbolicznym kartom z talii tarota przypisywano kolejne litery hebrajskiego alfabetu.

²⁵²stronić od czegoś — unikać czegoś.

²⁵³golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golemu wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

²⁵⁴zmóc (daw.) — pokonać, przewalczyć.

²⁵⁵suknie (daw.) — strój, ubiór.

Czy on też widzi, jak promienie księżycy ślimaczo — leniwie czołgają się po podłodze, niby wskazówki niewidzialnego zegara w nieskończoności, wpełzają na ściany i stają się coraz płowsze²⁵⁶ — płowsze?

Zaczarowałem go mocno swoim wzrokiem i nic mu nie pomogło, że chciał się rozwiąć w zorzy porannej, która mu przysłała z pomocą — przez okno.

Sobowtór, Walka

Trzymałem go mocno. Krok za krokiem walczyłem z nim o swe życie — o życie, które jest moim, bo już nie należy do mnie. — — — I gdy on coraz bardziej malał i przy szarym świetle ukrywał się i chował w swoją kartę: wstałem, poszedłem naprzeciw niemu i włożyłem go do kieszeni — tego Pagada!

Ulica była wciąż pusta i bezludna. Przeszukałem kąt pokoju, który teraz był oświetlany mdłym²⁵⁷ światłem poranka: tu skorupy, tam zardzewiała patelnia, spróchniałe strzępy, szyjka od butelki. Martwe przedmioty, a jednak tak dziwnie znane. I także mury, gdy się uwydatniły ich rysy i szczeliny — gdzie ja je widziałem? Wziąłem do ręki talię kart; przeszło mi przez myśl, czy nie ja sam je kiedyś malowałem. Będąc dzieckiem?

Przed dawnymi, dawnymi czasy?

Była to starodawna gra w taroka z hebrajskimi znakami — — Numer 12 musi być Wisielec²⁵⁸ — przeszło mi przez myśl prawie jak wspomnienie. — Z głową pochyloną w bok? Ręce na plecach?

Przerzuciłem karty: tak, to był on!

Potem znów jako pół sen, pół rzeczywistość, wynurzył się przede mną obraz: szerniały dom szkolny pochylony, zapadający się, mroczna kuźnia czarownic, lewe skrzydło domu podniesione, prawe zrosnięte z przybudówką. —

— — — Nas jest dużo: wyrostki — chłopcy — gdzieś ci tu jest opuszczona piwnica

Potem spojrzałem na swe ciało i znów zdało mi się, że wpadłem w bredzenie: staromodne ubranie było mi zupełnie obce. Chropowaty hałas taczki przestraszył mnie, ale gdy spojrzałem na dół, nie było tam żadnej ludzkiej duszy, tylko pies od rzeźnika stał na kamieniu.

Na koniec. Głosy! ludzkie głosy! Dwie stare kobiety szły powoli ulicą, przecisnąłem głowę do połowy przez kraty i zawołałem na nie. Otworzyły usta, wytrzeszczyły w górę oczy i jęły²⁵⁹ się naradzać. Lecz gdy mnie zobaczyły, zaczęły strasznie krzyczeć i uciekły. Domysliłem się, że wzięły mnie za Golema. Czekalem, aż powstanie zbiegowisko ludzi, którym mógłbym się dać poznać, lecz minęła godzina i tylko od czasu do czasu spoglądała na mnie z dołu ostrożnie jaka blada twarz, aby natychmiast w śmiertelnym strachu znów się ukryć. Czy miałem czekać, aż po kilku godzinach, albo może dopiero jutro przyjdą policjanci — miejskie *lamury*, jak ich Zwak nazywał? Nie, wolę zbadać podziemne przejścia nieco dalej w odwrotnym kierunku do tego, w jakim się tu dostałem. Może w ciągu dnia wpadnie przez szpary w kamieniach jakikolwiek pobłysk światła?

Spuściłem się po drabinie, ruszyłem w tę samą drogę, którą wczoraj przeszedłem; przez całe stosy pokruszonych cegieł i przez zapadnięte piwnice wdrapałem się na rozwalone schody i nagle stanąłem w sieni *czarnego budynku szkolnego*, który już poprzednio widziałem jak we śnie. W tej chwili uderzyła mnie fala wspomnień: ławki opryskane od góry do dołu atramentem, kajety²⁶⁰ rachunkowe, chłopiec, który wpuścił do klasy chrabąszcza, szkolne książki ze zgniecionymi bułkami i zapach skórek pomarańczowych. Teraz wiedziałem na pewno: kiedyś znajdowałem się tutaj, będąc jeszcze pacholęciem²⁶¹. — Lecz nie namyślałem się długo nad tym i pośpieszyłem do domu.

²⁵⁶ *płowy* — żółto-szary.

²⁵⁷ *mdły* (daw.) — słaby.

²⁵⁸ *wisielec* — karta tarota, przedstawiająca człowieka powieszonoego głową do dołu, ze skrzyżowanymi nogami.

²⁵⁹ *jęć* (daw.) — zacząć.

²⁶⁰ *kajet* (daw., z fr.) — zeszyt.

²⁶¹ *pacholę* (daw.) — dziecko, chłopiec.

Pierwszy człowiek, który mnie spotkał na ulicy Saletrzaney, był to zarośnięty, stary Żyd z białymi pejsami²⁶². Zaledwie mnie spostrzegł, zakrył twarz rękoma i zawył głośno hebrajską modlitwę. Na krzyk ten musiało prawdopodobnie dużo ludzi wybiec ze swoich kryjówek, gdyż poza mną powstał zgłęb nieopisany. Odwróciłem się i ujrzałem rojną armię śmiertelnie bladych, przerażonych twarzy, która szła moim śladem.

Zdumiony spojrzałem na siebie i zrozumiałem: nosiłem wciąż osobliwą szatę średniowieczną, którą osłoniłem swój kostium i ludzie sądzili, że widzą przed sobą Golema. Prędko pobiegłem za róg do bramy i zerwałem ze siebie spleśniały lachman. Równocześnie obok mnie przebiegł tłum, wymachując laskami i wrzeszcząc oślinionymi ustami²⁶³.

Strój, Strach, Tłum

ŚWIATŁO

Kilka razy w ciągu dnia stukałem do drzwi Hillela. Nie dawało mi to spokoju. Musiałem z nim mówić i zapytać, co znaczą wszystkie te dziwne przygody; lecz nie było go ani razu w domu. Córka jego miała mnie zawiadomić natychmiast, gdy ojciec powróci z żydowskiego ratusza. Szczególna zresztą dziewczyna ta Miriam. Typ, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Piękność tak niezwykła, że w pierwszej chwili nie można jej uchwycić, piękność, która oniemia, gdy się na nią spojrzy, i budzi niewyjaśnione uczucie czegoś, jak ciche zwątpienie o sobie. Twarz jej jest ukształtowaną podług zasad proporcji, które już od wieków zanikły; takem ją sobie określił, gdy ją znów spostrzegł w duchu przed sobą. I namyślałem się, jaki kamień szlachetny musiałbym wybrać, aby ją w gemmie²⁶⁴ utrwalić i przy tym zachować wyraz artystyczny, choćby tylko co do strony zewnętrznej: granatowoczarny połysk włosów i oczu, który przewyższał wszystko, cokolwiek tylko widziałem. Jak należałoby tę nieziemską szczupłość oblicza zaczarować w gemmie, stosownie do wymagania zmysłów i wizyjności, aby nie wpaść w owo tępe odtwarzanie podobieństwa podług prawideł²⁶⁵ estetyki banalności. Tylko sposobem mozaiki można rozwiązać te zadanie: zrozumiałem to jasno.

Piękno

Jaki jednakże wybrać materiał? Życie całe przysałoby²⁶⁶ szukać wzajemnej odpowiedniości. Lecz gdzie się podziewa Hillel? Tęskniłem za nim jak za drogim, starym przyjacielem. Rzecz zdumiewająca, jak w ciągu tych kilku dni wrósł mi on w serce, chociaż ściśle biorąc rozmawiałem z nim tylko jeden jedyny raz w życiu.

Ale prawda, listy — jej listy chciałem lepiej ukryć, dla własnego spokoju, gdybym kiedy na dłuższą chwilę wyszedł z domu. Wyjąłem je ze skrzyni, w kasety będą pewniej schowane. Spośród listów wyslizgnęła się jakaś fotografia, chciałem nie spojrzeć na nią, lecz było już za późno. Złotogłów²⁶⁷ zarzucony na nagie ramiona — zabłysła mi w oczach — tak jak „ja” widziałem po raz pierwszy, gdy uciekła z pracowni Saviolego do mego pokoju. Ból uczulem obłądny. Nie pojmując słów, przeczytałem pod fotografią dedykację i imię:

Twoja Angelina.

Angelina!!!

Gdy wymówiłem to imię, zasłona, ukrywająca przede mną moje lata młodzieńcze, rozdarła się nagle od dołu²⁶⁸. Myślałem, że umrę z bólu. Drapałem palcami powietrze i skomliłem — ugryzłem się w rękę. — — Oślepnąć znów, Boże na niebiesiech, daj mi być nadal tą pozorną śmiercią, błagałem. Ból wcisnął mi się w usta. —

Męczarnia! —

Smakowało to dziwnie słodko — jak krew — Angelina!

Kobieta, Cierpienie

Imię

²⁶²pejsy — element fryzury ortodoksyjnego Żyda: pasmo włosów zwieszające się przed uszami.

²⁶³usty — dziś popr. forma N. lm: ustami.

²⁶⁴gemma — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

²⁶⁵prawidła — zasady.

²⁶⁶przystoi — należy, wypada.

²⁶⁷złotogłów — droga tkanina z jedwabiu i złotych nici.

²⁶⁸zasłona, ukrywająca przede mną moje lata młodzieńcze, rozdarła się nagle od dołu — por. Mt 27,51.

Imię to krążyło w moich żyłach i stało się nieznośną, upiorną tęsknotą. Gwałtownym ruchem zerwałem się i szcękając zębami, zmusiłem wzrok swój, by utkwiał w fotografii, aż powoli nad nią zapanuję!

Zapanuję! Jak dzisiaj w nocy nad kartą z taroka²⁶⁹.

Nareszcie: kroki? Ludzkie kroki! Przyszedł.

Z radością pobiegłem do drzwi i szarpnąłem je.

Za nimi stał Szemajah Hillel, a za nim — po cichu wyrzucałem sobie, że mnie to rozczarowało: z rudymi baczkami i okrągłymi dziecięcymi oczyma — stary Zwak.

— Ku mojej radości wygląda pan dobrze, mistrzu Pernath — zaczął Hillel.

Chłodne „pan”?

Mróz! Śnieżysty, zabójczy mróz zaległ nagle pokój. Ogłuszony, pół uchem nadłuchiwałem, co mi plótł zadyszany od wzburzenia Zwak.

— Wiesz pan, że Golem²⁷⁰ znów się ukazał. Niedawno mówiliśmy o tym. Czy wie pan już, mistrzu Pernath? Cała dzielnica żydowska poruszona. Vrieslander sam go widział, Golema, i znów jak zwykle rozpoczęło się to morderstwem —

Słuchałem zdumiony. Morderstwo?

Zwak kiwnął mi:

— To pan nic o tym nie wie? Wszędzie na rogach są porozlepiane olbrzymie wezwania policyjne: zamordowany został gruby Zottman „wolny mularz²⁷¹”; przypuszczam, że to jest Zottman, dyrektor towarzystwa ubezpieczeń. Lois z tego domu już jest aresztowany. A ruda Rozyna zniknęła bez śladu. — Golem — aż włosy podnoszą się ze strachu.

Nie dałem żadnej odpowiedzi, śledziłem oczy Hillela: dlaczego on się tak przenikliwie na mnie patrzy?

Wstrzymywany uśmiech zadrgał nagle w kątach jego ust.

Zrozumiałem. Miało to dla mnie znaczenie. Z największą chęcią radośnie rzuciłbym mu się na szyję. Nie posiadając się z zachwyty, biegałem bezmyślnie po pokoju. Co najpierw przynieść? Szklanki? Butelkę burgunda²⁷²? (Miałem przecie tylko jedną). Cygara? — W końcu znalazłem słowa: „Lecz dlaczego panowie nie siadacie!” Szybko przysunąłem obydwu moim przyjaciółom krzeselka. Zwak zaczął się złościć:

— Dlaczego pan się ciągle śmieje, panie Hillel? Może pan nie wierzy, że Golem straszy? Mnie się zdaje, że pan w ogóle nie wierzy w Golema?

— Nie uwierzyłbym w niego, gdybym go nawet zobaczył przed sobą tutaj w pokoju — odpowiedział spokojnie Hillel ze wzrokiem utkwionym we mnie.

Zrozumiałem dwuznaczność, ukrytą w jego słowach. Zwak, zdziwiony, przerwał picie:

— Czy świadectwo setek ludzi dla pana nic nie znaczy, panie Hillel? — Ale niech pan tylko zaczeka, niech pan pomyśli nad moimi słowami: morderstwo za morderstwem będzie się teraz powtarzało w dzielnicy żydowskiej! Znam to. Golem pociąga za sobą nieprzewidziane skutki.

— Tego rodzaju zdarzenia bynajmniej nie są niczym zadziwiającym — odpowiedział Hillel. Mówił to, chodząc; podszedł do okna i spojrzał w dół na sklepik kramarza. — Gdy silny wiatr wieje, drgają korzenie zarówno słodkie, jak i jadowite.

Zwak mrugnął na mnie wesoło i wskazał głową Hillela.

— Gdyby Rabbi²⁷³ zechciał mówić, mógł by nam takie rzeczy opowiedzieć, że aż włosy na głowie by powstawały — dorzucił szeptem.

Szemajah obrócił się.

— Nie jestem Rabbi, chociaż mam prawo używać tego tytułu. Jestem tylko biednym archiwariuszem w żydowskim ratuszu i prowadzę rejestrację żywych i umarłych.

²⁶⁹tarok a. tarot — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wróżenia.

²⁷⁰golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

²⁷¹wolny mularz — w rozdziale *Praga* pada wyjaśnienie, iż „to przezwisko oznaczało kogoś, co poszukiwał dziewcząt małoletnich, ale dzięki serdecznym stosunkom z policją zabezpieczony był od wszelkiej nieprzyjemności”.

²⁷²burgund — francuskie wino z Burgundii.

²⁷³rabbi — (z hebr. nauczyciel) funkcja religijna w judaizmie.

Poczułem w jego mowie jakieś ukryte znaczenie. Właściciel teatru marionetek zdaje się również to wyczuł; zamknął, długi czas żaden z nas nie odezwał się ani słówkiem.

— Wysłuchaj mnie, Rabbi — przebac mi, panie Hillel, chciałem powiedzieć — rozpoczął po chwili Zwak, a głos jego brzmiał rażąco poważnie — już od dawna chciałem się pana o coś zapytać.

Pan mi nie odpowie, jeżeli pan nie może lub nie chce —

Szemajah podszedł do stołu i bawił się szklanką od wina i migotaniem jego czerwieni; nie pił; zapewne bronił²⁷⁴ mu tego rytuał żydowski.

— Niech się pan śmiało pyta, panie Zwak.

— — Czy wie pan coś o żydowskiej nauce tajemnej, Kabale²⁷⁵, panie Hillel?

— Bardzo niewiele. —

— Słyszałem, że istnieje dokument, za pomocą którego Kabałę można zrozumieć: tak zwany *Zohar*²⁷⁶ — —

— Tak, *Zohar*, księga światłości. —

— A, widzi pan, tam on jest! — drwił Zwak — czy to nie jest wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwością, że pismo, zawierające klucze do zrozumienia Biblii i do szczęścia wiekuistego —

Hillel przerwał mu:

— Niektóre tylko klucze.

— Dobrze, w każdym razie kilka — a więc, że to pismo, wskutek wysokiej ceny i rzadkości, jest dostępne tylko dla bogatych? Że egzystuje, jak mi opowiadano, w jednym jedynym egzemplarzu, który przy tym jeszcze jest schowany w muzeum londyńskim? i napisany do tego po chaldejsku, aramejsku, hebrajsku²⁷⁷ — czy ja wiem zresztą jak? Czy ja miałem na przykład choć raz w życiu sposobność uczyć się tych języków albo pojechać do Londynu?

— Czy wszystkie swoje życzenia wyteżał pan tak gorąco do tego celu? — zapytał Hillel z lekką ironią.

— Otwarcie powiedziawszy — nie — odparł Zwak, poniekąd zmieszany.

— Więc nie powinien się pan skarżyć — sucho odpowiedział Hillel — kto nie krzyczy o ducha każdą komórką swej istoty, jak ten, co się dusi, o powietrze, ten nie może przejrzeć tajemnic boskich.

— Pomimo to powinna być wydana książka, zawierająca wszystkie klucze do zagadnień tamtego świata, a nie niektóre tylko — błysnęło mi przez głowę, a ręka moja bawiła się *Pagadem*²⁷⁸, którego wciąż jeszcze nosiłem w kieszeni. Lecz zanim to pytanie ubrałem w słowa, już je Zwak wypowiedział. Hillel uśmiechnął się zagadkowo!

— Na każde pytanie, które człowiek w duchu zadaje, w tej samej chwili otrzymuje odpowiedź.

— Czy pan rozumie, co on przez to chce powiedzieć? — zwrócił się Zwak do mnie. Nie dałem mu odpowiedzi i wstrzymałem oddech, aby nie uronić żadnego słowa Hillela. Szemajah mówił dalej:

— Całe życie jest to nic innego jak szereg pytań, przeobrażonych w formy, które noszą same w sobie jądro odpowiedzi, oraz szereg odpowiedzi, które płyną brzemienne pytaniami. Jeżeli ktoś co innego w tym widzi — jest głupcem.

Zwak uderzył pięścią w stół!

— Tak, pytania, które za każdym razem inaczej brzmią i odpowiedzi, które każdy inaczej rozumie.

— Właśnie o to się rozchodzi — powiedział Hillel przyjaźnie. — Wszystkich ludzi kurować jedną łyżką jest jedynie przywilejem lekarzy. Pytający otrzymuje tę odpowiedź, która mu jest potrzebna: inaczej stworzenie nie szłoby drogą swojej tęsknoty. Czy pan

Bóg

Kondycja ludzka, Głupiec

Książka

²⁷⁴bronić — tu: zabraniać.

²⁷⁵Kabala — mistyczna doktryna judaistyczna, na której oparty był m. in. ruch chasydzki.

²⁷⁶Zohar — ujęty w formę dialogu żydowski traktat mistyczny z XIII w. komentujący *Torę*, *Pieśń nad Pieśniami* i *księgę Rut*; spisał go prawdopodobnie Mojżesz Baal Szem Tow.

²⁷⁷po chaldejsku, aramejsku, hebrajsku — w istocie *Zohar* spisany został po hebrajsku i aramejsku.

²⁷⁸Pagad — Żongler bądź Magik, pierwsza karta w talii tarota, w niniejszej powieści identyfikowana z Głupcem.

myśli, że nasze żydowskie pisma są tylko dla jakiegoś widzi mi się pisane wyłącznie spółgłoskami? Każdy wyszukuje sobie skryte samogłoski, które zawierają tylko dla niego określoną myśl — żywe słowo nie powinno zamieniać się w martwy dogmat.

Właściciel teatru marionetek odparł z siłą:

— To są słowa, Rabbi, słowa! Nazwę się *Pagad ultimo*²⁷⁹, jeżeli będę z tego²⁸⁰ mądry.

Pagad!! —

Słowo to uderzyło we mnie jak piorun. Ze zdziwienia o mało nie upadłem z krzesła. Hillel unikał mego wzroku.

— *Pagad ultimo*? Kto wie, czy się pan tak rzeczywiście nie nazywa, panie Zwak — uderzyły mnie jak z dalekiej odległości słowa Hillela.

— Nigdy nie można być siebie pewnym. Zresztą ponieważ mówimy właśnie o kartach, panie Zwak, czy gra pan w taroka?

— W taroka? Naturalnie. Od dzieciństwa.

— Dziwi mnie przeto, jak pan mógł się pytać o książkę zawierającą całą Kabałę, jeżeli pan ją miał już tysiące razy w ręku.

— Ja? Miałem w ręku? Ja?

Zwak chwycił się za głowę.

— Tak, pan! Czy panu nigdy nie wpadło na myśl, że tarok ma 22 atuty, właśnie tyle, co alfabet hebrajski liter? Czy nasze czeskie karty nie przedstawiają więcej niż trzeba obrazków, które jawnie są symbolami: głupiec, śmierć, diabeł, sąd ostateczny? Jak głośno, kochany przyjacielu, chciałbyś właściwie, aby ci życie wrzeszczało w ucho swe odpowiedzi? Chociaż pan tego nie potrzebuje wiedzieć, lecz *tarok* lub *tarot* znaczy to samo, co żydowskie *Tora*²⁸¹ — prawo, albo staroegipskie *Tarut* — Rozpytywana, a w starożytnym języku Zend²⁸² słowo *tarisk* — „żądam odpowiedzi”. — Lecz uczeni, zanim to twierdzenie postawią, powinni wiedzieć, że tarok pochodzi z czasów Karola VI²⁸³. — I — jak Pagad jest pierwszą kartą w grze, tak człowiek jest pierwszą figurą w swojej książce obrazkowej, swoim własnym sobowtorem: hebrajska litera Alef zbudowana jest w kształcie człowieka, którego jedna ręka wskazuje niebo, druga jest opuszczona na dół, a to ma znaczyć: „Jak jest na górze, tak jest również i na dole; jak jest na dole, tak jest również i na górze”.

— Dlatego też powiedziałem poprzednio: kto wie, czy pan rzeczywiście nazywa się Zwak, a nie „Pagad”.

— Niech pan tego nie wywołuje — Hillel spojrzał przy tym nieznacznie na mnie, ja zaś przeczuwałem, jak pod jego słowami otwierała się otchłań coraz nowych znaczeń — niech pan tego nie wywołuje, panie Zwak! Można się dostać w ciemne przejścia, z których jeszcze nikt, kto nie nosi przy sobie pewnego talizmanu, nie znalazł wyjścia. Podanie mówi, że pewnego razu trzech mężczyzn zstąpiło do państwa ciemności; jeden zwariował, drugi oślepl, tylko trzeci, Rabbi ben Akiba, wrócił zdrów i mówił, że spotkał tam samego siebie. Już niejeden, powie pan, spotykał samego siebie, np. Goethe zazwyczaj na moście²⁸⁴, albo też w przejściu z jednego brzegu rzeki na drugi, spoglądał sam sobie w oczy i nie wariował.

Lecz wtedy było to tylko odzwierciedlenie jego świadomości, a nie prawdziwy sobowtór: nie to, co nazwano tchnieniem kości — „Habal Garmin”, o czym się mówi: „Jak schodził on w grób, nie ulegając zgniliznie, w swych zwłokach, tak zmartwychwstanie w dzień sądu ostatecznego”. Wzrok Hillela zatapiał się coraz głębiej w moich oczach.

Nasze prababki mówią o nim: mieszka on wysoko ponad ziemią, w izbie bez drzwi, o jednym tylko oknie, skąd porozumienie się z ludźmi jest niepodobieństwem; kto go zdoła oczarować i wysubtelnić, ten będzie samemu sobie dobrym przyjacielem.

²⁷⁹*Pagad ultimo* — Pagad to Żongler bądź Magik, pierwsza karta w talii tarota, w niniejszej powieści identyfikowana z Głupcem. Fraza znaczy więc: ostatni głupiec.

²⁸⁰*z tego* — tu: dzięki temu.

²⁸¹*Tora* — w tradycji żydowskiej określenie pierwszych pięciu ksiąg Biblii.

²⁸²*w starożytnym języku Zend* — właściwie słowo *Zend* oznacza komentarze do *Awesty*, św. księgi mazdaizmu i zoroastryzmu, spisane w języku pahlawi.

²⁸³*tarok pochodzi z czasów Karola VI* — w istocie pierwsze znane talie tarota pochodzą z XV w., a Karol VI Habsburg żył w latach 1685–1740.

²⁸⁴*niejeden, powie pan, spotykał samego siebie, np. Goethe zazwyczaj na moście* — Goethe opisuje to wydarzenie pod koniec Księgi Jedenastej swojej autobiografii *Z mojego życia. Zmyslenie i prawda*.

Co poza tym tyczy się Taroka, to pan wie wszystko tak dobrze, jak ja: dla każdego gracza karty mają inną wartość, lecz kto odpowiednio zastosuje atuty, ten wygra partię.

Teraz jednak chodźmy, panie Zwak! Chodźmy, wypije pan wszystkie wino mistrzowi Pernathowi, a dla niego samego nic nie zostanie.

NĘDZA

Śnieżycy srożyła się przed moim oknem. Gwiazdki śniegu ścigały się w szyku bojowym, jak drobni żołnierze w białych, kosmatych płaszczkach — przebiegając w przeciagu minuty jedna za drugą koło okien — wciąż w tym samym kierunku, jak we wspólnej ucieczce przed nadzwyczaj złośliwym przeciwnikiem. Potem naraz zgęściły się przy tej ucieczce, jakby z zagadkowych powodów nabrały wścieklej odwagi, zaszumiły znowu, aż z góry i z dołu nowe armie nieprzyjacielskie napadły na ich skrzydło i wszystko rozproszyły w obłąkanym wirze.

Zdawało mi się, że przeszły miesiące od tego niedawno minionego czasu, w którym przeżywałem te dziwne rzeczy, i gdyby nie dochodziły mnie codziennie po kilka razy coraz to nowe sprzeczne wieści o Golemie²⁸⁵, które kazały mi przeżywać wszystko na nowo, to mógłbym w chwilach zwątpienia podejrzewać, że stałem się ofiarą zamroczenia duszy. Z pstrych arabesek²⁸⁶, w jakie osnuły mnie te zdarzenia, wyłoniło się w jaskrawych barwach to, co mi opowiadał Zwak o dotychczas niewyjaśnionym zamordowaniu tak zwanego „Wolnomularza”²⁸⁷. Nie mogłem dokładnie pojąć, jaki ma z tym związek dziobaty Lois, chociaż trudno mi było się otrząsnąć z mrocznego podejrzenia; prawie bezpośrednio potem, gdy Prokopowi wydawało się, że słyszy pod sztachetą kanału tajemniczy szmer, widzieliśmy chłopaka u „Loisiczka”. Wszelako nie było powodu, by ów krzyk pod ziemią, który mógł być również dobrze złudzeniem zmysłów, uważać za wołanie o pomoc jakiegoś człowieka.

Szerząca się przed moimi oczyma zawierucha śnieżna oślepiła mnie i zacząłem wszystko widzieć w tańczących smugach. Zwróciłem całą swoją uwagę na leżącą przede mną gemmę²⁸⁸. Twarz Miriam, rzuconą na woskowy model, chciałem przenieść na wspaniałe błyszczący, błękitnawy selenit²⁸⁹. — Cieszyłem się; był to przyjemny wypadek, że w zapasie swoich minerałów znalazłem coś tak odpowiedniego. Ciemnoczarna macica blendy rogowej²⁹⁰ nadawała kamieniowi prawdziwe światło, a kontury były tak rzetelne, jak gdyby sama natura stworzyła to trwałe odbicie regularnych rysów profilu Miriam.

Początkowo zamierzałem wyryc z tego kruszcu kameę²⁹¹, przedstawiającą egipskiego boga Ozyrysa²⁹² i wizję Hermafrodyty²⁹³ z księgi *Ibbur*²⁹⁴, którą w każdej chwili mogłem z uderającą dokładnością w pamięci wywołać, co mnie wielce parło do twórczości, lecz po pierwszych nacięciach znalazłem takie podobieństwo do córki Szemajaha Hillela, że projekt swój zmieniłem.

— Księga *Ibbur*! —

Wstrząśnięty odłożyłem rylec. Nie do pojęcia, co wdarło się w tym krótkim urywku czasu w moje życie. Jak ktoś co się znalazł nagle w niezmierzonej pustyni, uczułem za jednym ciosem głęboką, bezwzględną samotność, oddzielającą mnie od reszty ludzi.

Czy mógłbym porozmawiać o tym, co przeżyłem, z jakimś przyjacielem — wyłączając Hillela? W cichych godzinach minionych nocy wracało wprawdzie wspomnienie, że całe

Zima

Pamięć, Czas, Tajemnica

²⁸⁵*golem* — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

²⁸⁶*arabeska* — rodzaj skomplikowanego ornamentu.

²⁸⁷*wolnomularz* — w rozdziale *Praga* pada wyjaśnienie, iż „to przezwisko oznaczało kogoś, co poszukiwał dziewcząt małoletnich, ale dzięki serdecznym stosunkom z policją zabezpieczony był od wszelkiej nieprzyjemności”.

²⁸⁸*gemma* — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

²⁸⁹*selenit* — polyskliwa odmiana gipsu, nazwana od gr. *Selene* (księżyc).

²⁹⁰*blendy rogowa* — chlorargyryt, kerargyryt, chlorek srebra: rzadki minerał.

²⁹¹*kamea* — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

²⁹²*Ozyrys* — egipski bóg śmierci i odradzającego się życia, jak również sędzia ludzi zmarłych.

²⁹³*hermafrodyta* — (od imion bogów gr. Hermesa i Afrodyty) istota dwupłciowa.

²⁹⁴*ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

moje lata młodości, począwszy od najwcześniejszego dzieciństwa, męczyła mnie aż do śmiertelnego udręczenia niewypowiedziana żądza dziwów, leżących poza krainą śmiertelnych, lecz spełnienie moich marzeń przyszło jak rozwichrzona burza i stłumiło okrzyk radości mej duszy całym swym ciężarem.

Drżałem przed tą chwilą, w której przyjdę do siebie i wszystko, co się zdarzyło za pełni swego życia, ujmę jako rzeczywistość. Lecz niechaj to jeszcze nie teraz nastąpi. Wpierw spróbować rozkoszy: ujrzeć, jak dochodzi do przejrzystości to, co jest niewypowiedziane. Posiadam to w swojej mocy. Dość mi było tylko przyjść do sypialni i otworzyć kasetkę, w której leży książka *Ibbur*, dar świata niewidzialnego. Odkąd ta księga tutaj się znajduje, ręka moja dotknęła jej się tylko wtedy, gdy ukrywałem w niej listy Angeliny.

Na zewnątrz — tępy odgłos strącanych od wiatru²⁹⁵ mas śniegowych z dachów przerwał głuchą ciszę, poza tym pokrywa śniegowa na chodnikach zagłuszała każdy dźwięk. Chciałem pracować w dalszym ciągu, wtem wzdłuż ulicy zabrzmiały ostre uderzenia podków, aż widać było formalnie spijące się skry.

Otworzyć okno i wyjrzeć na ulicę było niemożliwe: sople lodu spoiły silne jego brzegi z murem, a szyby były do połowy zamarznięte. Ujrzałem tylko Charouska, stojącego na pozór zupełnie przyjaźnie przy kramarzu Wassertrumie — musieli właśnie rozmawiać ze sobą — spostrzegłem, jak osłupienie, malujące się na ich twarzach, wzrastało; nie mówiąc nic, wlepili wzrok w powóz, którego moje oczy dostrzec nie mogły. Przyszło mi przez myśl, że to mąż Angeliny. — To nie mogła być ona! Własnym ekwipażem²⁹⁶ przyjeżdżać tutaj do mnie — na Koguci Zaułek w oczach wszystkich ludzi! To byłoby szaleństwem. — Lecz co odpowiem jej mężowi, gdyby to był on i znienacka mnie zapytał?

Zaprzeczę, naturalnie zaprzeczę. W mgnieniu oka przedstawiłem sobie wszelkie możliwości: to może być tylko jej mąż. Otrzymał anonimowy list od Wassertruma — że ona tu jest na schadzce i użyła jakiejś wymówki: prawdopodobnie, że zamówiła u mnie jakąś kameę²⁹⁷ lub coś w tym rodzaju.

Wtem — zajadłe stukanie do drzwi — Angelina stanęła przede mną. Nie mogła wymówić ani słowa, lecz wyraz jej twarzy zdradzał wszystko: nie potrzebowała więcej się ukrywać. Pieśń była skończoną. Jednakże coś buntowało się we mnie przeciwko temu wnioskowi. Nie przypuszczałem nawet, aby uczucie, iż jestem w stanie jej dopomóc, miało mnie okłamać. Zaprowadziłem ją do fotela. Nic nie mówiąc, pogłaskałem ją po włosach; ona zaś, śmiertelnie znużona, jak dziecko ukryła głowę na mojej piersi. Słuchaliśmy trzasku palących się w piecu szczap i patrzeliśmy, jak czerwona poświata na palenisku rozżarzała się i gasła, rozżarzała i gasła — rozżarzała i gasła.

Ogień

„Gdzie jest serce z czerwonego kamienia?” — dźwięczało w mej duszy. Zerwałem się; gdzie jestem? Jak długo już ona tu siedzi?

Wypytywałem ją — ostrożnie, powoli, zupełnie wolno, aby nie przebudziła się i abym śledztwem swoim nie uraził bolesnej rany. Urywkami dowiedziałem się, co chciałem wiedzieć i ułożyłem to razem jak mozaikę:

— Mąż pani wie — —?

— Nie, jeszcze nie; wyjechał.

A więc rozchodziło się o życie doktora Saviolego — Charousek odgadł trafnie. A ponieważ rozchodziło się o życie Saviolego, nie zaś jej — przyszła tu. Domyśliłem się, że ona już nie myśli, aby cokolwiek ukrywać. Wassertrum był powtórnie u doktora Saviolego. Groźbą i siłą znalazł sobie drogę aż do łóża chorego. A dalej! Dalej! Czego on chce od niego? Czego chce? ona to na wpół odgadła, na wpół przekonała się: on chce, aby — aby — chce, aby Saviolemu stała się krzywda.

Teraz ona zna również powody dzikiej, nieprzytomnej nienawiści Wassertruma: doktor Savioli doprowadził niegdyś jego syna, okulistę, Wassory'ego do śmierci. Natychmiast, jak błyskawica, wpadła mi myśl; zbiec na dół i wszystko kramarzowi wyjawic; że

²⁹⁵od wiatru (daw.) — przez wiatr.

²⁹⁶ekwipaż — lekki, luksusowy powóz.

²⁹⁷kamea — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

Charousek zadał cios z zasadzki — a nie Savioli, który był tylko narzędziem. — — „Zdrada! zdrada!” zawył mi w umyśle — „chcesz więc biednego suchotnika Charouska wydać na łup żądzy zemsty tego łajdaka?” — Rozdarło się to we mnie na krwawiące połowy. — Potem myśl jakaś wypowiedziała mi lodowato i spokojnie rozstrzygnięcie: „Głupcze! w twoim ręku jest wszystko! Starczy, gdy schwycisz pilnik z tego stołu, zbiegniesz na dół i uderzysz nim kramarza w gardło tak, aby koniec wyszedł od strony karku!” Serce moje wydało okrzyk dziękczynny do Boga.

Badalem dalej:

— A doktor Savioli?

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że on sam sobie zada śmierć, jeśli ona go nie ocali. Siostry miłosierdzia nie spuszczały go z oczu, uspiły go morfiną, lecz może nagle się obudzić — może właśnie teraz — i — i — nie, nie, ona musi iść, nie może stracić ani sekundy czasu — ona chce napisać do męża — we wszystkim mu ustąpić — niech on zabierze jej dziecko, lecz Savioli będzie wyratowany, gdyż tym sposobem wytrąciłaby Aronowi z ręki jedyną broń, którą ten posiada i którą grozi. Ona chce tajemnicę sama wyjaśnić, zanim tandeciarz ją zdradzi.

— Tego pani nie robi, Angelino! — krzyknąłem, wspomniawszy pilnik, a głos radości odmówił mi posłuszeństwa na myśl o mojej mocy. Angelina chciała się zerwać, zatrzymałem ją siłą. — Jeszcze tylko jedno: niech pani pomyśli nad tym, czy mąż pani uwierzy kramarzowi bez zastrzeżeń?

— Lecz Wassertrum ma dowody, zapewne moje listy i prawdopodobnie moją fotografię — wszystko, co było ukryte w biurku, obok w pracowni.

Listy? fotografie? biurko? — Nie wiedziałem już, co czynić: porwałem Angelinę w objęcia i całowałem ją. W usta, czoło, oczy.

Jej jasne włosy rozpostarły się przed moim wzrokiem, jak złoty welon. Potem trzymałem ją za szczupłe ręce i w przerywanych słowach powiedziałem, że śmiertelny wróg Wassertruma — pewien biedny student czeski listy i inne rzeczy z wielką ostrożnością zabrał, że są one w moim posiadaniu i dobrze utajone. Rzuciła mi się na szyję, śmiała się i przez chwilę płakała. Całowała mnie. Pobiegła do drzwi. Wróciła raz jeszcze i znów mnie całowała. Potem zniknęła. Stałem jak ogłuszony i wciąż czułem na twarzy oddech jej ust. Słyszałem turkot kół powozu na bruku i wściekły galop podków. Po minucie wszystko ucichło. Jak grób. Również i we mnie.

Samobójstwo, Szantaż

Pocałunek

Wtem za mną cicho zaskrzypiały drzwi; w pokoju stał Charousek.

— Wybacz pan, panie Pernath, długo stukąłem, lecz pan zdaje się nie słyszał. — Kiwnąłem tylko głową milcząco.

— Spodziewam się, że pan nie sądzi, jakobym się pogodził z Wassertrumem dlatego, że przed chwilą widział pan, jak z nim rozmawiałem? — Szyderczy uśmiech Charouska mówił mi, że okrutnie sobie zażartował. — A mianowicie, powinien pan wiedzieć, szczęście mi sprzyja; ta kanalia tam na dole chce mnie ująć za serce, mistrzu Pernath. — — To szczególna rzecz, że głos krwi... — dodał cicho, na wpół do siebie. Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć i przyjąłem, jak gdybym się przesłyszał. Podniecenie, przez jakie przeszedłem, jeszcze zbyt silnie mną wstrząsało.

— Aron chciał mi podarować palto, mówił wciąż głośno Charousek. — Naturalnie z podziękowaniem nie przyjąłem. Dość mi już gorąco w mojej własnej skórze. A potem wcisnął mi pieniądze.

— Pan je przyjął?! — chciało mi się wyrwać, lecz szybko zatrzymałem język na uwięzi. Na policzkach studenta ukazały się okrągłe czerwone plamy.

— Pieniądze, ma się rozumieć, przyjąłem.

Zakręciło mi się w głowie!

— Przy — przyjął? — zabełkotałem.

— Nigdy nie przypuszczałem, żeby na ziemi można było doznać takiej radości! — Charousek zatrzymał się na chwilę i zrobił minę cudaczną. — Czy to nie jest uczucie wzniecone: widzieć w gospodarstwie natury ekonomiczny palec „Mateczki Opatrzności”,

Pieniądz

zarządzający mądrze i przezornie? — Mówił jak pastor²⁹⁸, pobrząkując zarazem pieniędzmi w kieszeni — zaprawdę, uważam za święty obowiązek, aby skarb, powierzany mi przez dobrotliwą rękę, przeznaczyć kiedyś co do halerza²⁹⁹ i feniga³⁰⁰ na cel możliwie najszlachetniejszy.

Czy był pijany? Może oszalał? Charousek zmienił nagle ton:

— W tym właśnie leży szatański komizm, że Wassertrum sam sobie zapłacił za — lekarstwo. Czy pan tego nie spostrzega?

Zamroczyło mnie jakieś przeczucie tego, co się kryje w mowie Charouska i zaczęło mi świtać w jego rozgorączkowanym wzroku.

— Zresztą zostawmy to, mistrzu Pernath. Musimy przedtem załatwić sprawy bieżące. Przed chwilą, ta dama, to była „ona”? Co jej znów przyszło na myśl, aby tutaj zajeżdżać tak jawnie?

Opowiedziałem Charouskowi, co się stało.

— Wassertrum na pewno nie ma żadnych dowodów w ręku — przerwał mi wesoło — gdyż powtórnie nie przeszukiwałby dzisiaj rano pracowni. Zadziwiające, że pan go nie słyszał! Całą godzinę był sam wewnątrz.

Zadziwiło mnie, skąd Charousek może wiedzieć wszystko tak dokładnie, co mu też powiedziałem.

— Czy mogę? — Dla wyjaśnienia wziął ze stołu papierosa, zapalił go i tłumaczył mi sprawę. — Widzi pan, jeżeli otworzy pan teraz drzwi, to ciąg powietrza, wiejący z klatki schodowej, przyniesie ze sobą stamtąd dym tytoniowy. To jest zapewne jedyne prawo natury, które Wassertrum zna dokładnie i na wszelki wypadek umieścił on w murze frontowym pracowni — jak pan wie, ten dom należy do niego — małą, ukrytą, otwartą framugę: rodzaj wentylacji, a wewnątrz niej czerwoną chorągiewkę. Gdy tylko ktośkolwiek wchodzi do pokoju lub opuszcza go, to znaczy otwiera drzwi, Wassertrum to dostrzega z dołu po silnym trzepotaniu chorągiewki. Jednakże wiem ja również dobrze — dorzucił sucho Charousek — co mam wtedy czynić, i mogę to dokładnie obserwować z nory piwnicznej naprzeciwko, w której łaskawy los wspaniałomyślnie pozwala mi mieszkać. — Milutki żarcik z wentylacją jest wprawdzie patentem czcigodnego patriarchy, lecz również i dla mnie jest już od lat dostępne.

— Jakąż nadludzką nienawiść musi pan czuć do niego, jeżeli pan czatuje tak na każdy jego krok? A do tego, jak pan mówi, od dawna! dorzuciłem.

— Nienawiść? Charousek zaśmiał się spazmatycznie. Nienawiść? Nienawiść to zbyt słabe wyrażenie. Słowo, które by określało moje uczucie względem niego, musi być dopiero stworzone. — Nienawidzę jego krew.

— Czy pan to rozumie? Węszę, czuję to jak dzikie zwierzę, gdy choć jedna kropla jego krwi płynie w żyłach jakiegoś człowieka — i — zacisnął zęby — to zdarza się „czasami” tutaj w Getcie. — Od wzburzenia niezdolny mówić dalej, podbiegł do okna i zaczął przez nie wyglądać.

Słyszałem, jak tłumił sapanie. Przez chwilę milczeliśmy obaj.

— Halo! Cóż to jest? — zerwał się nagle i natychmiast skinął na mnie. — Prędko, prędko! Czy ma pan lornetkę albo coś w tym rodzaju?

Głuchoniemy Jaromir stał przed wejściem do kramu i o ileśmy się z jego migów mogli domyślić, prosił Wassertruma, aby kupił od niego jakiś mały błyszczący przedmiot, który był na wpół ukryty w ręku chłopca. Wassertrum poskoczył na to jak sęp i cofnął się do swojej jamy. W chwilę potem wybiegł z powrotem, śmiertelnie błady i porwał Jaromira za piersi: jęli się pasować³⁰¹ ze sobą zażarcie. — Naraz Wassertrum puścił go i zdawał się rozważać. — Zajądło gryzł swoją górną, zajączą wargę. Rzucił w naszą stronę śledczym wzrokiem i spokojnie pociągnął Jeromira za rękę do swego sklepu. Czekaliśmy jakiś kwadrans: zdawało się, że handel nie dojdzie do skutku. W końcu głuchoniemy wyszedł z zadowoloną miną i ruszył precz z tandeciarzem.

— Co pan sądzi o tym? — zapytałem. — Zdaje się, że to nic ważnego. Prawdopodobnie biedny chłopak posrebrzył jakiś wyżebrany przedmiot.

²⁹⁸pastor — duchowny protestancki.

²⁹⁹halerz — drobna moneta używana na terenie Austro-Węgier.

³⁰⁰fenig — drobna moneta w krajach niemieckojęzycznych.

³⁰¹pasować się — walczyć, szarpać się (por. zapasy jako konkurencja sportowa).

Nienawiść

Krew

Handel

Student nie dał mi żadnej odpowiedzi i milcząc usiadł przy drzwiach. Widocznie nie przypisywał tej transakcji żadnego znaczenia, gdyż po przerwie zaczął dalej rozwijać kwestię, na której się zatrzymał:

— Tak. A więc powiedziałem, że nienawidzę jego krew. Niech mi pan przerwie, mistrzu Pernath, gdy będę znów zbyt popędliwy. Chcę traktować rzecz na zimno. Nie mogę trwonić swych najlepszych uczuć. Zresztą później bywa mi *czczo*³⁰². Człowiek z poczuciem wstydu powinien rozmawiać chłodnymi słowami, a nie z patosem, jak prostytutka — albo poeta. Odkąd świat istnieje, nikomu nie przyszłoby na myśl z żalu „załamywać ręce”, gdyby aktorzy nie stosowali tego gestu jako szczególnie „plastycznego”.

Poeta

Sztuka

Domyśliłem się, że mówił to jedynie w tym celu, aby zachować spokój wewnętrzny. Nie udawało mu się to bynajmniej. Nerwowo biegał po pokoju, chwycił wszystkie możliwe przedmioty i w roztargnieniu stawiał je z powrotem na miejscu. Potem w jednej chwili wrócił do swego tematu:

— Najmniejszym, mimowolnym ruchem człowieka krew ta zdradza się przede mną.

— Znam dzieci, które są podobne do „niego” i uchodzą za jego dzieci, jednakże nie są one tego samego rodzaju; złudzić mnie niepodobna. Długie lata nie wiedziałem, że doktor Wassory jest jego synem, lecz ja to, mógłbym powiedzieć, zwęszyłem. Jeszcze jako młody chłopiec, gdy nie mogłem nawet przeczuć, jaki jest stosunek Wassertruma do mnie (jego wzrok przez sekundą spoczął na mnie badawczo), posiadałem ten dar. Kopano mnie nogami, bito, że nie ma chyba miejsca na moim ciele, które by nie wiedziało, co to jest szalony ból — głodzono mnie i pić nie dawano, aż stałem się na wpół niespełna rozumu i pożerałem zbutwiałą ziemię, lecz nigdy nie mogłem nienawidzić tych, którzy mnie dręczyli. Po prostu nie mogłem. Nie było już więcej miejsca we mnie na nienawiść. — Czy pan rozumie? Cała moja istota była nią nasycona. Wassertrum nie uczynił mi nigdy nawet najmniejszej przykrości — chcę przez to powiedzieć, że wtedy, gdy jako ulicznik rozbijałem się po ulicach, nigdy mnie nie uderzył ani nie popchnął, ani nigdy mnie nie zelżył³⁰³ — a jednak wszystko, co we mnie wre żądzą zemsty i wściekłością, wyło przeciw niemu. Tylko przeciw niemu.

Nienawiść

— Zdziwiające jednak pomimo to, że jako dziecko nigdy nie wypłatałem mu żadnego figla; gdy inni to robili, natychmiast się wycofywałem. Lecz całe godziny mogłem stać w przejściu bramy, ukryty za drzwiami i przez szparę patrzeć nieruchomo w jego twarz, aż od niewytłumaczonego uczucia zemsty czarno mi się robiło w oczach. Przypuszczam, że wtedy właśnie położyłem kamień węgielny tego jasnowidzenia, które budzi się we mnie natychmiast, gdy wchodzę w styczność z istotami, a nawet rzeczami, które są z nim w jakimś związku. Wszystkie jego ruchy, sposób, w jaki nosi chałat³⁰⁴, jak bierze w rękę rzeczy, jak kaszle, jak pije i tysiące innych gestów: wszystkiego tego nieświadomie musiałem nauczyć się na pamięć tak, aby wżarło mi się w duszę, abym wszędzie na pierwszy rzut oka z wszelką pewnością mógł rozpoznać jego dziedziczne ślady.

— Później stawalo się to u mnie czasami prawie że manią: wyrzucałem precz niewinne przedmioty, gdyż dręczyła mnie myśl, że może jego ręka się ich dotknęła — inne znowu przypadły mi do serca; kochałem je jak przyjaciół, życzących mu złego.

Charousek na chwilę zamilkł. Ujrzałem, jak nieprzytomny spoglądał w próżnię. Palce jego mechanicznie głaskały pilnik leżący na stole.

— Gdy potem paru litościwych nauczycieli złożyło się dla mnie i studiowałem filozofię i medycynę — gdy przy tym nauczyłem się sam myśleć — wtedy doszedłem powoli do świadomości, co to jest nienawiść.

Ojciec

— Tak głęboko nienawidzieć, jak ja, możemy tylko coś, co jest częścią nas samych. A gdy potem sięgać jałem³⁰⁵ dalej — powoli dowiedziałem się wszystkiego — czym była moja matka — i — musi być, jeżeli — jeżeli jeszcze żyje — i że moje ciało — odwrócił się, abym nie mógł dojrzeć jego twarzy — jest pełne jego wstrętnej krwi — no tak, Pernath, dlaczego pan ma o tym nie wiedzieć: on jest moim ojcem! — wtedy stało mi się jasnym, gdzie jest źródło — — — Czasami wydaje mi się, jako tajemniczy jakiś

Krew, Choroba

³⁰²*bywa mi czczo* — sens: odczuwam wewnętrzną pustkę; od *czczy* — pusty, bezcelowy.

³⁰³*zelżyć* — naubliżać.

³⁰⁴*chałat* — długie a luźne okrycie wierzchnie, często noszone przez europejskich Żydów.

³⁰⁵*jać* (daw.) — zacząć.

związek z tym wszystkim, fakt, że jestem suchotnikiem³⁰⁶ i muszę płuć krwią: moje ciało broni się przeciwko wszystkiemu, co jest od niego i odwraca się od siebie ze wstrętem.

— Często moja nienawiść nawiedzała mnie we śnie i starała się pocieszyć mnie widokiem wszystkich możliwych katuszy, które pragnąłem „mu” wyrządzić, lecz zawsze wypląsałem je sam, gdyż pozostawiały mi miły, obcy posmak niezaspokojenia. Gdy pomyślę o sobie i muszę się dziwić, że nie ma zupełnie nikogo i nic na świecie, kogo bym nienawidził — a przynajmniej był w stanie nazwać antypatycznym, z wyjątkiem „niego” i jego rodu — to wkrada się często we mnie odrażające uczucie: mógłbym być tym, co nazywają „dobrym człowiekiem”. Lecz na szczęście tak nie jest. — Powiedziałem już panu, że nie ma we mnie już na nic więcej miejsca.

Lecz niech pan nie myśli, że rozgoryczył mnie tak smutny los. (Co on uczynił z moją matką, dowiedziałem się o tym dopiero w późniejszych latach) — przeżyłem jedyny dzień radości, dzisiaj już odległy i zaciemniony, co zresztą dozwolone jest każdemu śmiertelnikowi. Nie wiem, czy pan zna wewnętrzną, prawdziwą, gorącą pobożność — dotychczas również jej nie znałem — lecz gdy w tym dniu, w którym Wassory sam sobie śmierć zadał, stałem na dole przy sklepie i widziałem, jak „on” otrzymał tę wiadomość: przyjął ją „zdrętwiały”, jak laik nieznający prawdziwego teatru życia, całą godzinę stał bez czucia, wysunął troszeczkę wyżej ponad zęby swoją zajęczą szczękę i gdy wzrok tak jakoś, tak — tak — tak jakoś specjalnie zagłębił w siebie — — — to uczułem zapach kadzidła od powiewu skrzydeł archanioła. — —

Czy zna pan obraz Matki Boskiej Łaskawej w kościele Tyńskim? Tam rzuciłem się na ziemię i ciemność raju owionęła moją duszę. — — —

Patrzac na Charouska, który tak stał, a którego wielkie, rozmarzone oczy były pełne łez, wpadły mi na myśl słowa Hillela, jak niepojętą ciemnością osnuta jest droga, którą kroczą bracia śmierci.

Charousek mówił dalej:

— Zewnętrzne okoliczności, które „usprawiedliwiają” moją nienawiść, albo które mogłyby się wydawać zrozumiałe i mózgom wszystkich płatnych sędziów, zapewne nie będą dla pana ciekawe: fakty przedstawiają się jak kamienie milowe, a jednak są to tylko puste skorupy od jaj. Są one niby natrętny odgłos korków od szampana, co chyba tylko człowiek o słabym umyśle uważa za istotę uczt.

Wassertrum zmuszał moją matkę wszelkimi piekielnymi środkami, jak to było jego przyzwyczajeniem, stosować się do jego woli — jeżeli nie gorzej. A potem, potem — a więc tak — a potem sprzedał ją — do domu publicznego — — — co nie jest trudne, skoro ma się radców policyjnych za przyjaciół — lecz nie dlatego, żeby nią był znudzony, o nie! Znam wszystkie skrytki jego serca: on ją sprzedał w tym dniu, w którym pełen przerażenia przekonał się, jak ją gorąco w rzeczywistości kocha. Taki jak on postępuje na pozór niedorzecznie, lecz zawsze równomiernie. Chomikowa jego istota tylko kwiczy, aby ktoś przyszedł do jego kramu i kupił od niego cokolwiek, a przy tym za drogie pieniądze. Czuje wyłącznie potrzebę złapania czegoś. — Najchętniej chciałby na wskroś przesiąknąć tym pojęciem „mieć”, a gdyby mógł w ogóle wymyśleć sobie jakiś ideał, to byłoby tylko to, co by się kiedyś zamieniło w oderwaną ideę „posiadania”.

I wtedy to rozrosła się w nim aż do rozmiarów olbrzymiej góry obawa: „nie być pewnym samego siebie” — nie, żeby chciał ofiarować coś miłości, ale że by był zmuszony do tego; i przeczuwać w sobie obecność czegoś niewidzialnego, co jego wolę, lub to, czym by pragnął, aby było jego wola, tajemnie spętało więzami. — Tak się zaczęło.

Co potem nastąpiło, stało się automatycznie: tak jak szczupak, chce czy nie chce — musi mechanicznie chwycić gębą — gdy we właściwym czasie przyplywa koło niego jaki błyszczący przedmiot. Sprzedaż mojej matki wydała się Wassertrumowi zupełnie naturalnym następstwem rzeczy.

Zaspokoili ona resztki drzemających w nim właściwości: żądzę złota i złośliwą rozkosz samoudręczenia. — — —

— Wybacz pan, mistrzu Pernath — głos Charouska zabrzmiał nagle trzeźwo i tak silnie, że się złąkłem — wybacz pan, że mówię o tym tak przerażająco mądrze, lecz gdy

Śmierć, Samobójstwo,
Radość

Kondycja ludzka

Matka, Handel, Hańba,
Miłość

Mądrość

³⁰⁶suchotnik — gruźlik.

się jest w uniwersytecie, to przechodzi przez ręce mnóstwo przerafinowanych książek; pomimo woli wpada się w akademicki sposób wyrażenia.

Aby zrobić mu przyjemność, zmusiłem się do uśmiechu; wewnętrznie czułem bardzo dobrze, że student walczy ze łzami.

Muszę mu jakoś pomóc, pomyślałem, przynajmniej spróbować ulżyć mu w gorzkiej nędzy, o ile to leży w mojej mocy. Niespostrzeżenie wyjąłem z komody banknot stuguldenowy³⁰⁷, jedyny, który miałem jeszcze w domu i włożyłem mu do kieszeni.

— Gdy kiedyś w przyszłości znajdzie się pan w lepszych warunkach i spełni swoje powołanie jako lekarz, spokój zawita do pana, panie Charousek — powiedziałem, aby rozmowę skierować na łagodniejsze tory — Czy prędko pan zda doktorat?

— Wkrótce. Jestem to winien swoim dobroczyńcom. Ale to rzecz bezcelowa, gdyż moje dni są policzone.

Chciałem uczynić zwykły zarzut, jakoby widział zbyt czarno, ale on, uśmiechając się, odparł:

— Tak jest najlepiej. Nie może to być żadna przyjemność, udawać po kuglarsku³⁰⁸ lekarza i jeszcze pozyskać dla siebie tytuł szlachecki jako dyplomowany truciciel studzien. — — Przy tym — dodał ze swoim szubienicznym humorem — niestety wszelkie dalsze działanie błogotwórcze³⁰⁹ zakazane mi jest po tej stronie Getta — chwycił za kapelusz. — Teraz nie chcę już więcej śledzić. Albo może jest jeszcze co do powiedzenia w sprawie Saviolego? Nie sądzę. Proszę jednak, niech mnie pan zawiadomi, jeżeli się pan dowie czego nowego. Najlepiej niech pan tu na oknie zawiesi lustro na znak, że mam pana odwiedzić. Do mnie — do piwnicy niechaj Pan w żadnym razie nie przychodzi. Wassertrum zaraz poweźmie podejrzenie, że my coś mamy ze sobą. — Jestem zresztą ciekawy, co on teraz uczyni, skoro zobaczył, że ta dama była u pana. Powiedz pan po prostu, że przyniosła panu jakiś klejnot do naprawy, a gdyby się zanadto przyczepiał, to udawaj rozgniewanego.

Nie nadarzyła się jakoś żadna właściwa sposobność, by Charouskowi wcisnąć banknoty; wziąłem więc znowu воск do modelowania z okna i rzekłem:

— Pozwól pan, odprowadzę pana trochę po schodach — Hillel na mnie czeka — skłamałem.

— Pan jest z nim zaprzyjaźniony? — zapytał.

— Trochę. Czy pan go zna? — — Albo może pan nie ma zaufania — zdaje się, że się mimo woli uśmiechnął — i do niego także? Niechże Bóg pana broni!

— Czemuż Pan mówi to tak poważnie?

Charousek chwilę zwlekał i namyślał się.

— Sam nie wiem, dlaczego. Musi to być coś nieświadomego: ile razy napotykam go na ulicy, chciałbym najlepiej zejść z bruku i uklęknąć przed nim jak przed księdzem, który niesie hostię. Widzi pan, mistrzu Pernath, jest to człowiek, który w każdym swoim atomie — stanowi przeciwieństwo Wassertruma. Uchodzi on na przykład tu w dzielnicy wśród chrześcijan, który jak zawsze, tak i w tym wypadku są źle poinformowani — za skąpca i tajemnego milionera, gdy właśnie jest niewymownie biedny.

— Biedny? — zawołałem przerażony.

— O ile tylko można być biednym. Słowo „brać” zna on, jak sądzę, wyłącznie z książek; ale gdy pierwszego dnia każdego miesiąca powraca z „ratusza”, wtedy żebracy żydowscy biegną za nim, wiedząc, że on pierwszemu lepszemu z nich całą swoją skąpą zapłatę wcisnie do ręki — i w parę dni potem wraz ze siostrą będą głodni. — Jeżeli jest prawdą, co mówi prastara legenda w Talmudzie³¹⁰, że z dwunastu pokoleń żydowskich dziesięć jest przeklętych, a dwa święte: to Hillel jest wcieleniem tych dwóch pokoleń świętych, gdy Wassertrum wciela wszystkie pozostałe razem. — Czy pan zauważył, jakie to Wassertrum miny stroi, gdy Hillel koło niego przechodzi? — Bardzo ciekawe, mówię panu. Uważa pan, *taka krew* nie może się nigdy przemieszać: dzieci przychodziłyby na świat umarłe. Przypuszczając, że matki nie umarłyby przedtem ze zgrozy. Hillel zresztą jest to jedyny, któremu Wassertrum się nie narzuca; — uchodzi przed nim jak przed

Miłosierdzie

Lekarz

Bieda, Głód

Święty, Przekleństwo, Żyd

Krew, Dziecko

³⁰⁷stuguldenowy — gulden austriacki był oficjalnym środkiem płatniczym na terenie Austro-Węgier do czasu reformy walutowej z 1892 r., gdy w jego miejsce wprowadzono koronę austro-węgierską.

³⁰⁸po kuglarsku — jak sztukmistrz, fałszywie.

³⁰⁹błogotwórczy (neol.) — zapewniający szczęście.

³¹⁰Talmud — w judaizmie księga zawierająca komentarz do Tory (pierwszych pięciu ksiąg Biblii).

ogniem. Sądzić należy dlatego, że Hillel oznacza dla niego coś niepojętego, coś doskonale nieodgadnionego. Może też przeczuwa w nim kabalistę³¹¹.

Zeszliśmy tymczasem w dół po schodach.

— Czy pan sądzi, że dzisiaj jeszcze istnieją kabaliści — i że w ogóle z Kabały da się co wyciągnąć? — pytałem, czekając z napięciem, co też on mi powie, ale zdawało się, że nawet nie słyszał moich słów.

Powtórzyłem pytanie.

Charousek spiesznie się odwrócił i wskazał na drzwi na piętrze urobione z desek skrzyniowych.

— Masz tu pan nowych współlokatorów. Jest to wprawdzie żydowska, ale biedna rodzina: pólobłakany — meszugen³¹² muzyk Neftali Szafrank, z córką, zięciem i wnuczętami. Kiedy jest ciemno — i kiedy on sam zostaje z małymi dziewczynkami, wtedy przychodzi na niego pomieszanie zmysłów. Obwiązuje dzieci aż do małego palca, ażeby mu nie uciekły, pomieszcza je w starym kojcu i naucza je „śpiewu”, jak mówi, aby później mogły sobie zarabiać na życie — to znaczy uczy je najszańszych piosenek, jakie istnieją, teksty niemieckie, kawałki, które stąd i zowąd pochwytał w mroku swego stanu duchowego, a które ma za pruskie hymny bojowe lub coś podobnego. Istotnie brzmiała stamtąd osobiwa, cicha muzyka. Skrzypce straszliwie i głośno skomlały ciągle w jednym i tym samym tonie, niby tracz, co piłuje drzewo; towarzyszyły zaś mu dwa cieniutkie głosiki dziecięce.

„*Frau Pick, frau Hock*
Krau Kle — pe — tarsch,
se stehen beirenond
*und schmu — sen allerhond*³¹³ — —”.

Muzyka, Szaleniec, Dziecko

Było to zarazem szalone i komiczne — i mimo woli musiałem się głośno uśmiechnąć.

— Zięć Szafrank — którego żona na targu jajecznym sprzedaje na szklanki sok ogórkowy dzieciom szkolnym — przez cały dzień biega po rozmaitych kantorach — mówił dalej jakby gniewnie Charousek — i żebrze dla siebie o stare marki pocztowe³¹⁴. Marki potem sortuje, a gdy znajdzie takie, co przypadkowo tylko u brzegu są stemplowane, składa je z sobą i odpowiednio rozcina. Niestemplowane kawałki skleja razem i sprzedaje za nowe³¹⁵. Z początku interes kwitnął i nieraz dawał prawie florena³¹⁶ dziennie, ale w końcu wpadli na to wielcy przemysłowcy żydowscy z Pragi — i zaczęli sami to robić. Tak zabrali sobie śmietankę.

— Czy pan by starał się zapobiec nędzy, panie Charousek, gdyby pan miał nadmiar pieniędzy? — zapytałem gwałtownie. Staliśmy u drzwi Hillela — a ja zastukałem.

— Czy pan mnie uważa za istotę tak pospolitą, abyś pan mógł myśleć, że tego bym nie czynił? — odparł zmieszany.

Kroki Miriam zbliżały się coraz bardziej i czekałem, aż ona klamkę naciśnie; wówczas szybko mu wcisnąłem banknot do kieszeni i rzekłem:

— Nie, panie Charousek, ja nie sądzę pana w ten sposób, ale pan musiałby mnie uważać za człowieka pospolitego, gdybym tej rzeczy zaniedbał.

Zanim ten cokolwiek mógł odpowiedzieć, ucisnąłem mu rękę i zawarłem³¹⁷ drzwi za sobą. W chwili, gdy Miriam witała się ze mną, nasłuchiwałem, co on robi.

Chwilę stał na miejscu, lekko zaszlochał i powoli, wahającym krokiem zeszedł w dół po schodach. Niby ktoś, co się musi trzymać za poręcz.

Miłosierdzie, Smutek

³¹¹*kabalista* — znawca Kabały, to jest mistycznej doktryny judaistycznej, na której oparty był m. in. ruch chasydzki.

³¹²*meszugen* — w jidysz: wariat.

³¹³*Frau Pick, frau Hock* (...) — w zniekształconym niemieckim: Pani Pick, pani Hock i pani Klepetarsch stoją razem w rzędzie, plotkując i plotkując.

³¹⁴*marki pocztowe* — znaczki.

³¹⁵*za nowe* — jako nowe.

³¹⁶*floren* — złota moneta z Florencji, często naśladowana przez mennice innych krajów.

³¹⁷*zawrzeć* (daw.) — zamknąć.

Po raz to pierwszy byłem w pokoju Hillela.
Nie miał on żadnej ozdoby, jak więzienie. Podłoga była czysta i białym piaskiem posypana. Żadnych mebli prócz dwóch krzeseł, stołu i komody. Drewniany słup na lewo i na prawo koło ściany.

Miriam siedziała na przeciw mnie koło okna, ja zaś jałem³¹⁸ ugniatać wosk modelowy.
— Czy trzeba koniecznie mieć przed sobą twarz, aby uchwycić podobieństwo? — zapytała nieśmiało, jakby tylko po to, by przerwać milczenie.

Trwożliwie unikaliśmy spojrzeń nawzajem. Nie wiedziała, w którą stronę ma skierować oczy w żalu i wstydzie dla³¹⁹ nędzarskiego wyglądu pokoju, a mnie palił usta wyrzut, że się nie troszczyłem o to, jak żyła ona i jej ojciec.

Ale cokolwiek bądź musiałem odpowiedzieć.

— Nie tyle, aby utrafić podobieństwo, ile aby porównać, czy też wewnętrznie dobrze się twarz widziało — mówiłem i w czasie mowy czułem, jak z gruntu fałszywym było wszystko, com mówił.

Długie lata, jak tępy i ograniczony umysł, szedłem za błędną zasadą malarską, że należy studiować naturę zewnętrzną, aby móc tworzyć artystycznie. Dopiero, kiedy mnie Hillel owej nocy przebudził, rozwinęło się we mnie widzenie wewnętrzne: prawdziwa moc widzenia z zamkniętą powieką, a która natychmiast gaśnie, gdy otworzysz oczy — dar, który wszyscy sądzą, że posiadają, a którego na miliony nikt nie posiada rzeczywiście.

Jakże mogłem mówić o możliwości, chcąc mierzyć nieomylną wskazówkę wizji duchowej brutalnymi środkami widzenia naocznego?

Miriam, zdawało się, myśli podobnie: tak mogłem sądzić ze zdumienia, jakie się malowało na jej twarzy.

— Nie powinna pani tego brać dosłownie — starałem się uniewinnić.

Z wielką uwagą przyglądała się, jak ja rylcem pogłębiałem formę.

— Musi to być niezmiernie trudna rzecz — wszystko to najdokładniej przenosić na kamień.

— To tylko mechaniczna robota. Prawie nic. Przerwa.

— Czy będę mogła zobaczyć gemmę³²⁰, gdy ją pan wykończy? — zapytała.

— Dla pani jest przeznaczona, Miriam.

— Nie, nie. To nie idzie — to — to — widziałem, jak jej ręce nerwowo się poruszały.

— Takiej drobnostki nie chce pani przyjąć ode mnie? — przerwałem jej nagle. — Chciałbym, powinien bym dla pani zrobić daleko więcej.

Szybko odwróciła twarz ode mnie.

Co też ja powiedziałem złego? Musiałem ją głęboko urazić. Tak to brzmiało, jakbym chciał zrobić aluzję do jej ubóstwa.

Czy mógłbym to czymś upozorować? Czy nie byłoby to gorzej?

Zacząłem próbę.

— Miriam, proszę, niech mnie pani posłucha spokojnie. Proszę o to — winien jestem pani ojcu tak nieskończenie wiele — pani tego nie może ocenić.

Patrzyła na mnie niepewnie; widocznie nie rozumiała.

— Tak, tak: nieskończenie wiele. Więcej niż życie.

— Że on panu raz dopomógł, kiedy pan zemdlął? Ależ to rozumiało się samo przez się.

Czułem to: nie wiedziała, jaka nić mnie łączyła z jej ojcem. Ostrożnie badałem, jak daleko mogę iść, nie zdradzając tego, co on przed nią zamilczał.

— Daleko wyżej niż pomoc zewnętrzną — powiedziałem — należy cenić wewnętrzną. Myślę o pomocy, która promienieje z duchowego wpływu jednego człowieka na drugiego. Czy pani rozumie, co ja chcę, przez to powiedzieć, Miriam? — Można kogoś uleczyć duchowo, nie tylko cieleśnie, Miriam.

— I to właśnie —

³¹⁸ *jać* (daw.) — zacząć.

³¹⁹ *dla* (daw.) — z powodu.

³²⁰ *gemma* — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

Bieda

Sztuka, Wzrok

— I to właśnie uczynił dla mnie ojciec pani — ująłem ją za rękę. — czy więc pani nie rozumie, jakie to dla mnie musi być serdeczne życzenie — zgotować jakąś przyjemność jeżeli nie jemu, to przecież komuś, co stoi tak blisko niego, jak pani. Czy pani ma choćby najmniejsze zaufanie do mnie? Czyli nie ma pani żadnego życzenia, które mógł bym pan wypełnić?

Potrząsała głową:

— Czy pan sądzi, że ja się tutaj czuję nieszczęśliwą?

— Bynajmniej. Ale może pani ma niekiedy troski, które mógł bym usunąć? Pani jest obowiązana, słyszy pani — obowiązana powiadomić mnie o tym. Dlaczego oboje mieszkacie w ponurej, ciemnej uliczce, jeżeli nie jesteście do tego zmuszeni? Przecież pani jest tak młoda, Miriam, i — —.

— Sam pan tu mieszka, panie Pernath — przerwała z uśmiechem — cóż pana wiąże z tym domem?

Byłem zdumiony. Istotnie, tak, to prawda. Dlaczego ja właściwie żyłem tutaj? Nie mogłem sobie wyjaśnić, co mnie łączy z tym domem — powtarzałem sobie nieprzytomnie. Nie mogłem znaleźć żadnego wyjaśnienia i na chwilę zapomniałem, gdzie jestem. Znalazłem się porwany nagle gdzieś daleko: byłem w jakimś ogrodzie — doleciał mnie czarodziejski zapach kwitnących bzów — widziałem z góry miasto.

— Czy dotknęłam jakiej rany? Czy uraziłam pana? — dopłynął mnie z dala, z dala głos Miriam.

Pochyliła się nade mną i niespokojnie, badawczo w twarz mi spojrzała.

Musiałem dłuższy czas siedzieć tak w odrętwieniu, że się niemal o mnie zatrwodziła.

Chwilę jakąś kołysało się coś we mnie na prawo i na lewo, w końcu gwałtownie drogę sobie przerwało, opanowało mnie — i całe serce otwarłem przed Miriam.

Opowiedziałem jej, jak drogiemu, staremu przyjacielowi, z którym całe życie spędziłem³²¹ i przed którym nie ma żadnej tajemnicy, jak to było ze mną i w jaki sposób mimo woli z opowiadania Zwaka dowiedziałem się, że w ubiegłych latach byłem oblakany i pozbawiony wspomnienia przeszłości; — jak w ostatnich czasach zaczęły we mnie budzić się obrazy, tkwiące korzeniem w tych dniach zapomnianych; jak nachodzą mnie coraz częściej a częściej i że drżę z trwogi przed tą chwilą, gdy wszystko mi się na nowo objawi i gdy mnie zacznie szarpać na nowo.

Przemilczałem tylko to, co się łączyło ze stosunkiem do Hillela i moje przeżycia w podziemnych przejściach — i wszystko pozostałe.

Zwróciła się do mnie bardzo blisko i słuchała mnie z zapartym oddechem głęboko wzruszona, co działało na mnie niewymownie dobrze.

Nareszcie znalazłem człowieka, przed którym mogłem się wywnętrzyć, gdy mi zbyt ciężkim się stanie moje osamotnienie duchowe. Niewątpliwie, był jeszcze Hillel, ale ten wydawał mi się istotą jakby poza obłokami, która się ukazywała i znikwała jak światło, do której nie mogłem dosięgnąć, gdy tęskniłem.

Powiedziałem to jej i zrozumiała mnie. I ona tak go widziała, chociaż był to jej ojciec. Miał on dla niej miłość nieskończoną — równie jak ona dla niego.

— A jednak jestem z nim przedzielona jakby ścianą ze szkła — zwierzyła mi się — której nie jestem w stanie przestąpić. Tak jest od chwili, gdy zaczęłam myśleć. Kiedy jako dziecko widziałam go stojącego we śnie przy moim łóżu, zawsze zdawało mi się, jakoby nosił szatę wielkiego kapłana, złotą tablicę Mojżesza z dwunastu na niej kamieniami na piersi, a błękitne świetlane promienie szły mu ode skroni. — Sądzę, że jego miłość jest z tych, co idą poza grób — i zbyt wielka, byśmy mogli ją objąć.

Toż samo mówiła moja matka, gdy się jej potajemnie zwierzałem. — Wzdrygnęła się naraz, jakby dreszcz przeszedł całe jej ciało.

Niech pan będzie spokojny, to jest nic. Tylko wspomnienie. Kiedy moja matka umarła — jedynie ja wiem, jak on ją kochał, choć byłam wtedy dopiero dzieckiem — sądziłam, że serce pęknie mi z bólu, pobiegłam do niego, i wcisnęłam się w jego surdut, chciałam krzyczeć, ale nie mogłam, gdyż wszystko się we mnie załamało — i — i oto — — — znów jakby lodem ścina mi się grzbiet, kiedy o tym pomyślę — — — spojrzał na mnie z uśmiechem, pocałował mnie w czoło i pociągnął mi rękę nad oczami. — — — I od

Dom

Ojciec, Miłość

Tajemnica

³²¹przepędzić — dziś: spędzić.

tej chwili do dziś wszelkie cierpienie z powodu śmierci mej matki jak gdyby rozprysło się i roztopiło we mnie. Łzy jednej nawet nie byłam w stanie wylać, gdy ją pochowano; widziałam słońce jakby promienną rękę Boga na niebie i dziwiłam się, dlaczego ludzie płaczą. Ojciec mój siedł za trumną, koło mnie, a gdy spoglądałam, wciąż uśmiechał się łagodnie i czułam, jaka zgroza przenikała tłum na ten widok.

— Pani jest szczęśliwą, Miriam? Zupełnie szczęśliwą? Czy nie jest to uczucie jakiejś rzeczy strasznej myśleć, że pani ma za ojca istotę, która tak przerasta ludzi? — zapytałam ją szeptem.

Miriam wesoło kiwnęła głową.

— Żyję niby w błogosławieństwie sennym. — Gdy mnie pan przedtem pytał, panie Pernath, czy nie mam trosk i dlaczego my tu mieszkamy, musiałam się prawie śmiać. Alboż natura jest piękną? Prawda, drzewa są zielone, a niebo jest niebieskie, ale to wszystko mogę sobie wyobrazić daleko piękniej, kiedy oczy zamknę.

Czyż, aby ją widzieć, muszę siedzieć na łące?

A ta trocha niedostatku — i — i — i głodu? To po stokroć wyrówna mi nadzieja i oczekiwanie.

— Oczekiwanie? — zapytałam zdziwiony.

— Oczekiwanie na cud. Czy pan tego nie zna? Nie? A więc jest pan biedny, bardzo biedny człowiek. — Że też tak mało ludzi o tym wie? Widzi pan, to jest powód, dla którego nigdy nie wychodzę i z nikim się nie stykam. Miałam niegdyś kilka przyjaciół — oczywiście Żydówek, jak ja — ale mówiłyśmy ze sobą zawsze o czym innym. One nie rozumiały mnie, a ja ich. Kiedy mówiłam o cudach, sądziły naprzód, że robię żarty, a gdy spostrzegły, że ja pod nazwą cudów rozumiem także nie to, co Niemcy określają pod mikroskopem, to jest zgodne z prawem wzrastanie traw i ziół, ale właśnie coś wręcz przeciwnego — najchętniej by mnie uznały za pomieszaną; ale taka opinia trafiała na przeszkody: gdyż ja jestem w myśleniu bardzo umiętną, uczyłam się hebrajskiego i aramejskiego, czytać mogę Targumim³²² i Midraszim³²³ — i wszelkie z tym połączone rzeczy znam i rozumiem. W końcu znalazły słówko, które właściwie nic nie wyraża: nazywały mnie „przesadzoną”. Gdy chciałam im wyjaśnić, że najważniejszym, istotnym dla mnie w Biblii i innych pismach świętych jest cud i wyłącznie cud, nie zaś przepisy moralne i etyczne, które mogą być tylko utajoną drogą do pozyskania cudu — umiały mi jeno odpowiedzieć w beztreściwych ogólnikach, gdyż lękały mi się przyznać otwarcie, że z ksiąg religijnych wierzyły tylko w to, co równie dobrze mogłoby się mieścić w kodeksie cywilnym. Gdy tylko słowo „cud” usłyszały, już im się robiło nieprzyjemnie. Traciły grunt pod nogami, jak mówiły.

Cud

Jak gdyby mogło być coś wspanialszego na ziemi, niż stracić grunt pod nogami!

Świat jest po to, abyśmy go uważali jako nieistniejący — tak, słyszałam, raz mówił mój ojciec — wtedy dopiero zaczyna się życie. Nie wiem, co on rozumiał pod wyrazem „życie”, ale ja czuję niekiedy, że pewnego dnia stanę się jakby „przebudzona” — chociaż nie mogę sobie wyobrazić, w jakim stanie. Cuda muszą ten stan poprzedzać, tak sobie zawsze myślę.

„Czyż już przeżyła jaki cud, że tak na cud oczekujesz?” — pytały mnie często przyjaciółki, a gdym mówiła, że nie — naraz robiło się im wesoło, jakby pewne były zwycięstwa. Niech mi pan powie, panie Pernath, czy pan może rozumieć takie serca? Że ja *jednak* cuda przeżyłam, choć malutkie — bardzo malutkie — czy Miriam błyszczały — tego nie chciałam przed nimi zdradzić — — —

Łzy radości niemal zagłuszały jej słowa.

— Ale pan mnie zrozumie: często, tygodnie całe, miesiące nawet — Miriam mówiła po cichu — żyliśmy cudami. Kiedy już nie było w domu chleba, ale to ani kawałeczek — wtedy wiedziałam: godzina się zbliża. — Wtedy siadałam — ot tu! i w napięciu ducha czekałam, czekałam, aż mi od bicia serca oddech się zatrzymywał. A wówczas, gdy mnie to nagle porywało, zbiegałam na dół, tędy owędy chodziłam po ulicach, spiesząc³²⁴ jak tylko mogłam, aby na czas być w domu, zanim ojciec powróci. I za każdym razem znajdowałam

Pieniądz

³²²targum — aramejskie tłumaczenie, lub niekiedy parafraza, hebrajskiego tekstu *Biblij*.

³²³midrasz — komentarz do *Biblij*, często w formie przypowieści lub sentencji; z hebr. *midrasz*: badać, dociekać, głosić.

³²⁴spiesznie — szybko.

pieniądze. Raz mniej, raz więcej, ale zawsze tyle, że mogłam zakupić to, co konieczne. Nieraz leżał na środku ulicy gulden³²⁵; widziałam, jak świecił z dala, ludzie deptali po nim, poślizgiwali się, ale żaden go nie zauważył. — Niekiedy stawiałam się tak zuchwała, że nie wychodziłam z domu pierwszej³²⁶, aż przedtem przeszukałam podłogę w kuchni, jak dziecko, śledząc, czy z nieba nie spadły pieniądze lub chleb.

Jakaś myśl przeleciała mi przez głowę — i z radości musiałem się uśmiechnąć.

Dostrzegła mój uśmiech.

— Niech się pan nie śmieje, panie Pernath — błagała. — Niech mi pan wierzy, ja wiem, że te cuda będą rosły — i że pan pewnego dnia —

Uspokoilem ją:

— Ależ ja się nie śmieję, Miriam! Jak pani może pomyśleć coś takiego! Jestem niezmiernie szczęśliwy, że pani nie jest taka, jak inni, którzy poza każdym zjawiskiem odgadują i widzą przyczynę pospolitą, gdy my w takich razach wołamy: Bogu dzięki! — czasami zdarza się wcale³²⁷ inaczej.

Wyciągnęła do mnie rękę:

— I nieprawda, nigdy już pan nie powie, panie Pernath, że pan mnie — czy też nam — zechce pomagać? Teraz, kiedy pan odebrałby mi w ten sposób możliwość przeżycia cudu, gdyby pan to uczynił?

Obiecałem. Ale w sercu zrobiłem zastrzeżenie.

Drzwi się otwały — i wszedł Hillel.

Córkę uściskał; mnie pozdrowił serdecznie i przyjaźnie, ale znowu zimnym „pan”.

Zdaje się też, że jakieś zmęczenie czy też niepewność ciążyła nad nim. — Lub może się myliłem? Może to pochodziło od zmroku, co się rozplątywał po pokoju.

— Zapewne chce się pan mnie poradzić — zaczął mówić, gdy Miriam pozostawiła nas samych — w sprawie, która dotyczy obcej damy — —?

Zdumiony, chciałem mu przerwać, ale nie dopuścił mnie do słowa.

— Wiem to od studenta Charouska i zaczępiłem go na ulicy, gdyż zdawał mi się dziwnie zmieniony. Opowiedział mi wszystko. W nadmiarze serdeczności. Nawet i to — pan mu dał pieniądze.

Spojrzał na mnie przenikliwie — i akcentował każde słowo w bardzo szczególny sposób, ale nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć.

Zapewne, parę kropel szczęścia więcej zadzidyło³²⁸ przez to z nieba — i — i w tym wypadku — może nie zaszkodziło, ale — (chwilę milczał) — ale niekiedy tą drogą i sobie, i innym sprawia się wiele przykrości. Nie tak łatwo jest pomagać, jak sądzisz, drogi przyjacielu! Bardzo prostą, nazbyt prostą rzeczą byłoby w takim razie zbawienie świata. Albo może pan w to nie wierzy?

— Alboż pan biednym też nie daje? Nieraz wszystko, co pan ma, Hillelu? — zapytałem.

Z uśmiechem kiwnął głową.

— Zdaje mi się, że pan przez tę jedną noc został talmudystą³²⁹, bo pan na pytanie odpowiada pytaniem. Trudno z tym zaprawdę walczyć.

Zatrzymał się chwilę, jakby oczekując, że mu coś na to powinienem odpowiedzieć, ale znów nie zrozumiałem, czego on właściwie oczekiwał.

— Zresztą, wracając do kwestii — mówił dalej zmienionym tonem — sądzę, że pańskiej protegowanej — myślę o tej damie — w danej chwili nie grozi niebezpieczeństwo. Pozwól, niechaj rzeczy płyną same przez się. Mówi się co prawda, że mądry człowiek z góry przewiduje, ale mędrszy, jak sądzę, czeka i na wszystko jest przygotowany. Być może zdarzy się okoliczność, że Aron Wassertrum ze mną się spotka. Ale to musi wyjść od niego — ja żadnego kroku nie zrobię, on musi zacząć. Czy przyjdzie do pana, czy do mnie, to rzecz obojętna — wtedy chcę z nim porozmawiać. Od niego zależy postanowić, czy za moją radą pójdzie, czy nie pójdzie. Umywam swoje ręce w niewinności.

³²⁵gulden — moneta obiegowa w Austrii do 1892 r.

³²⁶pierwej — najpierw, wcześniej.

³²⁷wcale — całkiem.

³²⁸zadzidyło — spadło jak deszcz.

³²⁹talmudysta — znawca *Talmudu*, to jest księgi zawierającej komentarz do *Tory* (pierwszych pięciu ksiąg Biblii).

Z trwogą próbowałem czytać w jego twarzy. Tak chłodno i tak specyficznie surowo nie mówił jeszcze nigdy. Ale poza tym czarnym, głębokim okiem drzemała głębia.

— Między nim a nami jest niby szklany mur — wpadły mi słowa Miriam. Mogłem mu tylko słowa nie mówiąc, rękę uścisnąć — i odejść.

Towarzyszył mi do drzwi — a gdy wchodziłem po schodach na górę i odwróciłem się raz jeszcze, widziałem, że zatrzymał się i przyjaźnie kiwał ku mnie, ale tak, jak ktoś, co chciałby coś powiedzieć, jednak nie może.

TRWOGA

Miałem zamiar wziąć palto i laskę i pójść, aby się posilić czymkolwiek w gospodzie „Pod starym cebrem”, gdzie co wieczór zasiadali razem Zwak, Vrieslander i Prokop, i opowiadali sobie szalone historie; lecz zaledwie przestąpiłem próg swego pokoju, zamiar ten odpadł ode mnie; rzekłbyś, jakieś ręce zdarły ze mnie chustkę lub coś podobnego, co miałem na sobie. Czuć było w powietrzu jakieś napięcie, z którego nie mogłem sobie zdać sprawy, lecz mimo wszystko trwało ono niby coś uchwytnego i w przeciągu kilku sekund przeniknęło we mnie tak silnie, że pełny niepokoju początkowo wprost nie wiedziałem, co czynić: zapalić światło, zamknąć za sobą drzwi, usiąść czy chodzić po pokoju. Czy się kto w czasie mojej nieobecności wślizgnął i tu ukrył? Czy to był strach, co mnie opanował przed możliwością, że mnie ktoś zobaczy? Może Wassertrum był tutaj? Poruszyłem firanki, otworzyłem szafę, spojrzałem do przyległego pokoju — nikogo. Kasetka stała również nietknięta na swoim miejscu. Czy nie uczyniłbym najlepiej, gdybym bez namysłu spalił listy, aby raz na zawsze być wolnym od kłopotu? Już szukałem kluczyka w kieszonce od kamizelki — ale czy to musi nastąpić zaraz, teraz? Zostało mi jeszcze dosyć czasu do jutra rana. Najpierw zapalić światło! Nie mogłem znaleźć zapalek. Czy drzwi były zamknięte? — Przeszedłem parę kroków z powrotem. Znów stanąłem. Dlaczego naraz³³⁰ trwoga? Chciałem sobie robić wyrzuty, że jestem tchórzliwy — myśli zatrzymały się. W środku zdania. Szalona myśl wpadła mi nagle do głowy: Prędko, prędko wejść na stół, porwać krzeselko, przycisnąć je do siebie i uderzyć „go” tym w czaszkę, aby się aż spląszczył o ziemię — gdy — gdy się przybliży. „Ależ tu nie ma nikogo” — powiedziałem sobie głośno i ze złością — „czyś ty się bał tak kiedykolwiek w życiu?” Nic nie pomogło. Powietrze, które wdychałem, rozrzedziło się i cięło, jak eter. Gdybym chociaż cośkolwiek zobaczył: najstraszliwszą rzecz, jaką można sobie tylko wyobrazić — w jednej chwili strach by mnie opuścił. Nie zjawilo się nic. Świdrowałem oczyma po wszystkich kątach. Nic, wszędzie tylko dobrze mi znane sprzęty: meble, skrzynie, lampa, obraz, zegar ścienny — martwi, starzy przyjaciele.

Spodziewałem się, że te sprzęty w moich oczach nagle się przekształcą i wytłumaczą mi powód tej złudy myślowej, która była przyczyną dławiącego mnie uczucia strachu. Również i to nie. — Rzeczy uparcie nie zmieniały swojej formy. Były owszem zbyt sztywne, jak na panujący pół zmrok, aby to było naturalne. „Są pod tym samym naciskiem, co i ty sam”, czułem. „Nie odważają się wykonać choćby najdelikatniejszego ruchu”. Dlaczego zegar ścienny nie cyka? — Jakieś czyhanie pochłaniało każdy dźwięk. Potrząsłem stołem i dziwiło mnie, że mogę słyszeć hałas. Gdyby chociaż wiatr zaświszczał około domu! — Ani razu! Albo gdyby drzewo zatrzęszczało w piecu — ogień wygaś. I wciąż to samo naprężenie w powietrzu — bez chwili przerwy, nieustannie jak strumień wody. Ta daremna gotowość do skoku wszystkich moich zmysłów. Zwątpilem, czy będę mógł ją przetrwać. — Pokój pełen oczu, których nie mogłem widzieć — pełen bezplanowo wyciągających się rąk, których nie mogłem uchwycić: „przeważa Trwoga, co sama z siebie rodzi się wobec nieujętego Niczegoś. Niczegoś, co nie ma żadnych kształtów, przekracza granice naszych myśli” — uświadomiłem sobie głucho. Stanąłem twardo i czekałem. Czekałem pewnie kwadrans; może „to” da się namówić, podpełźnie do mnie z tyłu i będę mógł je ująć!? Błyskawicznie obróciłem się dookoła; znowu Nic. To samo, nie dające się zauważyć „Nic”, którego nie było, a jednak pokój był przepełniony jego groźnym życiem. Gdybym wybiegł na ulicę? Co mi przeszkadza? „To” poszłoby ze mną — wiedziałem z wszelką pewnością. Jak również odgadywałem, że nic mi nie pomoże, gdybym

³³⁰naraz (daw.) — nagle.

zapalił światło, jednakże tak długo szukałem zapalek, aż je znalazłem. Lecz knot świecy nie chciał się palić i długo nie przestawał się tlić: mały płomyczek nie mógł ani żyć ani umrzeć, a gdy w końcu wywalczył sobie suchotniczą egzystencję, powstał bez połysku, jak żółta, brudna blacha. Nie, ciemność była lepszą. Znow zagasilem świecę i w ubraniu rzuciłem się na łóżko. Liczyłem bicie serca: raz, dwa, trzy — cztery... do tysiąca i wciąż na nowo — godziny, dni, tygodnie, jak mi się zdawało, aż wyschły mi wargi, włosy się rozwichrzyły: ani sekundy ulgi. Ani jednej jedynej. Zacząłem wymawiać słowa, jakie mi tylko przychodziły na język: „książę”, „drzewo”, aż przedstawiły mi się nagle jako suche, bezmyślne dźwięki z barbarzyńskich czasów i musiałem całą siłą się namyślać, aby zrozumieć ich znaczenie: k-s-i-ą-ż-ę? d-r-z-e-w-o? Czy ja już zwariowałem? Albo umarłem? Dotykałem wokoło sam siebie. Wstań. Siądź na krzeselku. Padłem na fotel. Gdyby jednak w końcu przyszła śmierć! Aby tylko nie czuć więcej tego bezkrwistego, straszego naprężenia! „Ja — nie chcę — nie chcę”, krzyknąłem. „Czy słyszycie?!”. Bezsilny znow upadłem. Nie mogłem pojąć, że wciąż jeszcze żyję. Niezdolny cokolwiek myśleć lub czynić, runąłem prosto przed siebie.

Dlaczego „on” mi wciąż tak uporczywie podaje tylko ziarenka? prześladowała mnie myśl, cofnęła się i wróciła. Cofnęła się. Znow wróciła. Powoli zaczęło mi się w końcu wyjaśniać, że przede mną stoi jakaś dziwna istota — stoi zapewne, odkąd już tutaj siedzę — i wyciągnęła do mnie ręce. Szare, barczyste stworzenie, wzrostu dojrzałego mężczyzny, oparte na spiralnie skręconej, sękatej lasce z białego drewna. Tam, gdzie powinna być głowa, mogłem rozpoznać tylko mglisty obłok z płowego³³¹ oparu. Od zjawiska tego rozchodził się mdły zapach drzewa sandałowego i wilgotnego łupku³³². Uczucie całkowitej bezbronności pozbawiło mnie prawie zmysłów. To, co przez cały tak długi czas zużyłem na pokonanie szarpającej nerwy męki, zamieniło się teraz w śmiertelną trwogę i przyodziło się w kształt tej istoty.

Instynkt samozachowawczy mówił mi, że zwariowałbym z przerażenia i strachu, gdybym ujrzał twarz tej fantastycznej istoty; — ostrzegał mnie przed tym, krzyczał mi to w uszy — a jednak ciągnęło mnie jak magnes tak, że nie mogłem odwrócić wzroku od tej płowej kurzawy i szukałem w niej oczu, nosa i ust. Lecz chociaż bardzo się trudziłem, opar pozostawał nieruchomy. Udało mi się różnego rodzaju głowy nasadzać na tułów, lecz za każdym razem widziałem, że one powstają tylko siłą mojej wyobraźni.

Głowy rozplýwały się ciągle — prawie w tej samej sekundzie, w której je sobie stworzyłem. Tylko kształt głowy Ibisa³³³ egipskiego trwał najdłużej. Kontury widziadła rozplýwały się schematycznie w ciemnościach, zaledwie dostrzegalnie kurczyły się i wyciągały z powrotem, jakby pod wpływem delikatnych podmuchów, przebiegających całą postać: był to jedyny ruch dostrzegalny. Zamiast nóg dotykały ziemi nagie kości, z których szare, anemiczne mięso, szerokie na miarę pięści, odrywało się w formie dętych pobrzeży. Bez ruchu podawało mi to stworzenie dłoń. Na dłoni leżały małe ziarenka, wielkości grochu, czarnego koloru z czarnymi punktami na brzegu. Co miałem z nimi uczynić?! Czulem głucho: olbrzymia odpowiedzialność spoczywała na mnie — odpowiedzialność idąca daleko ponad wszystko ziemskie — jeżeli teraz nie postąpię właściwie. Dwie szale wagi, każda obarczona ciężarem połowy świata, kołyszą się gdzieś w państwie przyczyn (tak rozumiałem); na którą z nich rzuciłem pyłek, ta opadła w dół. Rozumiałem, że to była najstraszniejsza zasadzka. „Nie ruszać żadnym palcem” — radził mi rozum.

Że też śmierć przez całą wieczność nie chce przyjść i wybawić mnie od tej męki. — I wtedy również nie chybiłbyś co do wyboru: usunąłbyś te ziarna — szeptało coś we mnie. Tutaj nie ma żadnego odwrotu. Spragniony ocalenia, spojrzałem wokoło siebie, czy nie uzyskam jakiego znaku, co mam uczynić. Nic. I we mnie żadnej rady, żadnego pomysłu — wszystko martwe, umarłe. Pojąłem, że życie miliardów ludzi waży lekko, jak pióro — w tym strasznym momencie. Musiała być już głęboka noc, gdyż nie mogłem rozróżniać ścian mego pokoju. Tuż obok pracowni zatupały kroki: słyszałem, że ktoś poruszał

³³¹ *plowy* — żółtoszary.

³³² *łuppek* — rodzaj kamienia charakteryzującego się dużą łupliwością.

³³³ *ibis* — ptak o długich nogach i dziobie, z rodziny pelikanowatych; jego nazwa może być pochodzenia egipskiego.

szafy, wyciągał szuflady, hałaśliwie rzucał coś na podłogę, zdawało mi się poznawać głos Wassertruma, gdy ten swym rzężącym, basowym głosem wymawiał dzikie przekleństwa; nie podsłuchiwałem. Było to dla mnie bez znaczenia, jak skrobanie myszy — zamknąłem oczy. Ludzkie oblicze przeciągnęły długimi rzędami wokoło mnie. Zapadłe powieki, skamieniałe trupie maski — mój własny ród, moi własni przodkowie. Zawsze ten sam kształt czaszki, a jak typ zdawał się zmieniać — tak właśnie wstawał z grobów poprzez wieki — już to z gładkim, rozczesanym włosiem, już to w pukle³³⁴ ułożonym, już krótko przyciętym, już w długiej peruce lub z czupryną ułożoną w pierścienie — aż rysy stawały się dla mnie coraz bardziej znajome i przybrały w końcu ostatnie oblicze — oblicze Golema³³⁵, na którym przerywał się łańcuch moich przodków. Potem mrok mego pokoju zamknął się w nieskończoną, pustą przestrzeń, w której środku znajdowałem się na fotelu; przede mną zaś znowu szary cień z wyciągniętą ręką. — I gdy otworzyłem oczy, około nas stały w dwóch przecinających się kołach, tworzących ósemkę — jakieś dziwne istoty. W jednym kole były szaty o fioletowym połysku; w drugim kole — suknie³³⁶ czerwono-czarne. Ludzie jakiejś obcej rasy, wysokiego, nienaturalnie wysmukłego wzrostu, o twarzach ukrytych za świecącymi chustkami. Drżenie serca w mej piersi mówiło mi, że nadeszła właśnie chwila rozstrzygająca. Palce moje szybko się poruszyły ku ziarnom — i nagle ujrzałem, jak postacie czerwonego koła zadrżały. Miałemże nie brać ziarenek?

Wrzenie ogarnęło koło niebieskawe; spojrzałem przenikliwie na człowieka bez głowy: stał w tej samej postawie: nieruchomo, jak poprzednio, Wstrzymałem nawet oddech. Podniosłem rękę, lecz wciąż nie wiedziałem, co mam zrobić i uderzyłem w wyciągniętą rękę widma, aż ziarna potoczyły się po podłodze. Na chwilę, tak krótką, jak trzask iskry elektrycznej, straciłem świadomość i myślałem, że spadam w bezdenną przepaść — potem mocno stanąłem na nogach. Szara istota znikła. Również istoty czerwonego koła. Zaś niebieskawe postacie utworzyły wokół mnie pierścień; nosiły na piersiach napis w złotych hieroglifach i trzymały go nieruchomo. — Wyglądało to jak przysięga — między palcem wskazującym a wielkim czarne ziarnka na tej wysokości, na której wytrąciłem je z ręki widmu bez głowy. Słyszałem, jak na ulicy grad uderzył o szyby i głuchy grzmot przeciął powietrze. Burza zimowa w całej swojej bezmyślnej wściekłości szalała nad miastem. Od strony rzeki huczały wśród wycia burzy, w rytmicznych odstępach, głuche wystrzały armatnie, które oznajmiały pęknięcie pokrywy lodowej na Węławie. Pokój płonął w świetle błyskawic, następujących po sobie bez przerwy: Uczulem się nagle tak słaby, że drżały mi kolana i musiałem usiąść.

— Bądź spokojny — powiedział wyraźnie jakiś głos obok mnie — bądź zupełnie spokojny, dzisiaj jest Lejl Szimurim³³⁷: Noc opieki.

Powoli burza ustawała i głuchy hałas zamienił się w jednostajne bębnienie gradu o dachy. — Moje znużenie urosło do takiego stopnia, że raczej przytępionymi zmysłami i przez pół we śnie rozpoznawałem, co się około mnie dzieje. Ktoś z koła powiedział słowa: „Nie masz³³⁸ tutaj tego, którego szukacie”. Na to pierwszy znów cicho wymówił jakieś zdanie, w którym usłyszałem imię „Henocho³³⁹”, lecz reszty nie zrozumiałem: wiatr za głośno przynosił od strony rzeki jęczenie pękających brył lodowych.

Potem oddzielił się jeden z koła, przystąpił do mnie, wskazał hieroglify na swojej piersi — były to te same litery, co i u pozostałych — zapytał mnie czy mógłbym je przeczytać. I gdy ja — bełkocząc ze znużenia — zaprzeczyłem, wyciągnął do mnie dłoń, i świecący napis ukazał się na moich piersiach; napis w literach, które były początkowo łacińskie:

³³⁴pukiel — wijący się lok.

³³⁵golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

³³⁶suknia (daw.) — strój, ubiór.

³³⁷Lejl Szimurim (hebr.) — noc czuwania, pierwsza noc święta Paschy.

³³⁸nie masz (daw.) — nie ma (forma bezosobowa).

³³⁹Henocho — patriarcha biblijny, który z racji wielkiej przyjaźni z Bogiem miał być za życia wzięty do nieba; przypisywano mu apokryficzną *Księgę Henocha*.

i zamieniły się powoli w nieznany mi alfabet — —
 I wpadłem w głęboki, bez marzeń sen, nieznany mi od tej nocy, gdy Hillel rozwiązał mi język.

PĘD

Godziny ostatnich dni upłynęły mi jak na skrzydłach. Zaledwie miałem czas na posiłek. Nieustanny pociąg do działalności zewnętrznej przykuwał mnie od rana do wieczora do mego warsztatu. Gemma była ukończona i Miriam cieszyła się z niej jak dziecko. Również litera „J” w książce *Ibbur*³⁴¹ była poprawiona. Przechyliłem się w tył i zacząłem rozmyślać, pełen spokoju, o wszystkich drobnych zdarzeniach dzisiejszego dnia: stara kobieta, która mi służy, wpadła do pokoju rano po burzy z wiadomością, że kamienny most zawalił się tej nocy. — Dziwne! — zawalił się! Zapewne właśnie w tej godzinie, w której ja te ziarnka — — — nie — nie — nie myśleć o tym! To, co się wtedy zdarzyło, mogłoby przybrać pozór czczej³⁴² uludy; ja zaś postanowiłem pochować tę zjawę w swej duszy, aż znowu sama się obudzi — aby tylko tego nie dotykać. Jak to było niedawno, gdy szedłem jeszcze przez most, widziałem kamienne posągi — a teraz leży w gruzach most, który przetrwał stulecia. Miałem niemal bolesne uczucie, że już nigdy więcej nie postanie na nim moja noga. Gdyby go nawet znowu odbudowano, nie byłby to już nigdy ten stary, tajemniczy most kamienny. Wycinając gemmę³⁴³, rozmyślałem o tym godzinami i jak to się rozumie samo przez się, rozmyślałem tak, jakbym nigdy o tym nie zapominał; żywo też stało mi przed oczyma, jak często, w dzieciennych i późniejszych latach, spoglądałem na wizerunek świętego Luitgarda i innych, którzy teraz leżą pogrzebani w szumiących wodach. Wiele drobnych, kochanych rzeczy, które w dzieciństwie nazywałem swoimi, ujrzałem znów w myślach: i mego ojca, i moją matkę, i mnóstwo kolegów szkolnych. Tylko domu, w którym mieszkalem, nie mogłem sobie przypomnieć. Wiedziałem, że stanie znów nagle przede mną któregoś dnia, gdy najmniej będę się tego spodziewał; i cieszyłem się z tego. Uczucie, że od razu wszystko się przede mną naturalnie i prosto ujawni, było tak błogie! Gdy przedwczoraj wyjąłem z kasetki książkę *Ibbur* — nie zdawało się to bynajmniej godne podziwu, że wyglądała jak stara, pergaminowa księga ozdobiona samymi inicjałami; uważałem to owszem za rzecz zgoła naturalną. Nie mogłem pojąć, że kiedyś działała na mnie jak upiór! Była napisana językiem hebrajskim, zupełnie dla mnie niezrozumiałym. Kiedy znów nieznajomy przyjdzie, aby ją odebrać? Radość życia, która potajemnie opanowała mnie podczas roboty, obudziła się na nowo w całej swej orzeźwiającej świeżości i rozpędziła nocne myśli, które mnie znów chciały napaść zdradliwie.

Prędko wziąłem fotografię Angeliny — odciąłem dedykację, która była u dołu, i pocałowałem ją. To wszystko było tak głupie i szalone, lecz dla czegoś choćby raz nie pomażyć o szczęściu, zatrzymać obecną chwilę i radować się tym jak bańką mydlaną? Czy nie mogło się urzeczywistnić to, czym miała mnie tęsknota mego serca? Byłoby to zupełnie niemożliwe, abym z dnia na dzień stał się sławnym człowiekiem? Godny jej, choć nie równy pochodzeniem? Co najmniej równy doktorowi Savioli? Myślałem o gemmie³⁴⁴ Miriam: gdyby mi się druga taka udała, jak ta! — bez wątpienia, nawet najlepsi artyści wszystkich czasów nie stworzyli nic lepszego.

Przypuśćmy tylko jeden wypadek: mąż Angeliny nagle umiera? Stało mi się naraz gorąco i zimno: drobny wypadek i moja nadzieja, zuchwała nadzieja, nabierze kształtów. Szczęście moje wisi na cienkiej nitce, która łączy chwila może się przerwać, upadnie mi na łono. Czy już tysiące razy nie udawało mi się coś cudownego? Rzeczy, których istnienia

Pocałunek, Nadzieja,
 Marzenie

³⁴⁰ *Chabert Zereh Aur Bocher* (hebr.) — dosł.: związek wychowanków zorzy porannej.

³⁴¹ *ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

³⁴² *czczy* — nic nieznaczący.

³⁴³ *gemma* — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

³⁴⁴ *gemma* — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

ludzie w ogóle nawet nie przypuszczają. Czy to nie jest cud, że w przeciągu kilku tygodni obudziły się we mnie artystyczne zdolności, które już teraz podnoszą mnie wysoko nad przeciętność? Stoję jednak dopiero na początku drogi! Czy nie miałem prawa do szczęścia? Czy mistyka jest równoznaczna z unicestwieniem pragnień? Przeważało we mnie „tak”; — śnić jeszcze tylko jedną godzinę — minutę — jedno krótkie istnienie ludzkie! I śniłem z otwartymi oczyma. Szlachetne kamienie na stole rosły i rosły i otoczyły mnie ze wszystkich stron barwnymi kaskadami.

Drzewa z opali stały się gromadami przy sobie i wydawały świetlne blaski niebios, lśniąco błękitnie jak skrzydła olbrzymiego motyla spod zwrotników, w deszczu iskier, ponad nieprzejrzanymi łąkami, pełnymi gorących powiewów letnich. Czulem pragnienie i ochłodziłem swoje członki w lodowatej pianie potoków, co szumiały na skalnych urwiskach z lśniącej masy perłowej.

Duszny powiew przeciągnął nad pochyłościami, przesycony kwieciem, i upoił mnie wonią jaśminu, hiacyntów, narcyzów, bławatków — — — — —

Nie do zniesienia! nie do zniesienia! Okryłem fotografię. — Miałem pragnienie! Były to męki raju! Szarpnąłem oknem i czoło moje owiał wilgotny wiatr; pachniało zbliżającą się wiosną.

Miriam! Musiałem myśleć o Miriam. Jak to ona ze wzruszenia aż się oprzeć musiała o ścianę, gdy przyszła mi powiedzieć, że stał się cud, prawdziwy cud: znalazła złotą monetę w bochenku chleba, który piekarz jak zwykle położył przez kratę, na oknie swego sklepu. Chwyciłem portmonetkę. — Przypuszczam, nie było jeszcze dziś za późno, i przyszedłem jeszcze w porę zaczarować jej znów dukata³⁴⁵.

Odwiedzała mnie ona codziennie, aby mi dotrzymać towarzystwa, jak mówiła, ale prawie ciągle milczała, tak była przejęta owym „cudem”. Aż do najgłębszej głębi — poruszył ją ten wypadek i gdy sobie przypominałem, jak to ona czasami nagle, bez przyczyny zewnętrznej, tylko pod wpływem wspomnienia — śmiertelnie bladła aż po usta, dostawałem zawrotu głowy na samą myśl, że mógłbym w swoim zasklepieniu czynić rzeczy niezmiernie doniosłości. — I gdy wywołałem w pamięci ostatnie zagadkowe słowa Hillela i związałem je z tą ostatnią swoją myślą, odczułem we wszystkich kościach lodowate zimno. Czystość zamiaru nie była dla mnie bynajmniej uniewinnieniem — cel nie uświęca środków — przekonałem się. A co by było, gdyby ten zamiar „chcieć pomóc” był tylko pozornie czysty? Może właśnie ukrywa się w tym jakieś utajone kłamstwo: nieokreślone życzenie, aby dla własnego zadowolenia rozkoszować się rolą dobroczyńcy? Zacząłem błędzić sam w stosunku do siebie. Było jasne, że osądziłem Miriam zbyt powierzchownie. Już jako córka Hillela musiała być nie taką, jak inne panny. Jak mogłem być na tyle zuchwały, aby w tak głupi sposób wdziierać się w wewnętrzne życie, które o całe niebo stało wyżej nad moim własnym. Już rysy jej twarzy, które sto razy bardziej odpowiadały epoce szóstej dynastii egipskiej, a nawet dla niej były nazbyt uduchowione, niż dla naszych dni ze swym typem ludzi rozsądkowych: powinny były ostrzec. — „Tylko zupełny głupiec nie ufa przejawom zewnętrznym” — czytałem to gdzieś kiedyś. Jakże to prawdziwe! Miriam i ja byliśmy teraz dobrymi przyjaciółmi: czy miałem jej wyznać, że to właśnie ja codziennie przemyciałem w chlebie dukaty? Cios byłby zbyt nagły. Ogłuszyłby ją. — Nie mogłem się na to odważyć, musiałem postępować ostrożniej. — Czy ten „cud” jakkolwiek osłabił? Zamiast wsadzać pieniąż do chleba, kłaść go na stopniach schodów, aby mogła go znaleźć, gdy otworzy, i tak dalej, i tak dalej. Przecież można wymyślić coś nowego, mniej szorstkiego: jakąś drogą, która by wprowadziła ją z cudów do codzienności; pocieszałem się. Tak! To było najlepsze. Albo przeciąć węzeł? Wyznać jej ojcu i wciągnąć do rady? Rumieniec wstydu wystąpił mi na twarz. Na ten krok było jeszcze dosyć czasu, gdy zawiódą wszystkie inne środki. Tylko zaraz przystąpić do dzieła. Ani chwili nie tracić! Dobry pomysł wpadł mi do głowy: musiałem zająć Miriam czymś zupełnie osobliwym, wyrwać ją na parę godzin z powszedniego otoczenia, aby doznała innych wrażeń. Wzięliśmy powóz i pojechaliśmy na spacer. Kto nas pozna, gdy będziemy unikali dzielnicy żydowskiej? Może ją zaciekawi widok zwałonego mostu? Gdyby uważała za niestosowne, żebym ja był przy niej, pojedzie z nią Zwak albo która z dawnych

³⁴⁵dukat — złota moneta, będąca w obiegu do XIX w.

jej przyjaciółek. Byłem zupełnie zdecydowany nie dopuścić żadnego oporu. — — —
— — — U progu natknąłem się na jakiegoś człowieka. Wassertrum! Musiał patrzeć przez dziurkę od klucza, gdyż w chwili, kiedy wpadłem na niego, stał pochylony. — Czy pan mnie szuka? — zapytałem go szorstko. Wybełkotał kilka słów wymówki w swoim niemożliwym żargonie; potem potwierdził. Zaproponowałem mu przybliżyć się i usiąść, lecz Aron stanął przy stole i kręcił kurczowo rondem kapelusza. Głęboka nienawiść, którą na próżno starał się ukryć, odzwierciadlała się w jego twarzy, w każdym poruszeniu. Nigdy nie widziałem jeszcze tego człowieka tak bezpośrednio blisko. Jego straszna brzydota była zapewne odrażająca; ale wzbudzała ona raczej we mnie politowanie; wyglądał jak stworzenie, któremu sama natura, przy urodzeniu, pełna wściekłości i wstrętu zadepnęła nogą — i powstało coś nieokreślonego, co jego charakteryzowało. Była temu winna „Krew”, jak trafnie określił to Charousek. Pomimo woli cofnąłem rękę, którą przy jego wejściu wyciągnąłem. Chociaż zrobiłem to prawie niewidocznie, zdaje się jednak, że on to zauważył, gdyż musiał nagle siłą poskromić w swojej twarzy wybuch nienawiści.

— Ładnie tutaj jest — zaczął w końcu, jękając się, gdy zauważył, że nie zadałem sobie trudu zacząć z nim rozmowę. W przeciwieństwie do swoich słów, zamknął przy tym oczy, może dlatego, żeby się nie spotkać z moim wzrokiem. A może myślał, że to nada jego twarzy niewinny wyraz? Można było wyraźnie spostrzec, ile zadawał sobie trudu, aby poprawnie mówić po niemiecku. Nie czułem się w obowiązku odpowiedzieć mu i czekałem, co też on powie dalej. W zakłopotaniu chwycił pilnik, który Bóg wie po co — jeszcze od wizyty Charouska leżał na stole, lecz pomimo woli cofnął się natychmiast, jak gdyby go żmija ugryzła. Zdumiony byłem jego nieświadomą, duchową wrażliwością.

— Pięknie! naturalnie, owszem! Interes pański na tym polega. Musi być pięknie w mieszkaniu — zerwał się, dodając: — kiedy się odbiera takie szlachetne odwiedziny! Chciał otworzyć oczy, aby widzieć, jakie wrażenie wywrą na mnie jego słowa, lecz uznał widocznie to za przedwczesne — i znów je szybko zamknął. Chciałem go przycisnąć do muru:

— Pan myśli o damie, która niedawno tutaj zajeżdżała? Powiedz pan otwarcie, dokąd pan zmierza?

Chwilę się ociągał, potem chwycił mnie silnie za łokieć i pociągnął mnie do okna. Dziwny, nieumotywowany sposób, w jaki to zrobił, przypomniawszy mi, jak kilka dni temu wciągnął do swojej jamy głuchoniemego Jaromira. Zakrzywionymi palcami pokazywał mi jakiś błyszczący przedmiot:

— Jak pan myśli, panie Pernath, czy da się z tego jeszcze coś zrobić?

Był to złoty zegarek, z tak mocno przygiętą kopertą, że wyglądał prawie jakby ją ktoś z umysłu wygiął. Wziąłem szkło powiększające: śrubki były do połowy poodłamywane, a wewnątrz czy nie ma tam jakichś liter wyrytych? Prawie już nieczytelne, a ponadto porysowane mnóstwem świeżych zadrapań. Powoli odczytałem: K-a-r-ol Zott-man

Zottman? Zottman? — Gdzież ja słyszałem to nazwisko. Zottman? Nie mogłem sobie przypomnieć. Zottman? Wassertrum wytrącił mi prawie lupę z ręki.

— W mechanizmie nic nie ma, patrzyłem już tam sam, ale z pokrywą — to coś — śmierzdi!

— Trzeba tylko wyklepać i wyrównać, najwyżej kilka złutowań. To może panu również dobrze zrobić każdy złotnik, panie Wassertrum.

— Zależy mi na tym, żeby to była solidna robota, jak to się mówi artystyczna — przerwał mi skwapliwie. Z trwogą prawie.

— A więc dobrze, jeżeli panu na tym zależy.

— Wiele na tym zależy! Głos jego drżał z zapalczywości. — Chcę sam nosić ten zegarek. A gdy go komukolwiek pokażę, to powiem: patrzcie, tak robi pan von Pernath.

Brzydziłem się tym człowiekiem, pluł mi po prostu pochlebstwami w twarz.

— Gdy za godzinę pan wróci, wszystko będzie gotowe.

Wassertrum odwrócił się kurczowo:

— Tak nie można, tego nie chcę. Trzy dni, cztery dni, w przyszłym tygodniu, będzie dosyć czasu. Całe życie robiłbym sobie wyrzuty, że pana zamęczyłem!

Czego on chciał, że tak zabiegał? — Uczyniłem krok do przyległego pokoju i schowałem zegarek do kasetki. Fotografia Angeliny leżała na wierzchu. Szybko zamknąłem pokrywkę, na wypadek, gdyby Wassertrum chciał zajrzeć. Gdy wróciłem, zauważyłem,

że był zaczerwieniony. Przyjrzałem mu się, lecz natychmiast cofnąłem swe podejrzenie. Niemożliwe! Nie był w stanie nic zobaczyć.

— A więc może następnego tygodnia — powiedziałem, aby położyć koniec jego wizycie.

Lecz jemu tym razem się nie spieszyło, wziął krzeselko i usiadł. Na odwrót niż poprzednio, miał on teraz swoje rybie oczy przy rozmowie szeroko otwarte; wpatrywał się uporczywie w górny guzik mej kamizelki. Pauza.

— Ta księżna naturalnie powiedziała panu, żeby pan udawał, że niby to pan o niczym nie wie, gdyby się to wszystko wydało? Cooo? — wrzasnął nagle na mnie bez wstępu i uderzył pięścią w stół.

Było coś dziwnie strasznego w tej krańcowości, z jaką Aron przeskoczył od jednego sposobu rozmowy do drugiego — od tonów pochlebnych błyskawicznie przeszedł do brutalnych; uważałem to za bardzo możliwe, że większość ludzi, zwłaszcza kobiety, muszą się całkowicie zdać na jego łaskę, jeżeli on posiada choćby najmniejszą broń przeciwko nim. Pierwszą moją myślą było zerwać się, chwycić go za kark i wyrzucić za drzwi; potem wytłumaczyłem sobie, czy nie będzie rozsądniej naprzód wysłuchać go dokładnie. „Naprawdę nie rozumiem, co pan ma na myśli, panie Wassertrum? — starałem się zrobić możliwie najłupszą minę.

— Księżna? Co za księżna? Może mam pana uczyć po niemiecku? — przerwał mi ordynarnie. — Będzie musiał pan podnosić rękę przed sądem, gdy rozchodzi się o flaki! Rozumie mnie pan? Ja to panu mówię!

Zaczął krzyczeć

— Nie będzie mi się pan w oczy wypierać, że „ona” stamtąd — wskazał palcem w stronę pracowni — przybiegła do pana w jednym dywaniku i — nic więcej nie miała na sobie.

Wściekłość zalała mi oczy; schwyciłem łajdaka za pierś i potrząsałem nim:

— Jeżeli jeszcze jedno słowo powiesz o tym, pogruchoczę ci kości! Zrozumiano?

Przestraszony upadł na krzeselko i wyjąkał:

— Co jest? co jest? czego pan chce? Ja tylko tak mówię.

Przeszedłem się po pokoju, aby się uspokoić. Nie słuchałem tego wszystkiego, co gadał na swoje usprawiedliwienie. Usiadłem potem naprzeciwko niego z mocnym zamiarem, by sprawę, o ile dotyczy Angeliny, wyprowadzić na czystą wodę, a jeżeli się nie uda, to spokojnie zmusić go w końcu, aby wyjaśnił swą nienawiść i tak zawczasu odparować jego słabe pociski. — Nie zważając na to, że spokorniał, wbilem mu w głowę, że presje jakiegokolwiek bądź rodzaju — podkreśliłem to słowo — mogą się nie udać, gdyż on żadnego zarzutu nie może poprzeć dowodami, a ja mógłbym na pewno zbić wszelkie zaświadczenia (założywszy, że w zakresie możliwości w ogóle do tego by nie doszło). Angelina była mi za bliską, abym w potrzebie nie miał jej ratować choćby kosztem największych ofiar, nawet krzywoprzysięstwa! Każdy mięsień w jego twarzy drżał; zajęcza wargę wyciągnęła się aż do nosa, wyszczerzył zęby i okrażał mnie wciąż swoją mową jak indyk:

— A czy ja czego chcę od księżny?? Niechże pan uważa!

Tracił władzę nad sobą z niecierpliwości, że nie pozwalał się oszukać.

— Chodzi mi tu o Saviolę, o tego przekłętą psa, tego — tego — ryknął nagle. Zadyszał się. Szybko zatrzymałem go: w końcu doszedł do tego punktu, na którym go chciałem mieć, lecz on natychmiast się połapał i znów się wpatrywał w moją kamizelkę.

— Słuchaj pan — panie Pernath — zmuszał się naśladować chłodny rozważny ton kupiecki — pan mówi wciąż o? — o tej damie. Dobrze! Ona jest zamężna. Dobrze: ona puściła się z tym — z tym młodym wszarzem. Co mnie to obchodzi! — Poruszał rękami przed moją twarzą, końce palców miał ściśnięte, jak gdyby trzymał w nich szczyptę soli — Czy ona ma się sama z tym załatwić? — Ja jestem bywalcem i pan też jest bywalcem. My to obaj dobrze wiemy. Cooo? Ja chcę tylko dojść do swych pieniędzy. Rozumie to pan, Pernath?!

Słuchałem zdumiony:

— Do jakich pieniędzy? Czy doktor Savioli jest panu coś winien?

Wassertrum odpowiedział wymijająco.

— Mam z nim porachunki. To wychodzi na jedno.

— Pan go chce zamordować! — krzyknąłem. Podskoczył. Zatoczył się. Zakrztusił się kilka razy. — Tak jest! Zamordować! Jak długo pan chce jeszcze grać przede mną komedię!

Wskazałem mu drzwi:

— Wynoś się pan!

Powoli wziął kapelusz, włożył go na głowę i skierował się do wyjścia. Potem zatrzymał się na chwilę i powiedział ze spokojem, na który nigdy nie przypuszczałem że się zdobędzie.

— A więc dobrze. Chciałem panu umożliwić wyjście z tej sprawy. Dobrze. Jak nie, to nie. Miłosierni golarze zadają zgnile rany. Już mam tego dosyć. Gdyby pan był roztropny! — Savioli stoi panu na drodze! — Teraz załatwię się z wami trojgiem — ruchem oznaczającym dławienie wskazał, co ma na myśli — „pętlicę”. Jego rysy wyrażały takie szatańskie okrucieństwo i zdawał się tak pewny być swej sprawy, że krew zastygła mi w żyłach. Musiał mieć widocznie jakąś broń w ręku, której nie przeczuwałem, a o której również Charousek nie wiedział. Czulem, jak ziemia się pode mną zapadała. „Pilnik! pilnik! usłyszałem szept w swej głowie. Mierzyłem wzrokiem odległość: krok do stołu, dwa kroki do Wassertruma — — chciałem skoczyć — — wtem na progu zjawiał się, jakby spod ziemi, Hillel. Pokój zniknął mi w oczach. Widziałem tylko jak przez mgłę, że Hillel stał nieruchomo, a Wassertrum krok za krokiem cofał się do ściany. Potem słyszałem, jak Hillel mówił:

— Aronie, znacie to zdanie: *wszyscy Żydzi są dla siebie wzajem poręczycielami*? Nie utrudniajcie tego jednemu z nich.

Dodał jeszcze kilka słów po hebrajsku, których nie zrozumiałem.

— Co pan ma w tym, aby węszyć pode drzwiami? — wypluł kramarz drżącą wargą.

— Czy podsłuchiwałem, czy nie, możesz się o to nie troszczyć! — znów odparł Hillel jakimś hebrajskim zdaniem, które tym razem brzmiało jak groźba. Sądziłem, że dojdzie do kłótni, lecz Wassertrum nie odpowiadał ani słówka, namyślał się przez chwilę i wyszedł zuchwale. Z natężeniem patrzyłem na Hillela. Skinął na mnie, abym milczał. Widocznie czegoś oczekiwał, gdyż z uwagą wsłuchiwał się w korytarz. Chciałem iść i drzwi zamknąć: zatrzymał mnie niecierpliwym ruchem ręki. Zaledwie przeszła minuta, gdy dały się znów słyszeć na schodach drepające kroki kramarza. Nie mówiąc ani słowa, Hillel odszedł i zrobił mu miejsce. Wassertrum zaczął, aż znalazł się poza obrębem słuchu Hillela i warknął przez zaciśnięte zęby:

— Niech mi pan odda mój zegarek.

Żyd

KOBIETA

Gdzie się podziewa Charousek? Przeszło już blisko 24 godziny i wciąż go nie widać. Czy zapomniał znaku, o którymś się umówili? A może go nie widzi? Zbliżyłem się do okna i nastawiłem lustro tak, że promienie słoneczne, które się właśnie ukazały, wpadły w okno jego mieszkania w piwnicy.

Wdanie się³⁴⁶ Hillela — wczoraj — zupełnie mnie uspokoiło. Na pewno by mnie ostrzegł, gdyby mi groziło jakieś niebezpieczeństwo. Ponadto: Wassertrum nie mógł nic ważnego przedsięwziąć; zaraz potem, gdy mnie opuścił, wrócił do swego sklepu. — Rzuciłem wzrokiem na dół: stał nieruchomo, oparty o płytę kamienną, tak jak go już widziałem dzisiaj rano.

Niepodobna³⁴⁷ wytrzymać tego ciągłego oczekiwania! Łagodny powiew wiosenny, który wpływał przez otwarte okno z przyległego pokoju, czynił mnie chorym z tęsknoty. To tajanie śniegu kapiącego z dachów! A jak błyszczą w świetle słonecznym te cieniuchne sznureczki wody! Niewidzialne nici wyciągały mnie na ulicę. Pelen zniecierpliwienia chodziłem tam i z powrotem po pokoju. Rzuciłem się na krzeselko. Znów wstałem. Ten jątrzący się zarodek nieświadomej miłości w mej piersi nie chciał zniknąć.

Dręczył mnie całą noc. Raz była to Angelina, która tuliła się do mnie; potem rozma-

Erotyzm

³⁴⁶wdać się — włączyć się w jakąś sprawę.

³⁴⁷niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe.

wiałem znów najniewinniej z Miriam i zaledwie ten obraz odpłynął, powtórnie przyszła Angelina i całowała mnie; wciąłem zapach jej włosów, wysunąłem się z jej obnażonych ramion — i nagle przemieniła się w Rożynę, która tańczyła z pijanymi, na wpół zamkniętymi oczyma — we fraku — cała naga; — — — wszystko w półśnie, który jednak był tak wyraźny, jak rzeczywistość. Nad ranem stanął mój sobowtór przy łóżku, ten mroczny Habal Garmin, „wyziew kości”, o którym mówił Hillel — i spojrzałem mu w oczy: był w mojej mocy, musiał mi odpowiadać na każde moje pytanie dotyczące spraw ziemskich i pozagrobowych, na co tylko oczekiwał, lecz żądza tajemniczości nie była tarczą dostateczną przeciw płomieniom krwi, zamierała w żarzącym się, ziemskim królestwie mego rozumu. — Odpędziłem to widmo, które powinno stać się odzwierciedleniem Angeliny, a kurczyło się do rozmiarów litery „alef”, znów urosło, i stanęło jako kobieta kolosalna, naga do cna, taka jak ją widziałem po raz pierwszy w książce *Ibbur*³⁴⁸, z pulsem równym trzęsieniu ziemi i nachyliła się nade mną, a ja wdychałem ogłuszający zapach jej gorącego ciała.

Czy Charousek już nie przyjdzie? Dzwony zaśpiewały z wież kościelnych. Chciałem zacząć jeszcze kwadrans — a potem wyjść! Włączyć się poprzez ożywione ulice, pełne odświętnie ubranych ludzi, zmieszać się z wesołym tłumem w dzielnicach bogaczy, widzieć piękne kobiety o zalotnych twarzach, o wysmukłych rękach i nogach. Może spotkam przy tym wypadkowo Charouska, tłumaczmy się przed sobą. Aby mi czas płynął prędzej, wziąłem ze stosu książek starożytną grę w taroka. Może w kartach da się znaleźć motyw do obmyślenia jakiej kamei? Szukałem „Pagada”³⁴⁹. Niepodobna go znaleźć: gdzież się mógł zapodziać? Jeszcze raz przejrzałem karty i zatopiłem się w myślach o ich ukrytym znaczeniu. Szczególnie ten Wisielec³⁵⁰: co on mógł oznaczać?

Człowiek wisiał na linie między niebem a ziemią, głową na dół; ręce miał na plecach związane, prawe przedudzie założone przez lewą nogą, co wyglądało jak krzyż nad odwróconym trójkątem? Niezrozumiałe równanie. Przecież! Na koniec! Charousek idzie. Lecz może nie? Przyjemna niespodzianka: to była Miriam!

— Miriam, wie pani, że ja właśnie chciałem zejść na dół i prosić panią, abyś pojechała ze mną na spacer? — Nie było to zupełną prawdą, lecz w następnej chwili przestałem o tym myśleć. — Nieprawdą, pani mi tego nie odmówi? Tak mi dzisiaj nieskończenie miło na duszy, że pani, właśnie pani, Miriam, musi uwieńczyć moją radość.

— Jechać na spacer? — powtórzyła z takim osłupieniem, że na cały głos parsknąłem śmiechem.

— Czy projekt jest taki dziwny?

— Nie, nie, nie, lecz — szukała słów — niesłychanie wspaniały. Jechać na spacer.

— Wcale nie tak wspaniały, gdy pani weźmie pod uwagę, że setki tysięcy ludzi czynią to — a właściwie całe swoje życie nic innego nie robią.

— Tak, inni ludzie! — dodała, wciąż jeszcze zupełnie znienacka tym zaskoczona. Chwyciłem ją za obie ręce:

— To, co inni ludzie przeżywają dla przyjemności, chciałbym aby pani, Miriam, użyła w nieskończenie doskonalszej mierze.

Zbladła nagle śmiertelnie, a po jej skamieniałym wzroku odgadłem, co myśli. Był to dla mnie cios.

— Pani nie powinna tego w sobie ukrywać, Miriam, dopowiedziałem jej. — Tego — tego cudu. Czy pani mi tego nie powie — z przyjaźni?

Usłyszała trwogę w moich słowach i spojrzała na mnie zdziwiona.

— Jeżeli to panią zbyt nie zmęczy, czy mógłbym się razem z nią cieszyć? Ależ tak! Wie pani, że ja się o panią bardzo troszczę? — O — o — jak to powiedzieć? O zdrowie

³⁴⁸*Ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

³⁴⁹*Pagad* — Żonlger, pierwsza karta w talii tarota, w niniejszej powieści identyfikowana z Głupcem.

³⁵⁰*Wisielec* — karta tarota, przedstawiająca człowieka powieszonoego głową do dołu, ze skrzyżowanymi nogami.

pani duszy! Niech pani nie bierze tego dosłownie, lecz — chciałbym, aby cud nigdy się nie stał.

Spodziewałem się, że będzie mi przeczyć, lecz ona kiwnęła tylko głową pograżona w myślach.

— To panią trapi. Czy nie tak, Miriam?

Ocknęła się:

— Czasem zdaje mi się, jakby się to nie stało. — Brzmiało to dla mnie jak promień nadziei.

— Gdy sobie pomyślę — mówiła zupełnie wolno i pograżona w smutku — że mogłyby nadejść czasy, w których musiałbym żyć bez takich cudów — —.

— Przecież w przeciągu jednej nocy może pani zostać bogatą i nie będzie pani potrzebowała — przerwałem jej bez namysłu, lecz gdy dostrzegłem przerażenie na jej twarzy, zatrzymałem się szybko — przypuszczam: w zupełnie naturalny sposób mogła by pani być uwolnioną od wszystkich kłopotów, a cuda, które by pani potem przeżywała, byłyby bardziej duchowe: byłyby to raczej wewnętrzne wrażenia.

Potrząsnęła głową i powiedziała dobitnie:

— Wewnętrzne wrażenia nie są wcale cudami. Dosyć to zdumiewające, że dają je ludzie, którzy żadnych Wrażeń nie posiadają.

— Od dzieciństwa z dnia na dzień, z nocy na noc, przeżywałam — natychmiast przerwała i domyśliłem się, że w niej było coś innego, o czym mi nigdy nie mówiła, zapewne nic niewidzialnych wydarzeń, podobna mojej — lecz to nie należy do rzeczy. Gdyby ktoś wstał i uzdrowił chorego przyłożeniem ręki, nie mogłabym tego nazwać cudem. Dopiero gdy martwy przedmiot, ziemia, wstaje pobudzona do życia przez ducha i łamie prawa natury, wtedy dzieje się to, do czego tęskniłam, odkąd jestem zdolną do myślenia. Kiedyś powiedział mi ojciec: „Kabała ma dwie strony: jedną magiczną, drugą abstrakcyjną, które nigdy się wzajem nie pokrywają. Wprawdzie mogłaby magiczna przyciągnąć do siebie abstrakcyjną, lecz nigdy, ale to nigdy odwrotnie. Magiczna jest darem, druga może być zdobytą i to tylko przy pomocy przewodnika”. Wróciła znów do pierwszej nici: „Dar jest to to, czego pragną; to, co mogę zdobyć, jest dla mnie obojętne — bezwartościowe — jak pył”.

Gdy sobie pomyślę, że mogłyby kiedy nadejść czasy, w których musiałabym znów żyć bez tych cudów — widziałem jak palce jej kurczyły się, i naraz mną zaszarpał ból i żałość — to zdaje mi się, że teraz już umieram w obliczu jeno³⁵¹ takiej czystej możliwości.

— Czy to jest powód, dla którego pani sobie życzy, aby się cuda nigdy nie działy? — badałem.

— Tylko po części. W tym jest jeszcze coś innego. Ja, ja — namyślała się chwilę — nie dojrzałam jeszcze do tego, aby przeżywać cuda w takiej formie, ot co jest — jakże to panu wytłumaczyć? Niech pan tylko, jako przykład, wyobrazi sobie, jakbym od wielu lat miała co noc ten sam sen, snujący się wciąż nieustannie; w tym śnie ktoś, powiedzmy, mieszkaniec innego świata, poucza mnie i pokazuje mi nie tylko na własnym moim odbiciu zwierciadlanym i na wszystkich jego odmianach, jak jestem daleką od dojrzałości magicznej, aby przeżywać jakiś „cud”; lecz daje mi również co do zagadnień rozumowych, które mnie czasami w ciągu dnia zajmują, oświecenie w taki sposób, że w każdej chwili mogę to wypróbować. Pan mnie zrozumie. Taka istota zastępuje komuś zamiast szczęścia wszystko, o czym można tylko na ziemi pomyśleć; to jest dla mnie most, który mnie łączy z „zaświatem”; to drabina Jakuba³⁵², po której mogą się wznosić ponad szarzyznę codzienności ku światłu, to mój przewodnik i przyjaciel; w nim jest całe me zaufanie, że nie zabłądzę w szaleństwie i mroku na tej ponurej drodze, po której kroczy moja dusza; wierzę mu, gdyż on jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Potem naraz, na przekór wszystkiemu, co mi ten mój przewodnik powiedział, jeden „cud” pokrzyżował moje życie! Komuż mam teraz wierzyć? Czy to, co wypełniało mi nieprzerwanie tyle minionych lat, było złudzeniem? Gdybym miała o tym wątpić, wpadłabym w bezdenną przepaść. A jednak. Cud się stał! krzyczałabym z radości; gdyby —

³⁵¹jeno (daw.) — tylko.

³⁵²drabina Jakuba — zob. Rdz 28, gdzie opisany został sen patriarchy Jakuba o drabinie łączącej niebo z ziemią, po której chodzili aniołowie.

— Gdyby? — — — przerwałem jej, wstrzymując oddech. Może sama powie teraz rozstrzygające słowo i ja będę mógł wszystko jej wyznać.

— Gdybym się przekonała, że się mylę — że to nie był „cud”! O, wiem o tym tak dobrze, jak to, że tutaj siedzę, wtedy bym zginęła! (serce bić mi przestało) — byłabym znowu ściągnięta z nieba na ziemię! czy pan sądzi, że człowiek byłby w stanie to znieść?.

— Niech pani prosi swego ojca o pomoc — powiedziałem bezradny z trwogi.

— Mego ojca? o pomoc? — spojrzała na mnie zdziwiona — jeżeli istnieją dla mnie tylko dwie drogi, czyż on może znaleźć trzecią? — Wie pan, co byłoby dla mnie jedynym ratunkiem? Gdyby mi się zdarzyło to, co panu. Gdybym mogła zapomnieć — — w tej chwili, wszystko, co leży po za mną; moje całe życie, aż do dzisiejszego dnia. — — Czy to nie jest zadziwiające: to, co pan uważa za nieszczęście, byłoby dla mnie najwyższym szczęściem!

Długo milczeliśmy oboje. Potem schwyciła nagle mą rękę i zaśmiała się. Prawie wesoło.

— Nie chcę, żeby pan trapił się z mego powodu; — (ona troszczyła się o mnie — o mnie!) — przedtem był pan tak pełen wesoła i szczęścia pod wpływem wiosny, a teraz zdaje się pan uosobieniem smutku. W ogóle nie powinna byłam panu nic powiedzieć. Niech pan to wykreśli ze swojej pamięci i znów myśli tak pogodnie, jak przedtem! — Jestem tak zadowolona —

— Pani? Miriam? Zadowolona? przerwałem jej gorzko.

Zrobiła przekonywującą minę:

— Tak! Rzeczywiście! Zadowolona. Idąc tu do pana, tak nieopisanie się bałam — sama nie wiem czego: nie mogłam pozbyć się uczucia, że panu grozi wielkie niebezpieczeństwo — przysłuchiwałem się z uwagą — lecz zamiast się cieszyć, że oto pan jest zdrow i cały, zasmuciłam pana i —

— Zmusiłem się do wesołości:

— Uczyniłaby pani najlepiej, gdyby ze mną pojechała. Usiłowałem, o ile mogłem, nadać swemu głosowi ton swobodny — chciałbym raz nareszcie widzieć, Miriam, czy nie uda mi się odpędzić od niej tych smutnych myśli. Niech pani powie, czego pani sobie życzy: przecie nie jest pani egipskim czarodziejem, tylko młodą osobą, której wietrzyk wiosenny jeszcze może wyrządzić złośliwego figla!

Miriam nagle rozweseliła się zupełnie.

— Ale co się z panem dzisiaj dzieje, panie Pernath. Takim pana nigdy jeszcze nie widziałam! Zresztą, to wiatr wiosenny. U nas, u panien żydowskich, rodzice, jak wiadomo, kierują wiatrem wiosennym, a my musimy być posłuszne. Czynimy też to jakby zgodnie z naturą, to leży już u nas we krwi. U mnie nie — wtrąciła poważniej — moja matka długo walczyła, kiedy miała wyjść za mąż za tego szkaradnego Arona Wassertruma!

— Co? matka pani? Za tego kramarza³⁵³ z dołu?

Miriam skinęła głową.

— Dzięki Bogu, że to nie doszło do skutku.

— Dla biednego człowieka był to zapewne straszny cios.

— Biedny człowiek, mówi pani? — zerwałem się. — Ten drab to czysty zbrodniarz. W zamyśleniu przeczyła ruchem głowy.

— Zapewne on jest zbrodniarzem, ale ten, który siedzi w takiej skórce, a nie byłby zbrodniarzem, musiałby być prorokiem.

Przysunąłem się ciekawie:

— Czy pani wie coś pewnego o nim? Mnie to interesuje. Z zupełnie szczególnych względów — —! !

— Jeśliby pan raz zobaczył jego sklep z wewnątrz, to od razu wiedział by pan, jak wygląda jego dusza. Ja to mówię, gdyż bywałam tam często jako dziecko. Dlaczego patrzy się pan we mnie taki zdumiony? Czy to takie nadzwyczajne? Dla mnie był on zawsze przyjacielski i dobry. Nawet raz, przypominam sobie, podarował mi duży, świecący kamień, który mi się najbardziej podobał z jego rzeczy. Moja matka powiedziała, że to brylant i musiałam mu naturalnie zaraz go odnieść. Z początku długo nie chciał go wziąć z powrotem, ale potem wyciągnął mi go z ręki i rzucił go z wściekłością precz daleko

Miłość, Rodzina, Wiatr

Przekleństwo, Dar

³⁵³kramarz — handlarz.

od siebie. Jednak zobaczyłam, jak mu przy tym wytrysły łzy z oczu; znałam już wtedy dosyć język hebrajski, aby zrozumieć, że szeptał: „wszystko, czego moja ręka dotknie, jest przeklęte”! — — ostatni to raz mogłam go odwiedzić. Nigdy więcej od tego czasu nie zaprosił mnie, abym do niego przyszła. Wiem także, dlaczego: gdybym nie starała go się pocieszyć, wszystko było by po dawnemu, ale ponieważ sprawił mi ogromną przykrość, o czym też mu powiedziałam — nie chciał mnie już więcej widywać — Pan tego nie rozumie, panie Pernath? To przecież takie proste: jest to człowiek opętany, który staje się śmiertelnie nieufny, jeżeli ktoś dotknie jego serca. Uważa się za istotę stokroć ohydniejszą, niż jest rzeczywiście — o ile to w ogóle być może — i w tym tkwi zasada wszystkich jego myśli i uczynków. Mówią, że jego żona lubiła go; było w tym może więcej litości, niż miłości, ale w każdym razie tak sądziło wielu ludzi. Jedyne, który przedziwnie głęboko był tym dotknięty, to był on! On wszędzie węszył zdradę i nienawiść. Tylko co do swego syna zrobił wyjątek. Czy stało się to dlatego, że widział jego wzrastanie od niemowlęcych lat, że zatem, jakby powiedzieć, przeżywał wraz z nim kielkowanie każdej jego właściwości od samego zarodka i dlatego nigdy nie dochodził do takiego punktu, gdzie mogłaby się w nim obudzić nieufność czy też z powodu, że to już leży we krwi żydowskiej wszystkie zdolności do kochania, które w nas tkwią, przekazać na swego potomka w tym instynktownym strachu naszej rasy: że możemy umrzeć i nie wypełnić misji, którą zapomnieliśmy, ale która w nas trwa niewyraźnie — któż to może wiedzieć? Z przezornością, która prawie sięgała granic mądrości, a która u takiego niewykształconego człowieka, jak on, jest zadziwiająca, prowadził wychowanie swego syna. Jak przenikliwy psycholog usuwał przed swym dzieckiem z drogi wszelką przeszkodę, która mogłaby się przyczynić do rozwoju sumienności, aby mu oszczędzić przyszłych cierpień duchowych. Trzymał dla niego za nauczyciela wybitnego uczonego, który stał na stanowisku teorii, że zwierzęta są bezwrażliwe i że odczuwanie bólu jest u nich tylko mechanicznym refleksem. Z każdego stworzenia wycisnąć dla siebie samego tyle rozkoszy i zadowolenia, ile tylko można, a zaraz potem lupinę, jako niepotrzebną, odrzucić: to było mniej więcej abecadło jego daleko widzącego systemu wychowawczego.

Może pan sobie wyobrazić, że pieniądz, jako sztandar i klucz do „potęgi”, grał tu pierwszą rolę. Że zaś on sam starannie ukrywa swoje bogactwo, aby mrokiem osłonić granice swego wpływu, zatem wymyślił sposób, że umożliwił swojemu synowi podobne istnienie, oszczędzając mu zarazem męki pozornie ubogiego życia: przepoił go piekielnym kłamstwem „piękności”; przytaczał mu zewnętrzne i wewnętrzne wytwory estetyki, nauczył go pozorować zewnętrzne swe czyny; udawać lilię polną, a wewnętrznie być sępem-scierwnikiem. Naturalnie owa „piękność” nie był to wcale jego własny wynalazek — ale raczej ulepszenie rady, którą mu dał jakiś „wykształcony”. Że jego syn wypierać się go będzie później, gdzie i kiedy zajdzie tego potrzeba, nie brał mu tego za złe. Przeciwnie, kazał mu to uważać za obowiązek, gdyż miłość jego była bez egoizmu i tak, jak już raz mówiłam o swoim własnym ojcu — była to miłość w rodzaju tych, co poza grób sięgają!

Miriam umilkła na chwilę: spojrzałam na nią, jak w milczeniu snuła dalej swoje myśli; usłyszałam to w zmienionym dźwięku głosu, gdy powiedziała:

— Dziwne owoce rosną na drzewie żydowstwa!

— Niech mi pani powie, Miriam — powiedziałam — czy nigdy pani nie słyszała, że Wassertrum ma w swoim sklepie stojącą figurę woskową? Nie pamiętam kto mi to opowiadał, może to był tylko sen — — —

— Nie, nie — to prawda, panie Pernath: woskowa figura, naturalnej wielkości, stoi w kącie, gdzie on pośrodku najróżniejszych rupieci śpi na worku słomy. Przed laty kupił ją od właściciela jakiegoś bałaganu, kupił ją zaś jakoby dlatego, że lalka była podobna do jednej dziewczyny — chrześcijanki, która rzekomo była kiedyś jego kochanką.

„Matka Charouska!” — zabrzmiało we mnie.

— Nie wie pani jej imienia?

Miriam potrząsnęła głową.

— Jeśli panu na tym zależy — czy mam się dowiedzieć?

— Ach nie, Miriam, jest to dla mnie zupełnie obojętne.

Po jej błyszczących oczach zauważyłam, że w zapale się przegadała. Nie powinna już się opamiętać, rzekłam sobie.

— Ale co mnie interesuje więcej, to temat, o którym pani przedtem pobieżnie mówiła.

Żyd, Dziecko

Okrucieństwo

Pieniądz, Piękno, Podstęp

Ojciec, Ślub

Ja myślę o „wiosennym wietrze” — ojciec pani na pewno przecież nie oznaczył pani czasu, kiedy pani ma wyjść za mąż?

Roześmiała się wesoło.

— Mój ojciec? skądże panu to przyszło do głowy?

— No to wielkie szczęście dla mnie.

— Jak to? — spytała, nie spodziewając się podstępu.

— Bo w takim razie mam jeszcze szanse.

Był to po prostu żart i ona też inaczej tego nie przyjęła, jednak szybko zerwała się i pobiegła do okna, abym nie spostrzegł jej rumieńca. — Odwróciłem się, aby jej pomóc wyjść z zakłopotania.

— O to jedno proszę, jako stary przyjaciel i musi mnie pani zawiadomić, gdyby sprawa już zaszła tak daleko. A może pani w ogóle chce pozostać niezamężną?

— Nie, nie, nie! — odparła tak energicznie, że roześmiałem się mimo woli — kiedyś muszę przecież wyjść za mąż.

— Naturalnie! To się rozumie! — Stała się nerwową, jak podłotek. — Czy pan nie może być chwilę poważnym, panie Pernath?

Posłusznie zrobiłem minę serio, Miriam usiadła.

— Więc, jeśli mówię, że muszę przecież kiedyś wyjść za mąż, to chcę przez to powiedzieć, że jakkolwiek nie rozważałam bliższych okoliczności, ale sens życia na pewno byłby mi niezrozumiały, gdybym, przyjąwszy, że urodziłam się kobietą, miała zostać bezdzietną.

Pierwszy raz, od czasu, jak się znałem, zauważyłem w jej rysach kobiecość.

— To należy do moich snów — zaczęła cicho — wyobrazić sobie, jako cel, stopienie dwojga istot w jedną — stopienie — — — czy nigdy pan nie słyszał o starym egipskim kulcie Ozyrysa? — w istotę, której symbol stanowić może Hermafrodyta. Rozumiem przez to magiczne połączenie męskości i kobiecości w rodzaju ludzkim do wyżyn półboga. Jako cel! Nie, nie jako cel, ale jako początek nowej drogi, która jest wieczną — i nie ma końca!

— I wierzy pani, że kiedyś znajdzie pani tego, którego szuka? — zapytałem wzruszony. — A jeżeli być może mieszka on gdzieś w dalekiej krainie albo w ogóle wcale go nie ma na ziemi?

— Nic o tym nie wiem — powiedziała prosto — mogę tylko czekać. Jeśli jest oddalony ode mnie czasem i przestrzenią, w co nie wierzę, to czymże byłabym związana tu z tym gettem, albo jeżeli nas dzieli przepaść wzajemnej nieświadomości — a ja go nie znajdę, wtedy moje życie nie posiadałoby żadnego celu i byłoby bezmyślną igraszką niedorzecznego biesa. Ale, proszę, proszę, nie mówmy już więcej o tym — błagała. — Jeśli tylko wypowie się swoją myśl, nabiera ona brzydkiego, ziemskiego posmaku, a ja nie chciałabym tego — —

Nagle przerwała.

— Czego pani by nie chciała, Miriam?

Podniosła rękę. Wstała szybko i powiedziała:

— Ktoś pana odwiedza, panie Pernath.

Jedwabna suknia zaszeleściła w korytarzu. Gwałtowne pukanie, Angelina! Miriam chciała wyjść. Zatrzymałem ją.

— Czy pozwoli pani przedstawić: córka mego drogiego przyjaciela — Pani hrabina.

— Nie można wcale przejechać! Wszędzie bruk reperują, kiedyż nareszcie będzie pan w bardziej ludzkiej okolicy mieszkał, mistrzu Pernath? Na dworze śnieg topnieje i niebo się raduje, aż piersi rozsadza, a pan ślęczy tutaj w grocie stalaktytowej, jak stara żaba. — Zresztą wie pan, byłam wczoraj u swego jubilera; ten powiedział, że pan jest największy artysta, najlepszy snycerz³⁵⁴ kamei³⁵⁵ za naszych czasów, jeżeli nie największy ze wszystkich, jacy kiedy bądź żyli na świecie.

Angelina plotła tak, jak wodospad, ja zaś byłem oczarowany. Widziałem tylko jej błyszczące, niebieskie oczy, drobne nóżki w małych, lakierowanych bucikach, widziałem kapryśną twarz, wylaniającą się z mnóstwa futer i różowawe uszka. Nawet odetchnąć nie miała czasu.

³⁵⁴snycerz — tu ogólnie: rzeźbiarz.

³⁵⁵kamea — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

— Na rogu stoi mój powóz. Już się bałam, że pana nie zastanę w domu. Na pewno pan jeszcze nie jadł obiadu? Najpierwej pojedziemy, prawda? Dokąd pojedziemy najpierwej? Najpierw pojedziemy — niech pan zaczeka — — — ach! może do parku albo ogólniej gdzie bądź w szczerze pole, gdzie tak dobrze się czuje w powietrzu rozkwitanie wiosny i kielkowanie ziół! Jedźmy, jedźmy, proszę wziąć kapelusz, potem zjemy u mnie, a potem będziemy gadać aż do wieczora. Proszę, niech pan weźmie kapelusz. Na co pan czeka? — Ciepły, zupełnie miękki pled jest na dole — owiniemy się weń po same uszy i okryjemy się razem, aż nam będzie szalenie gorąco.

Co mogłem na to powiedzieć? — — Tak samo właśnie umawiałem się z córką mego przyjaciela o przejażdżkę. Miriam nagle pożegnała śpiesznie Angelinę, zanim jeszcze mogłem coś powiedzieć. Odprowadziłem ją do drzwi, chociaż bardzo życzliwie chciała mnie powstrzymać.

— Niech mnie pani wysłucha, Miriam, nie mogę pani tu na schodach wypowiedzieć, jak mi na pani zależy — — i jak tysiąc razy wołał bym z panią — —

— Nie powinien pan, panie Pernath, kazać tej pani czekać — powiedziała to z całą serdecznością i szczerze, bez udawania, ale widziałem, że blask jej oczu zagasnął. Zbiegła śpiesznie ze schodów; żal ścisnął mi gardło. Czułem, jak gdybym cały świat utracił.

Smutek

Siedziałem jak odurzony przy boku Angeliny. Jechaliśmy wściekłym klusem³⁵⁶ przez przepelnione ludźmi ulice. Taki wir życia toczył się koło mnie, że na wpół ogłuszony w obrazie, co się rozwijał przede mną, rozróżniać mogłem tylko małe świetne plamy, błyszczące klejnoty w kolczykach i łańcuszkach, lśniąco cylindry, białe damskie rękawiczki, pudła z czerwoną wstążką na szyi, który szczekając chciał ugryźć koło u wozu, pieniające się kare konie, które biegły obok nas, srebrną siatką okryte; okno magazynu, wewnątrz błyszczące naczynia przepelnione sznurami pereł, iskrzących się klejnotów — połysk jedwabiu na wysmukłych biodrach dziewczęcych. Ostry wiatr, który nas ciał po twarzy, pozwalał mi podwójnie odczuwać ciepło ciała Angeliny. Gdyśmy przejeżdżali koło policjantów, ci z szacunkiem, na krzyżujących się ulicach, w bok się cofali na nasz widok. — Potem przejechaliśmy stępą³⁵⁷ bulwarem, który był niby jeden szereg powozów, koło zapadłego kamiennego mostu, aleją zaś ciągnęły tłumy gapiących się twarzy. Zaledwie patrzyłem: najmniejsze słowo z ust Angeliny, jej rzęsy, żywa gra jej ust — wszystko to było dla mnie nieskończenie ważniejsze, niż przyglądać się, jak tam na dole pod bryłami lodu skalne urwiska opierały się wzajem barami³⁵⁸ o siebie. Droga w parku. Potem elastyczna, tłuczniem³⁵⁹ zbita ziemia. Potem szelest liści pod kopytami koni, wilgotne powietrze, bezlistne drzewa, pełne wronich gniazd, martwa zieloność łąk z białymi wyspami znikającego śniegu, wszystko mijało mnie: jak we śnie. Tylko kilku krótkimi słowami, prawie obojętnie wspomniła Angelina o doktorze Saviolim.

— Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło — powiedziała z zachwycającą dziecinną prostotą — i wiem, że jemu też jest lepiej, to wszystko, w czym brałam udział, wydaje mi się tak strasznie nudne. Chcę się znów nareszcie cieszyć, zamknąć oczy: zanurzyć się w spienionej fali życia. Myślę, że wszystkie kobiety są takie. Tylko się nie przyznają: albo są tak głupie, że same o tym nie wiedzą. Czy nie sądzi pan tak samo?

Nie słuchała wcale, co jej na to odpowiedziałem.

— W ogóle kobiety są dla mnie zupełnie nie interesujące. Naturalnie, niech pan nie bierze tego za pochlebstwo: ale istotnie, sama bliskość sympatycznego mężczyzny jest dla mnie miłą, niż najbardziej zachęcająca rozmowa z kobietą, nawet dwakroć roztropniejszą. Wreszcie to wszystko co my między sobą gadamy, jest to przecież takie głupstwo! Najwyżej: trochę stroju — i — Mody nie zmieniają się przecież tak często. — — Prawda, jestem lekkomyślną? — zapytała nagle zalotnie. Tak, że ja opętany jej czarem — musiałem zapanować nad sobą, aby nie chwycić jej głowy w swe ręce — i nie ucałować jej w szyję.

³⁵⁶klus — szybki, dwutaktowy chód konia, podczas którego naraz unosi on lewą tylną i prawą przednią nogę.

³⁵⁷stęp — najwolniejszy, czterotaktowy chód konia.

³⁵⁸bary — ramiona.

³⁵⁹tłuczeń — szuter, kruszywo z drobno polamanego kamienia, używane do utwardzania nawierzchni.

— Niech pan powie, że jestem lekkomyślną! — przysunęła się jeszcze mocniej i przitulila się do mnie. Wyjechaliśmy z alei do lasu, z krzewami owiniętymi w słomiane chochoły³⁶⁰; w tych osłonach wyglądały one jak tułowia potworów o ramionach i głowach odciętych. Ludzie siedzieli na ławkach w słońcu, spoglądali za nami i przysuwali do siebie głowy. Chwilę milczeliśmy i oddawaliśmy się naszym myślom. Jak zupełnie inną była Angelina, niż dotychczas w mojej wyobraźni! Jak gdyby dzisiaj dopiero zamieniła się dla mnie w rzeczywistość. Czy istotnie była to ta sama kobieta, którą kiedyś spotkałem w katedrze? Nie mogłem odwrócić wzroku od jej wpółotwartych ust. Teraz milczała. Zdawało się, że w duchu ogląda jakiś obraz. Powóz skręcił w wilgotną łąkę. Czuć było zbudzoną ziemię.

— Wie pani — pani — —?

— Niech mnie pan nazywa Angeliną — przerwała mi po cichu.

— Wiesz, Angelino, że całą dzisiejszą noc śniłem o tobie? — wtrąciłem pośpiesznie. Uczyniła mały, szybki ruch, jak gdyby chciała wyciągnąć do mnie ramię, i spojrzała na mnie zdziwiona.

— Nadzwyczajne! A ja o tobie! I w tej chwili myślałam o tym samym. — Znów rozmowa się przerwała i oboje się zaczerwieniliśmy, żeśmy śnili jedno i to samo. Poczulem to po tętnie jej krwi. Jej ramię drżało ledwo widocznie na mojej piersi. Zażenowana odwróciła się ode mnie i wyglądała z powozu. Wolno przyciągnąłem jej rękę do swych ust, usunąłem białą pachnącą rękawiczkę; słyszałem, jak jej pierś coraz mocniej faluje. Obląkany z miłości zatopiłem usta w jej dłoni.

Miłość, Pożądanie

Godzinę później szedłem jak pijany, wśród mgły wieczornej w dół miasta. Obiegałem ulice bez żadnego planu i szedłem, długo nie widząc, jak i gdzie się błąkam. Stałem potem nad rzeką, oparty o żelazną poręcz i spoglądałem w szumiące fale. Wciąż czułem ręce Angeliny na swoich ramionach, widziałem przed sobą kamienną cysternę fontanny, przy której już kiedyś przed wielu laty żegnaliśmy się ze sobą, z powiędłymi liśćmi wiązu wewnątrz; i ona szła znów ze mną, jak przed chwilą, z głową opartą na moim ramieniu, niemo, przez mroźny, mroczny park swego zamku.

Usiadłem na ławce i, aby marzyć, zasłoniłem twarz kapeluszem. Woda szemrała nad tamą, a jej szmer pochłaniał ostatnie pomruki usypiającego miasta. Od czasu do czasu, otulając się paltem, spoglądałem przed siebie i widziałem rzekę w coraz większym cieniu, aż w końcu, przygnieciona ciężką nocą, stała się ciemnoszarą. A piana przepływała w poprzek na drugi brzeg wody, jak biała, oślepiająca smuga. Wzdrygałem się na myśl, że muszę znów wracać do swego smutnego domu. Szczęście jednego krótkiego popołudnia uczyniło mnie obcym na zawsze dla mej siedziby. Przetrwa to kilka tygodni, może kilka dni, potem szczęście musi przeminąć i nic nie pozostanie — prócz żalosego, pięknego wspomnienia. A zatem co? Zatem jestem bezdomny, tu i tam, po tej i tamtej stronie rzeki. Wstałem. Zanim udałem się do ponurego Getta, chciałem jeszcze rzucić wzrokiem przez sztachety na zamek, za którego oknami ona spała! —

Zboczyłem w kierunku, skąd przyszedłem, po omacku błądziłem wśród gęstej mgły, wzdłuż szeregu domów i przez drżące place, zobaczyłem groźne wynurzające się czarne pomniki i pojedyncze budki strażnicze i floresy barokowych fasad. Matowy połysk tworzył olbrzymie, fantastyczne koła o tęczowych barwach na tle mgły, stawał się żółtawy, rażący oczy i rozchodził się za mną w powietrzu. Nogi dotykały się szerokich, kamiennych stopni, posypanych żwirem. Gdzie byłem? Wąwóz, który spadzisto prowadził na dół? Gładkie mury ogrodowe na lewo i na prawo? Nagie gałęzie jakiegoś drzewa zwieszały się nad drogą. Spływały z nieba: pień ukrywał się za ścianą z mgły. — Kilka zgniłych, cienkich gałązek przy dotknięciu kapelusza ułamało się z trzaskiem, spadło po moim palcu w mglistą, szarą przepaść, która ukrywała przede mną moje nogi. Wtem błyszczący punkt: samotne światło w oddali — gdzieś — zagadkowe — światło między niebem a ziemią — — — Widocznie zabłądziłem. To mogły być tylko stare schody zamkowe na zboczu ogrodu, na Górze Książęcej — — — Potem długa przestrzeń gliniastej ziemi.

Bezdomność

³⁶⁰chochol — słomiane okrycie, zabezpieczające roślinę przed chłodem.

— Gościniec brukowany. Olbrzymi cień wznosił wysoko swą głowę w czarnej sztywnej szpiczastej czapce: „Daliborka” — wieża więzienna, w której niegdyś ludzie ginęli z głodu, gdy królowie na dole w Jelenim Jarze polowali na dziczyznę. Wąska, ślepa uliczka z wylotami strzelnic, ślimacza dróżka, zaledwie na tyle szeroka, żem mógł rozciągnąć ręce — i stanąłem przed szeregiem domków nie wyższych ode mnie. Gdy wyciągnąłem rękę, mogłem dosięgnąć dachów. Znalazłem się na Ulicy Alchemików, gdzie w czasach średniowiecznych adepci kunsztu tajemnego żarzyli³⁶¹ kamień filozoficzny³⁶² i zatruli promienie księżycowe. Żadna inna droga tam nie dochodziła, oprócz tej, którą przyszedłem. Nie mogłem znaleźć tego otworu w murze, przez który wszedłem — wpadłem na drewniane okratowanie. — Nic nie pomoże. Muszę kogoś obudzić, aby mi wskazał drogę: powiedziałem sobie. Czy to nie dziwne, że ulicę zamyka w tym miejscu dom — większy niż pozostałe i prawdopodobnie zamieszkały. Nie mogłem sobie uświadomić, czym go kiedykolwiek zauważył. Może był otynkowany na białe, gdyż świecił tak jasno we mgle nocnej. Przeszedłem okratowaniem przez wąską ścieżkę ogrodową, przysunąłem twarz do szyby: wszędzie ciemno. Zastukałem do okna. — Wtedy wewnątrz ukazał się jakiś człowiek stary jak świat, trzymający w ręku zapaloną świecę; przeze drzwi starczo chwiejnym krokiem wchodzi do środka pokoju, zatrzymał się, powoli obrócił głowę w kierunku zakurzonych retort³⁶³ i kolb³⁶⁴ alchemicznych³⁶⁵ na ścianie, utkwiał zamyślonny wzrok na potężne pajęczyny w kątach, po czym niewzruszenie skierował swój wzrok ku mnie. Cień kości policzkowych padł mu na otwory oczne, tak iż wyglądało, jakby były puste; wprost mumia. Widocznie mnie nie widział. Stuknąłem w szybę. Nie słyszał mnie. Wychodził bez szmeru, jak lunatyk³⁶⁶, na powrót z pokoju. Czekałem na próżno. Zastukałem do bramy: nikt nie otwierał.

Nie pozostawało mi nic, jak szukać tak długo, aż w końcu znajdę wyjście z tej ulicy.

Zastanowiłem się, czy nie byłoby najlepiej, gdybym jeszcze poszedł między ludzi — do moich przyjaciół: Zwaka, Prokopa i Vrieslandera do starej „spelunki³⁶⁷”, gdzie znajdę ich na pewno — aby zagłuszyć choćby na parę godzin tę trawiącą mnie tęsknotę do pocałunków Angeliny. Szybko udałem się w drogę.

Jak trójliść³⁶⁸ umarłych — wszyscy trzej siedzieli wokół starego, zjedzonego przez robaki stołu, mając białe, cienkie fajeczki gliniane w zębach, a pokój był pełen dymu. Ledwie można było rozpoznać ich twarze, tak bardzo ciemno-brunatne ściany pochłaniały skąpe światło staromodnych lamp wiszących. W kącie oschła, małowonna, zniszczona kelnerka ze swoją wieczną szydełkową pończochą, o bezbarwnym spojrzeniu i żółtym, kaczym nosie! Przed zamkniętymi drzwiami wisiały matowoczerwone zasłony, tak że głosy gości z przyległego pokoju dochodziły tylko jak ciche brzęczenie roju pszczół. Vrieslander w swym stożkowatym kapeluszu o równopoziomym rondzie na głowie, ze szpakowatym wąsem, ołowianoszary w barwie na twarzy, z blizną pod okiem wyglądał jak jakiś pijany Holender z zapomnianych stuleci! Jozue Prokop wetknął sobie widelec w swe artystyczne kędziory, dzwonił nieustannie strasznie długimi, kościstymi palcami i przyglądał się pełny zdumienia, jak Zwak męczył się, chcąc zawiesić purpurowy płaszczyk kukielki na pękatej flaszce od araku³⁶⁹.

—To będzie Babiński — objaśnił mi Vrieslander z głęboką powagą. — Pan nie wie, kto to był Babiński? Zwak, opowiedzcie zaraz Pernathowi, kto to był Babiński!

³⁶¹żarzyć — tu: wypalać.

³⁶²kamień filozoficzny — legendarna substancja, zdolna do zmieniania metali nieszlachetnych w złoto.

³⁶³retorta — rodzaj naczynia laboratoryjnego, używanego do destylacji.

³⁶⁴kolba — naczynie laboratoryjne, rozszerzające się u dołu.

³⁶⁵alchemiczny — stosowany w alchemii, czyli przednaukowej praktyce, z której wywodzi się współczesna chemia. Podstawową różnicę stanowi wiara alchemików w możliwość zmiany jednych pierwiastków w inne drogą reakcji chemicznych oraz nierealistyczne cele (np. przemiana ołowiu w złoto).

³⁶⁶lunatyk — osoba nieświadomie wykonująca przez sen różne czynności.

³⁶⁷spelunka — knajpa, szynk, od łac. *spelunca* — jaskinia.

³⁶⁸trójliść — motyw dekoracyjny, przypominający karcianego trefla.

³⁶⁹arak — alkohol o smaku anyżowym, otrzymywany z destylacji zacieru ryżowego lub daktyli.

— Babiński był to — zaczął Zwak natychmiast, nie odwracając się nawet ani na chwilę od swej roboty — niegdyś słynny w Pradze zbój. Wiele lat prowadził on swoje nikczemne rzemiosło, a nikt tego nie zauważył. Raz po razie zdarzało się w najlepszych domach, że już to jednego, już drugiego z członków rodziny brakło przy stole i nigdy więcej się nie pokazywali. Choć z początku nic o tym nie mówiono, gdyż sprawa ta miała poniekąd swoje dobre strony, ile że gospodarstwo wypadało taniej, należało jednak baczyć³⁷⁰, że tym sposobem niejedna rodzina traciła na szacunku w towarzystwie i narażała się na plotki. Szczególnie, jeżeli chodziło o zniknięcie bez śladu córek w wieku ślubnym. Samo się przez się rozumie, że w rodzinach mieszczańskich głównie chodziło o zachowanie pozorów uczciwego życia rodzinnego. Ogłoszenia w gazetach: „Wracaj! wszystko przebaczone!” mnożyły się coraz więcej — okoliczność, której Babiński, lekko-myślny, jak większość zbrojów zawodowych, nie brał w rachubę. I ostatecznie zbudziło to powszechną uwagę. W miłej wiosce Krcz pod Pragę Babiński, który miał w gruncie charakter iście sielankowy, z czasem dzięki niezmordowanej działalności założył sobie mały, ale sympatyczny zakątek. Domek jasny, czysty i przy nim ogródek z aleją kwitnących malw i geraniów. Ponieważ dochody nie pozwalały mu powiększać ogródka, zatem aby zwłoki swych ofiar móc chować niepostrzeżenie, zamiast grzędy kwiatowej, co mu było najmilsze — musiał on przysposobić odpowiednią mogiłę, porośłą trawami i poziomą, a która bez wysiłku dałaby się poszerzać, o ile tego będzie wymagała potrzeba lub pora roku. Po dniach trudów i pracy miał Babiński zwyczaj siadywać co wieczora w promieniach zachodzącego słońca na tych poświęconych miejscach i wygrywać na swym flecie rozmaite melancholijne melodie.

Mieszczanin

Grób

— Stój! — przerwał szorstko Jozue Prokop, wyciągnął klucz z kieszeni, trzymał go jak klarnet przy ustach i zaczął: „Zimzerlin zambusla deh”.

— Czy pan był przy tym, że pan tak dokładnie zna melodię? — spytał Vriestander zdumiony. Prokop rzucił mu złośliwe spojrzenie:

— Nie, jeżeli o to chodzi, to Babiński żył zbyt dawno, ale jako kompozytor muszę wiedzieć najlepiej, co mógł grać. Pan o tym nie może mieć żadnego zdania. Pan nie jest muzykalny — — „Zirnzerlin — zambusla — busla — deh”.

Zdumiony słuchał Zwak, aż Prokop schował swój klucz od bramy; a stary jasełkarz³⁷¹ mówił dalej:

— Ciągły rozrost mogiły wzbudził podejrzenie w sąsiadach zza miedzy, strażnikowi zaś z przedmieścia Žižkow, który przypadkowo z daleka zobaczył, jak Babiński udusił pewną starszą damę z towarzystwa, należy się zasługa położenia kresu samolubnym czynom okrutnika: uwięziono Babińskiego w jego Tusculum³⁷². Sąd, uwzględniając okoliczności łagodzące, to jest wyjątkowo rozgłosną opinię, skazał go na śmierć przez postronek i zawiadomił jednocześnie firmę bracia Leipen — towary powroźnicze: hurt i detal — aby jednemu z wysokich urzędników skarbowych dostarczyła za pokwitowaniem wszystkich do powieszenia koniecznych materiałów, o ile to leży w jej zakresie i aby podała ceny umiarkowane. Zdarzyło się jednak, że powróż się urwał i Babiński został ułaskawiony na dożywotnie więzienie. Dwadzieścia lat odsiedział zbój za murami świętego Pankracego i ani razu skarga nie powstała na jego ustach; — jeszcze dziś cały sztab urzędniczy zakładu nie może się dość nachwalić jego wzorowego zachowania się: do tego stopnia, że pozwolono mu nawet, w imieniny naszego najwyższego władcy kraju, grywać na flecie.

Muzyka

Prokop znów zaczął szukać swego klucza, ale go Zwak zatrzymał.

— Wskutek ogólnej amnestii przebaczone Babińskiemu resztę kary i dostał miejsce³⁷³ odzwiernego w klasztorze Sióstr Miłosiernych.

³⁷⁰baczyć (daw.) — zauważać, zwracać na coś uwagę.

³⁷¹jasełkarz — lalkarz.

³⁷²Tusculum — miejscowość 5 km od Rzymu, w której Cyceon napisał *Rozmowy tuskulańskie*; przen. miejsce odpoczynku lub twórczości, oddalone od zgiełku miasta.

³⁷³miejsce — tu: stanowisko.

Lekka ogrodowa robota, którą się przy tym zajmował, dzięki zręczności w użyciu rydla³⁷⁴, nabytej za czasów poprzedniej działalności, szła mu tak prędko, że zostawało mu dość wolnego czasu, by oświecać serce i duszę dobrym, a doborowym³⁷⁵ czytaniem.

Wynikające z tego skutki były bardzo pocieszające. Ile razy posyłała go przełożona w sobotnie wieczory do oberży, aby rozweselił swój umysł, za każdym razem powracał punktualnie przed zapadnięciem nocy do domu, z wiadomością, że upadek ogólnej moralności nastrojał go ponuro, liczny zaś motłoch najgorszego gatunku ukrywający się przed światłem — niebezpieczeństwem napęla drogi miejskie; temu zaś, który miłuje pokój — jest to przykazanie mądrości wcześniej skierować swe kroki do domu.

Onego czasu w Pradze zazwyczaj woskoboje³⁷⁶ wystawiali małe figurki, przystrojone czerwonym płaszczem, a wyobrażające zbója Babińskiego. Każda z pokrzywdzonych rodzin nabywała taką figurkę. Zwykle jednak stały one w sklepach pod szklanymi pokrywkami, i nic tak Babińskiego nie drażniło, jak gdy zauważył podobną woskową figurkę.

„To jest w najwyższym stopniu niegodne i świadczy o zdzczeniu ducha, przypominać komuś ciągle błędy młodości” — mawiał w takich razach Babiński — „i godne pożałowania, że ze strony władz nic się nie robi, aby ukrócić tak oczywistą swawolę”.

Jeszcze na śmiertelnym łożu odzywał się w tym duchu. Niedaremnie, gdyż wkrótce potem władza zakazała sięjącego zgorszenie handlu posążkami Babińskiego. — — —

Zwak pociągnął wielki łyk grogu³⁷⁷ ze swojej szklanki i wszyscy trzej ryknęli jak czarci. Potem ostrożnie zwrócił głowę w stronę bezbarwnej kelnerki i zobaczyłem, jak ta otarła łzę z oka.

— No, a panu nic nie idzie ku lepszemu — wyjąwszy — naturalnie — że pan z wdzięczności dla nieśmiertelnej rozkoszy pijackiej zapłaci za nasze kufelki — szanowny kolego wycinaczu drogich kamieni? — rzekł Vrieslander po długiej przerwie ogólnej zadumy.

Opowiedziałem im swoją wędrówkę wśród mgły. Skoro w opisie doszedłem do miejsca, gdzie zauważyłem biały dom, wszyscy trzej, zaczerwienieni, wyjęli fajki z ust — a gdy skończyłem, Prokop uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Przecież to jasne! — — Ten Pernath własnym ciałem przeżywa wszystkie legendy, jakie tylko istnieją. — À propos! — Wtenczas ten Golem³⁷⁸ — Wie pan, rzecz się wyjaśniła.

— Jak to wyjaśniła? — spytałem zdumiony.

— Pan zna przecież tego obłąkanego żydowskiego żebraka Haszyla? Nie? A więc: ten Haszyl to był Golem.

— Żebrak — Golem?

— Tak, Haszyl był to Golem. Dziś po południu, najspokojniej w świecie, w najpiękniejszym blasku słońca, widmo w swoim osławionym staromodnym ubraniu z XVII wieku spacerowało przez Saletrzaną ulicę i wtedy psią pętlą uchwycił go czyściciel miejski.

— Co to ma znaczyć? Nie rozumiem ani słowa — uniosłem się.

— Przecież mówię panu: to był Haszyl! Słyszałem, że już od dawnego czasu znalazł to ubranie w bramie jakiegoś domu. Zresztą, aby powrócić do białego domu na Małej Stronie, rzecz jest nadzwyczaj ciekawa. Mianowicie mówi stare podanie, że tam na górze, w ulicy Alchemików, stoi dom, który jest widocznym tylko podczas mgły i tylko „urodzonym w czepku”. Nazywają to „Mur przy ostatniej latarni”. Kto wejdzie tam w dzień, widzi tylko duży, szary kamień — poza nim grunt schodzi spadzisto w przepaść do Jeleniego Jaru i może pan być szczęśliwy, że nie zrobił pan ani jednego kroku dalej: byłby pan niechybnie zleciał na dół i połamał sobie wszystkie kości. Mówią, że pod kamieniem leży olbrzymi skarb, a ukryć go tam miał zakon „Braci Azjatyckich”, którzy podobno założyli Pragę; jest to rzekomo kamień węgielny pod dom, który kiedyś, gdy się

³⁷⁴rydel — rodzaj łopaty o zaokrąglonym ostrzu.

³⁷⁵doborowy — wyselekcjonowany, wysokiej jakości.

³⁷⁶woskoboja a. woskoboju — rzemieślnik zajmujący się obróbką wosku.

³⁷⁷grog — napój alkoholowy: rum wymieszany z gorącą, osłodzoną wodą.

³⁷⁸golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golema wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

wypełni czas, będzie zamieszkany przez człowieka — jeszcze lepiej przez Hermafrodytę — istotę, która powstanie z połączenia mężczyzny i kobiety. W herbie nosić on będzie obraz zająca, a mówiąc nawiasem, zając był symbolem Ozyrysa³⁷⁹, i stąd pochodzi zwyczaj zający wielkanocnych. Mówią, że aż do chwili wyrocznej Matuzal³⁸⁰ we własnej osobie czuwa na tym miejscu, żeby szatan nie dostał się do kamienia i nie spłodził z nim syna: tak zwanego Armelosa. — Nigdy pan nie słyszał o tym Armelosie? Nawet wiadomo, jak on będzie wyglądał — to znaczy wiedzą o tym starzy rabini — gdy przyjdzie na świat: będzie miał włosy złote, w tyle związane w warkocz, z przodu na pół głowy rozczesane, oczy w kształcie sierpa i ramiona w dół aż od stóp.

— Tego szanownego człowieka trzeba by narysować — mruknął Vrieslander i zaczął szukać ołówka.

— Więc: Pernath, jeśli pan będzie miał kiedy szczęście zostać hermafrodytą i *en passant*³⁸¹ znaleźć zakopany skarb — zakończył Prokop — wtedy nie zapomnij pan, że należałem do twoich najlepszych przyjaciół.

Nie miałem ochoty do żartów i uczułem lekki ból w sercu. Zwak widocznie to zauważył, choć nie znał przyczyny, gdyż przyszedł mi prędko z pomocą:

— Swoją drogą jest to nadzwyczaj dziwne, prawie nie do wiary, że Pernath miał widzenie właśnie w miejscu, które jest tak ściśle związane z prastarą legendą. To są związki, od których spłotu pozornie człowiek uwolnić się nie może, jeżeli dusza jego posiada zdolność widzenia formy, choć zmysł dotyku jej nie spostrzega. — Nie mogę sobie z tym dać rady: nadmysłowość to rzecz najbardziej podniecająca. Jak sądzicie?

Vrieslander i Prokop spowaźnieli i każdy z nich uważał odpowiedź za zbytę.

— Co pani sądzi, Eulatio? — powtórzył, odwróciwszy się, Zwak — czy nadmysłowość nie jest rzeczą najbardziej podniecającą?

Stara kelnerka podrapała się drutem po głowie, zaczerwieniła się i powiedziała: — Ale idźże pan sobie, pan jest dla mnie najgorszy ze wszystkich!

— Wściekle naprężone było dziś całe powietrze — zaczął Vrieslander, gdy nasza wesołość ucichła — nie namalowałem pędzlem ani jednej kreski. Nieustannie musiałem myśleć o Rozynie, jak ta nago we fraku tańczyła.

— Czy znów się odnalazła? — zapytałem.

— Odnalazła? to słabo powiedziane. Policja obyczajów zaprosiła ją przecież na dłuższe *engagement*³⁸²! Może wtedy u „Loisiczka” wpadła w oko panu komisarzowi? W każdym razie policja teraz jest gorączkowo sprawna; istotnie przyczynia się do podniesienia ruchu obcych w żydowskim mieście. Zupełnie zepsutym zdzierem³⁸³ stała się zresztą w krótkim czasie ta dziewczyna.

— Jeżeli pomyślisz, co może zrobić kobieta z mężczyzny tylko przez to, że wywołuje w nim miłość ku sobie: to zdumiewające! — dorzucił Zwak. Żeby wydobyć pieniądze, móc iść do niej, biedny chłopak Jaromir stał się przez noc artystą. Chodzi po gospodach i wycina sylwetki dla gości, którzy pozwalają się portretować w ten sposób.

Prokop, który dosłyszał tylko koniec, cmoknął ustami.

— Rzeczywiście? Czy ona tak wyładniała, ta Rozyna? Czy skradłeś już jej całusa, Vrieslander?

Kelnerka natychmiast podniosła się i obrażona porzuciła izbę.

— Kura do rosółu! Tej rzeczywiście to potrzebne: ataki cnoty! Ba! — mruczał za nią rozgniewany Prokop.

— Cóż pan chce, ona przecież odeszła w miejscu niewłaściwym. A oprócz tego pończocha była właśnie gotowa — uspokajał Zwak.

Kobieta

Cnota

³⁷⁹ Ozyrys — egipski bóg śmierci i odradzającego się życia, jak również sędzia ludzi zmarłych.

³⁸⁰ Matuzal a. Matuzalem — wyjątkowo długowieczny patriarcha biblijny, syn Henocha.

³⁸¹ *en passant* (fr.) — mimochodem.

³⁸² *engagement* (fr.: umowa, potyczka, zaangażowanie) — tu: spotkanie.

³⁸³ *zdzier* — dziś: zdzira.

Gospodarz przyniósł nowy dzban grogu i rozmowa zaczęła przybierać charakter gorący, parny. Tak parny — że weszła mi krew³⁸⁴ przy moim nastroju gorączkowym. Opierałem się temu, ale im bardziej wewnętrznie się odsuwałem i myślałem o Angelinie, tym więcej huczało mi w uszach. Dość niezręcznie pożegnałem się. Mgła stała się bardziej przejrzysta, sypała na mnie swymi lodowymi igłami, ale była jeszcze tak gęsta, że nie mogłem przeczytać nazwy ulic i zboczyłem nieco z drogi do domu. Dostałem się w inną ulicę i właśnie chciałem skręcić, gdy usłyszałem głos, wołający moje nazwisko:

— Panie Pernath! panie Pernath!

Obejrzałem się dookoła, do góry: nikogo. Otwarta brama, nad nią dyskretna, mała, nerwowa latarnia kołysała się koło mnie, i zdawało mi się, że jakaś jasna postać stała głęboko w podwórzu. Znów:

— Panie Pernath! panie Pernath! — Szeptem. Zdumiony wszedłem w korytarz; wtedy koło mej szyi owinęły się ciepłe, kobiece ramiona i w promieniu światła, które wypływało z wolno otwierających się drzwi poznałem, że to była Rozyna, która gorąco się do mnie tuliła.

PODSTĘP

Szary, ślepy dzień. Spałem do późnej godziny, bez snów, nieprzytomnie, jak martwy. Zimny popiół leżał w piecu. Kurz na meblach. Podłoga niezamieciona. Zmarznięty chodząc po pokoju. Wstrętny zapach wystygłych węgla leżał w powietrzu. Mój płaszcz, moje ubranie czuć było dymem tytoniowym. Otworzyłem okno, znów je zamknąłem; — zimny, brudny wyziew ulicy był nie do zniesienia. Wróble o zmokłym upierzeniu siedziały nieruchomo na rynnach. Gdzie spojrzałem, złowroga niechęć. Wszystko we mnie było podarte, poszarpane. Poduszka na fotelu — jakże była zniszczona! Włosie wydobywało się z krawędzi! Trzeba ją posłać do tapicera — ale niech tak zostanie — jeszcze jedno samotne ludzkie życie, aż się wszystko z hałasem rozpadnie! A tam jakie niegustowne, bezcelowe graty, te łachmany przy oknach. Dlaczego nie postaram się o sznur i nie powieszę się na nim?

Wtedy przynajmniej nie widziałbym nigdy tych obrażających wzrok rzeczy i całe szare, marne narzekanie przejdzie — raz na zawsze. Tak! To byłoby najmądrzejsze! Skończyć! Jeszcze dzisiaj. Jeszcze teraz — przed południem. Nigdzie nie wychodzić — zjeść co bądź. Obrzydliwa myśl: zejść ze świata z pełnym żołądkiem! Leżeć w mokrej ziemi i mieć w sobie niestrawione, gnijące jedzenie. Żeby tylko nigdy słońce nie świeciło i nie rzucało swojego beczelnego kłamstwa o szczęściu istnienia! Nie, nie dam się więcej ogłupiać, nie chcę być piłką do zabawy niezręcznego, bezcelowego przypadku, który mnie podnosi, a potem znów spycha w kałużę, żebym dzięki temu przekonał się, jak przemijają wszystkie rzeczy ziemskie; chociaż o tym już dawno wiem, o czym każde dziecko wie, każdy pies na ulicy wie. Biedna, biedna Miriam! Gdybym jej mógł przynajmniej pomóc. Należy powziąć postanowienie, zanim przeklęty pociąg do życia znów się we mnie obudzić może i nęcić zacznie nowymi złudami.

I cóż mi przyszło z tego wszystkiego: z owych wieści z królestwa nadrzeczywistości?

Nic — zupełnie nic.

Tyle tylko być może, żem obłąkał się w tym kole i ziemię odczuwałem jako niesłychane cierpienie.

I było jeszcze coś. — — —

Obliczałem w myśli, ile miałem pieniędzy złożonych w banku.

Tak, to prawda. To była jedyna, choć licha rzecz, która wśród moich błahych działań na ziemi jeszcze miała jakiekolwiek znaczenie.

Wszystko, com posiadał — oraz trochę drogich kamieni, które były w moim biurku — związać w jeden pakiet i posłać Miriam. Na kilka lat przynajmniej wyzwoli ją to od trosk życia codziennego, A także — napisać list do Hillela, aby mu wytłumaczyć, jak to stała sprawa z „cudami”.

Tylko on mógł jej dopomóc.

³⁸⁴weszła mi krew — sens: wzburzyła mi się krew.

Brud, Smutek,
Samobójstwo

Przeczuwałem; on znajdzie dla niej radę. Pozbierałem kamienie, złożyłem je w woreczku, spojrzałem na zegarek: gdybym teraz poszedł do banku — w godzinę mógłbym całą sprawę doprowadzić do porządku.

I przy tym jeszcze bukiet czerwonych róż kupić dla Angeliny! — — krzychało coś we mnie z dziką tęsknotą.

O, jeszcze jeden dzień żyć tylko, jedyny dzień!

Jak to — i znowu zapaść się w to samo dręczące zwątpienie?

Nie, nie czekać ani chwili dłużej. Jakies uspokojenie zapanowało we mnie, żem się nie poddał żadnym nowym pokusom.

Spojrzałem dokoła. Co jeszcze miałem do zrobienia?

Prawda: pilnik! Schowałem go do kieszeni — chciałem go rzucić gdzie bądź na ulicy, jak to sobie świeżo postanowiłem.

Nienawidziłem tego pilnika. Niewiele brakło, a stałbym się przez niego mordercą.

Któż to znowu mi przeszkadza?

To był tandeciarz³⁸⁵.

— Tylko na chwilę, panie Pernath — prosił bez ceremonii, gdy mu powiedział, że nie mam czasu. Tylko na małą chwileczkę. Tylko parę słów.

Pot łał mu się z twarzy — a dreszcz przenikał go ze wzburzenia.

— Czy można tu z panem mówić bez przeszkody, panie von Pernath? Nie chciałbym, żeby ten — ten Hillel znów tu powrócił. Niech pan lepiej zamknie drzwi, albo idźmy do drugiego pokoju — i pociągnął mnie tam w swój zwykły, gwałtowny sposób za sobą.

Potem obejrzał się ostrożnie kilka razy dokoła i szepnął nieco raźniej:

— Rozważyłem sobie, wie pan — to wszystko na nowo. Tak jest lepiej. Nic z tego nie będzie. Dobrze! Co przeszło, to przeszło.

Staralem się czytać w jego oczach. — Wytrzymał mój wzrok, ale ręką mocno się oparł o poręcz krzesła, takiego to wymagało napięcia.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekłem w sposób możliwie najżyczliwszy — życie jest i tak bardzo przykre — i nie trzeba go sobie zatruwać nienawiścią.

— Naprawdę — pan mówi, jakby czytał z drukowanego! — rzekł z odetchnieniem, zaczął czegoś szukać w kieszeni od spodni i znów wyjął złoty zegarek z pociętą pokrywą — aby zaś widział, że ja to myślę szczerze, musi pan ten drobiazg przyjąć ode mnie. Jako prezent.

— Co też panu do głowy przychodzi? — odparłem — przecie pan nie uwierzy — — — nagle przypomniałem sobie, co mi o nim mówiła Miriam i, aby go nie urazić, wyciągnąłem rękę.

Nie zwracał na to uwagi, zbladł niespodziewanie jak ściana, nasłuchiwał i zarzęził:

— Tak, tak! Wiedziałem o tym. Znowu Hillel. Puka.

Usłyszałem pukanie, wszedłem do drugiego pokoju i, aby go uspokoić, zamknąłem drzwi pośrednie za sobą.

Tymczasem nie był to Hillel. Wszedł *Charousek*; chcąc mi dać poznać, że wie, *kto* u mnie jest tuż obok — położył palec na ustach — i zaraz potem, nie czekając co powiem, zasypał mnie całym potokiem słów:

— O, najczcigodniejszy, najdroższy mój mistrzu Pernath, jakież słowa mam znaleźć, by ci wyrazić swą radość, że cię znajduję w domu, żeś sam — iżeś zdrów!... Gadał jak aktor, a jego napuszona i nienaturalna mowa była w tak ostrym przeciwieństwie z jego wykrzywioną twarzą, że opanowała mnie głęboka trwoga.

— Nigdybym nie ośmielił się, mistrzu, przyjść do ciebie w lachmanach, w jakich nieraz mnie widział mistrz na ulicy, co mówię: widział! Toż nieraz mi pan życzliwie podawał rękę pomocną.

Ze dziś wchodzę do pana w białym krawacie i nowym ubraniu — wie pan, komu to zawdzięczam? Jednemu z najszlachetniejszych — i niestety — ach — najbardziej zapożyczonych ludzi naszego miasta. Wzruszenie mnie ogarnia, gdy o nim pomyślę.

³⁸⁵tandeciarz — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

Przy skromnych bądź co bądź swoich środkach ma on zawsze dłoń otwartą dla biednych i potrzebujących. Od dawna, gdy widział, jak smutny stoi przed sklepem, w głębi serca wołało mi coś, abym do niego podszedł i milcząc, rękę mu uściśnął.

Przed paru dniami, gdy przechodził ulicą, przywołał mnie do siebie, ofiarował mi pieniądze i tak umożliwił mi kupienie kostiumu na raty.

A wiesz pan, panie Pernath, kto był moim dobroczyńcą?

Z dumą to mówię, bo od dawna byłem jedyny, co przeczuwał, jak złote serce uderza w jego łonie — to był pan Aron Wassertrum! — — —

Zrozumiałem naturalnie, że Charousek uplanował sobie jakąś komedię z tandeciarzem, choć nie mogłem zrozumieć, do jakiego to dąży celu; niewskazaną bądź jak bądź wydawało mi się rzeczą nieufnego Wassertruma trzymać w półmroku. Charousek odgadł oczywiście z mej miny, co myślę; szyderczo kiwnął głową — i w najbliższych słowach zapewne chciał mi powiedzieć, że dobrze zna swego człowieka — i wie, ile ten może wytrzymać.

— Tak jest! Pan — Aron — Wassertrum! Serce mi niemal pęka z żalu, że mu sam powiedzieć nie mogę, jak mu jestem nieskończenie wdzięczny — i błagam cię, mistrzu Pernath, nie zdradź mnie przed nim nigdy, że ja tu byłem i że to panu opowiadał. — Wiem, że egoizm ludzki obudził w nim gorycz — i głęboką, nieuleczalną, lecz niestety prawowitą nieufność zasadził w jego piersi.

Jestem psychiatrą, ale moje poczucie mi powiada, że najlepiej będzie, jeżeli pan Wassertrum nigdy się nie dowie — nawet z moich ust — jak ja wysoko go oceniam. Byłoby to: wątpliwości zasiał w tym nieszczęśliwym sercu. A to niechaj będzie jak najdalej ode mnie. Lepiej niech mnie sądzi za niewdzięcznego.

Mistrzu Pernath! Ja sam jestem nieszczęśliwy i od dzieciennych lat żyję samotny i opuszczony na tym szerokim świecie. Nie znam nawet nazwiska mego ojca. I mateczki swej nigdy oko w oko nie widziałem. Zapewne umarła przedwcześnie — głos Charouska stał się dziwnie tajemniczy i przenikający — a była to, jak w przeczuciu sądzę, jedna z tych głęboko nastrojonych natur duchowych, które nigdy nie są w stanie wyrazić, jak nieskończenie zdolne są kochać, a do których też należy pan Aron Wassertrum.

Mam wydartą stronicę z dziennika swojej matki — stale noszę tę kartę przy sobie — a na niej czytam wyznania: ojca mego, choć ten był podobno wielki brzydał, kochała ona, jak nigdy na ziemi nie kochała człowieka kobieta śmiertelna.

Zdaje się jednak, że nigdy mu tego nie powiedziała. Być może na tej samej zasadzie, dla której na przykład ja panu Wassertrum nie mogłem nigdy powiedzieć — choćby mi serce pękało z tego powodu — jaką wdzięczność dla niego czuję.

Ale jeszcze jedno widoczne jest z tej karty — o ile mogę rzecz odgadnąć, gdyż słowa są od śladu leż prawie nieczytelne: oto, że ojciec mój, kimkolwiek on jest — niechaj pamięć o nim zaginie w niebie i na ziemi! — ohydnie musiał postępować z moją matką.

Charousek nagle padł na kolana, aż podłoga jękała — i zakrzyczał głosem umyślnie tak osobliwym, że nie wiedział już, czy dalej gra komedię, czy też dostał obłądu:

— *Wszchemocny, którego imienia człowiek nie powinien wymawiać, tu na klęczkach leżę przed Tobą: przeklęty, przeklęty przeklęty niechaj będzie mój ojciec na całą wieczność!*

To ostatnie słowo prawie rozgryzł na dwoje i przez sekundę przysłuchiwał mu się, rozwarłszy oczy szeroko.

Wtedy syknął jak szatan. Zdawało mi się, że w sąsiedztwie Wassertruma lekko zajęczał.

— Przebacz, mistrzu — rzekł po chwili Charousek głosem mimicznie zdławionym — przebacz, że mnie to opętało, ale jest to moja stała modlitwa, którą oby Wszchemocny prędzej czy później wysłuchał: niechaj mój ojciec — ktokolwiek nim jest — kiedyś zakończy żywot w najokropniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Mimo woli chciałem coś odpowiedzieć, ale Charousek przerwał mi gwałtownie.

— Ale teraz, panie Pernath, przechodzę do prośby, którą panu chcę przedstawić. Pan Wassertrum posiadał wychowawcę, którego kochał nad wyraz — był to podobno jego siostrzeniec. Mówią nawet, że to był jego syn, ale ja w to nie wierzę, bo przecież nosiłby przynajmniej to samo nazwisko; w rzeczywistości nazywał się Wassory, doktor Teodor Wassory.

Łzy mi płyną z oczu, gdy go w duszy widzę przed sobą. Byłem mu z całej duszy oddany, jakby łączył mnie z nim bezpośredni związek miłości i pokrewieństwa.

Podstęp

Przekleństwo

Charousek łkał, jakby ze wzruszenia nie był w stanie dalej mówić.

— Ach, że ten szlachetny człowiek opuścić musiał nasz padół ziemski! — Ach, ach!

Jaka była tego przyczyna — nigdy nie mogłem się dowiedzieć — sam sobie zadał śmierć. I ja byłem wśród tych, co zostali do pomocy wezwani — ach, za późno — za późno — za późno! I gdy samotny stał przy jego łożu śmiertelnym i gdy pocałunkami pokrywał jego zimną, bladą rękę, wtedy — czemuż nie mam tego wyznać, mistrzu Pernath? — wtedy popełniłem kradzież — wziąłem różę z piersi trupa i przywłaszczyłem sobie razem flaszeczkę, której zawartością nieszczęsny przyspieszył koniec swego kwitnącego życia.

Charousek wyciągnął flaszeczkę apteczną z kieszeni i mówił dalej:

— Obie rzeczy — składam — tu — na — pańskim stole: powieśl różę i flaszeczkę; były mi one pamiątką po zaginionym przyjacielu.

Jakże często w godzinach wewnętrznego załamania, gdy osamotnione moje serce, przepełnione tęsknotą po mej umarłej matce, pożądało śmierci, bawiłem się tym flakodem — i sprawiało mi to bolesną pociechę — czynić takie próby: dość mi było tylko płyn rozlać na chustkę i wdychać go — a bezboleśnie unosiłem się duchem na równinę, gdzie mój drogi, dobry Teodor odpoczywa po mękach naszej doliny łez.

A teraz proszę cię, szanowny mistrzu, i po to właśnie przyszedłem — weź pan obie te rzeczy i wręcz je panu Wassertrumowi.

Niech pan powie, żeś to otrzymał od kogoś, co był bliski doktorowi Wassory'emu; imienia jego jednak przysięgłeś nigdy nie wymieniać, chyba przed kobietą. — Uwierz — a rzecz ta będzie dla niego pamiątką, jak była dla mnie drogą pamiątką. Będzie to potajemny znak wdzięczności, jaki mu składam. Jestem ubogi; to wszystko, co posiadam — ale raduje mnie, gdy wiem, że teraz jedno i drugie będzie należało do niego — a przecie on nigdy się nie domyśli, że to dar ode mnie. Jest w tym dla mnie coś niewymownie słodkiego. A teraz bądź pan zdrow, szanowny mistrzu, i z góry tysiąc podziękowań racz przyjmując.

Mocno pochwycił mnie za rękę, nachylił się i szeptał coś tak po cichu, żem nic nie mógł wyrozumieć.

— Panie Charousek, proszę poczekać, odprowadzę pana kawałek — mówiłem mechanicznie, jakby powtarzając słowa, które wyczytałem z jego ust — i wyszedłem z nim na schody.

Na ciemnym przejściu schodów na pierwszym piętrze zatrzymaliśmy się — i chciałem się z Charouskiem pożegnać.

— Zaczynam się domyślać, jaki był cel pańskiej komedii. Pan — pan chciał, żeby Wassertrum się tą flaszką otruił.

Powiedziałem mu to w oczy.

— Oczywiście — rzekł Charousek najspokojniej.

— I pan sądzi, że ja do tego przyłożę swoją rękę.

— Wcale to niepotrzebne.

— Ale mówił pan, że ja muszę Wassertrumowi flaszkę oddać.

Charousek wstrząsnął głową.

— Gdy pan teraz wróci, to zobaczysz, że on ją natychmiast weźmie i schowa.

— Jak pan to może przypuszczać? — pytałem zdumiony. — Człowiek jak Wassertrum nigdy się nie zabije — zbyt tchórzliwy jest po temu³⁸⁶ — nigdy nie czyni nic pod gwałtownym impulsem.

— Nie zna pan wkradliwego zatrucia sugestii — przerwał poważnie Charousek. Gdybym mówił zwykłym, codziennym sposobem — nie wywarłbym żadnego wrażenia. Ale ja tu obliczyłem najmniejszy spadek tonu. Tylko obrzydliwy patos działa na takie psie nogi. Niech pan mi wierzy. Mogłbym panu najdokładniej odrysować wszystką³⁸⁷ grę jego twarzy przy każdym moim słowie. Żaden kicz, jak to mówią malarze, nie jest dość nikczemny, by nie wywołać łez aż do szpiku w okłamaną tłuszczę — takiemu trafia to do serca. Czy pan sądzi, że gdyby było inaczej, to od dawna nie zniszczono by ogniem i mieczem wszystkich teatrów? Z sentymentalizmu poznaje się kanalie! Tysiące biedaków

³⁸⁶po temu — do tego.

³⁸⁷wszystek (daw.) — cały.

Samobójstwo

Sztuka

Teatr

może zdychać z głodu, a nikt dla tego płakać nie będzie, ale gdy jaki histrion³⁸⁸ na scenie, przebrany za chłopą łachmaniarza, wywraca oczy — wtedy, widzę, gromadą wyją jak psy podwórzowe. — Choćby papa Wassertrum do jutra może zapomniał, ile go jęków serdecznych kosztowały moje słowa: to jednak każde z nich znowu w nim odżyje, gdy godziny dojrzeją, w których on sam sobie wyda się niezmiernie godnym pożałowania. — W takich chwilach wielkiego *Miserere*³⁸⁹ dość najmniejszej pobudki — a najtchórzliwsze nawet łapsko sięgnie po truciznę. Byle tylko była pod ręką! Teodorek pewno by też nie chapnął tych kropelek, gdybym mu z wszelką wygodą nie podsunął flaszeczki.

— Charousek — jesteś straszliwy człowiek — Czyż nie czujesz żalu? — —

Szybko zamknął mi usta — i pociągnął mnie w niszę muru.

— Cicho. To on.

Chwiejnym krokiem — opierając się o ścianę — Wassertrum schodził po schodach — i przełożył się koło nas.

Charousek potrząsnął mi ulotnie rękę — i wyslizgnął się za nim. — —

Gdym powrócił do pokoju, ujrzałem, że róża i flaszka zniknęły — a na ich miejscu leżał na stole złoty, pocięty zegarek tandeciarza.

Ośm³⁹⁰ dni musiałem czekać, zanim wydadzą mi pieniądze; taki jest termin wypowiedzenia: tak mi powiedziano w banku.

Trzeba sprowadzić dyrektora, gdyż bardzo mi spieszno i za godzinę chciałbym odjechać: użyłem takiego wyrażenia w odpowiedzi.

Nie ma on tu nic do rzeczy — i obyczajów banku żadną miarą zmienić nie może, a jakiś błazen w monoklu³⁹¹, który wraz ze mną zjawił się przy okienku — zaśmiał się głośnie z moich słów.

Ośm ponurych, strasznych dni czekać mam jeszcze na śmierć! Był to dla mnie okres czasu nieskończony.

Byłem tak przygnębiony, że straciłem świadomość, jak już długo, przed drzwiami jakiejś kawiarni, chodziłem w tę i w tamtą stronę.

W końcu wszedłem po prostu, aby się uwolnić od wstrętnego błazna w monoklu; ten poszedł z banku moim śladem i ciągle był w pobliżu mojej osoby, a gdym tylko się odwrócił, zaraz patrzył na ziemię, jakby zgubił coś na ulicy. —

Miał na sobie jasnopopielaty, kratkowany, za ciasny paltot i czarne, świecące jakby od tłuszczu spodnie, które mu wisały na nogach jak worki. Na lewym trzewiku miał wystębnowaną³⁹² jajowatą, sklepioną łatkę skórzaną, co wyglądało tak, jakby nosił pierścien na wielkim palcu u nogi. —

Zaledwie usiadł — wszedł i on i umieścił się przy stoliku tuż obok. Sądziłem, że chce mnie „naciągnąć” na pieniądze i już szukałem portmonetki, gdy na jego nabrzmiałych, rzeźnickich palcach zauważyłem duży brylant.

Godziny całe siedziałem w kawiarni — i z wewnętrznego zdenerwowania sądziłem, że oszaleję — ale dokąd pójdę? — Do domu? Może włóczyć się po ulicach? Jedno zdawało mi się okropniejsze niż drugie.

Pełne zaduchu powietrze. Wieczny, bezmyślny huk bilardowych kul. Suche, nieustające mamrotanie jakiegoś tygrysa gazet w moim sąsiedztwie. Urzędnik z akcyzy o bociących nogach, który na zmianę już to dłuwał w nosie, już to żółtymi od cygaretek palcami gładził sobie brodę przed kieszonkowym lusterkiem. Aksamitne, brunatne kurtki zapoconych, obmierzłych³⁹³, klekocących Włochów, którzy siedzieli przy stole i kłótnie grali w karty, od szwargotu³⁹⁴ przy swoich kozerach³⁹⁵ przechodząc do pięści, a przy tym nieustannie pluli na podłogę.

³⁸⁸*histrion* — aktor w starożytnym Rzymie.

³⁸⁹*miserere* (łac.: zmiłuj się) — pierwsze słowo *Psalmu 51*, proszącego o zmiłowanie się Boga nad grzesznikiem.

³⁹⁰*ośm* — dziś popr.: osiem.

³⁹¹*monokl* — szkło korekcyjne noszone w jednym oku, zazwyczaj przymocowywane łańcuszkiem do kieszeni fraka.

³⁹²*wystębnowany* — przyszyty ciągłym ściąganiem, widocznym po wierzchniej stronie materiału.

³⁹³*obmierzły* — budzący obrzydzenie.

³⁹⁴*szwargot* — mowa w języku, którego nie znamy i nie lubimy.

³⁹⁵*kozera* (daw.) — karta atutowa.

Czas

Cała ta ohyda krew mi z żył wysysała. Z wolna pociemniało i płaskostopy kelner o wiotkich kolanach zaczął drągiem sięgać ku świecznikom gazowym, aby się w końcu, głową kiwając, przekonać, że gaz się palić nie chce.

Ile razy odwracałem oczy, zawsze napotykałem zezowate, wilcze spojrzenie blazna w monoklu, który się każdym razem szybko ukrywał za gazetą, albo swą brudną brodę pogrążał w dawno wypitej filiżance kawy.

Sztywny, okrągły swój kapelusz nacisnął na głowę — tak, że mu uszy odstawały poziomo, ale najwidoczniej nie miał zamiaru przerwać tej zabawy. Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Zapłaciłem i wyszedłem. Gdym chciał za sobą zamknąć szklane drzwi, ktoś mi wyjął klamkę z ręki. — Odwróciłem się. Znow ten drab. Gniewnie chciałem skrócić na lewo w kierunku miasta żydowskiego, ale wnet ruszył on w moją stronę i przeszkodził mi w tym zamiarze.

— Ależ to nie do wytrzymania! — zawołałem.

— Wszystko podług prawa — rzekł mi krótko.

— Co to ma znaczyć?

Utkwił we mnie oko i rzekł:

— Jesteś Pernath?

— Chcesz powiedzieć: pan Pernath!

Zaśmiał się chytrze.

— Żaden pan! Idziesz ze mną.

— Czyś oszalał? Coś ty za jeden?

Nic mi nie odpowiedział, rozpiął palto i pokazał mi blaszanego orla, którego miał pod płaszczem, przybitego na piersiach.

Zrozumiałem: drab był z policji tajnej — i aresztował mnie.

— Powiedź mi pan na miłość boską — o co chodzi?

— Wkrótce się dowiesz. Do departamentu — mówił grubiańsko. Dalej, marsz!

Powiedziałem mu, że chciałbym wziąć dorożkę.

Ani myśleć!

Poszliśmy na policję.

Żandarm zaprowadził mnie przed jakieś drzwi.

Alojzy Oczin.

Radca policyjny

— przeczytałem na porcelanowej tabliczce.

— Możecie wejść — powiedział żandarm.

Dwa zasmolone, czarne biurka z wysoką na metr nasadą stały naprzeciw siebie. — Para wyświechtanych krzeseł między nimi. Portret cesarza na ścianie. — Szklana kula ze złotymi rybkami na oknie. — Poza tym w izbie nic więcej.

Bryłowate nogi i grube, filcowe trzewiki u dołu frędzlowatych, szarych spodni — za lewym stołem.

Posłyszałem jakieś chrzęsty. Ktoś mruknął parę słów po czesku — i wnet wydobyła się głowa pana radcy policyjnego z poza prawego stołu.

Był to mały człowieczek ze szpakowatą, ostrą bródką. Zanim zaczynał mówić, w szczególny sposób wyszczerzał zęby, jak ktoś, co spogląda w jarzące światło słoneczne.

Przytem wychytrzał wzrok spoza okularów, co mu nadawało wyraz budzącej przestach nikczemności.

— Nazywacie się Atanazy Pernath — spojrzał na ćwiartkę papieru, na którym nic nie było — i jesteście wycinaczem kamei³⁹⁶.

Natychmiast ożywił się człowiek o bryłowatych nogach przy drugim stole; odwrócił się na kręconej nodze swego krzesła — i słyszałem skrzypienie pióra.

Potwierdziłem: Pernath. Wycinacz kamei.

— No, więc trafiliśmy dobrze, pan — — — Pernath, właśnie Pernath. Właśnie — właśnie.

³⁹⁶*kamea* — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

Pan radca policyjny był w stosunku do mnie niesłuchanie uprzejmy, jak gdyby otrzymał ze świata najradośniejszą wiadomość, wyciągnął w moją stronę obie ręce — i w śmieszny sposób chciał sobie nadać minę dobrodusznego pocziwca.

— Zatem, panie Pernath, zechciej mi powiedzieć, co pan tak robi przez cały dzień?

— Sądzę, że to nie jest pańska sprawa, panie Oczin — odpowiedziałem zimno.

Zmrużył oczy, chwilę czekał i z błyskawiczną szybkością mnie zapytał:

— Od jak dawno hrabina jest w stosunkach z Saviolim?

Byłem na coś podobnego przygotowany — i nie drgnęły mi rzęsy.

Zręcznie chciał mnie za pomocą krzyżowych pytań zawikłać w sprzeczności, ale, choć mi serce od zgrozy pękało w piersi, nie zdradziłem się — i wciąż twierdziłem, że nigdy nie słyszał nazwiska Savioli, z Angeliną byłem zaprzyjaźniony jeszcze za życia mego ojca — i że ona nieraz zamawiała u mnie gemmy³⁹⁷ i kamee.

Czułem jednak dobrze, że radca policyjny domyślał się, jak go okłamuję — i wewnętrznie pieni się z wściekłości, że nic ze mnie wydobyć nie może.

Chwilę rozmyślał, potem pociągnął mnie za paltó, ostrzegawczo wskazał palcem na lewy stół i szepnął mi do ucha:

— Atanazy! Twój nieboszczyk ojciec był moim najlepszym przyjacielem. Chcę cię ocalić, Atanazy. Ale musisz mi powiedzieć wszystko o hrabinie. — Słyszysz: wszystko!

Nie rozumiałem, co to miało znaczyć.

— Co pan chce przez to powiedzieć, że pan chce mnie ocalić? — zapytałem głośno.

Bryłowata noga gniewnie tupnęła w podłogę. Radca policyjny z nienawiści zszarzał na obliczu. Wargi podniósł do góry. Czekał. Wiedziałem, że wnet na nowo atak rozpocznie — (jego system oszalamiania przypominał mi Wassertruma) i również czekałem. Koźła twarz posiadacza bryłowatej nogi, jak przyczajona, wynurzyła się spod pulpitu — wówczas radca policyjny wykrzyknął mi nagle przeraźliwym głosem:

— Morderca!

Stałem niemy z oszołomienia.

Koźła twarz ponuro znów się wcisnęła pod pulpit.

I pan radca policyjny spojrzał na mnie; zastanawiał go mój spokój, starał się jednak pokryć to wrażenie, gdyż przyciągnął krzesło i kazał mi na nim usiąść.

— A więc odmawia mi pan wszelkich pożądaných informacji o hrabinie, panie Pernath?

— Nie mogę ich panu udzielić, panie radco policyjny, przynajmniej nie w tym sensie, w jakim pan oczekuje. Po pierwsze nie znam nikogo nazwiskiem Savioli, a następnie jestem mocno przekonany, że to potwarz, gdy mówią, jakoby hrabina zdradzała męża.

— Czy pan gotów jest przysiąc?

Zaparło mi oddech.

— Tak, każdej chwili.

— Dobrze. Hm.

Zapanowała dłuższa przerwa, podczas której radca policyjny zdawał się coś z wysiłkiem kombinować.

Gdy znów spojrzał na mnie, komedianckie rozżalenie ułożyło mu się na gębie. Mimo woli przypomniał mi się Charousek, gdy pan radca naraz zaczął od łez wzruszonym głosem:

— Mnie może pan to przecie powiedzieć, Atanazy — mnie, staremu przyjacielowi twego ojca — mnie, com pana nosił na rękę — ledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu, był co najwyżej o dziesięć lat starszy ode mnie — nieprawdaż, Atanazy, to była obrona konieczna?

Koźła twarz ukazała się znowu.

— Co za obrona konieczna? — zapytałem, nic nie rozumiejąc.

No — z tym — tym — — — Zottmanem! — krzyknął mi radca policyjny w twarz jakiegoś nazwisko.

Słowo to uderzyło mnie, jak cios zadany sztyletem: Zottman! Zottman! Zegarek! Nazwisko Zottman jest przecie wyryte w zegarku.

³⁹⁷ *gemma* — kamień półszlachetny lub szlachetny o owalnym kształcie, ozdobiony reliefem.

Czułem, jak cała krew spływa mi się w sercu. Preraźliwy Wassertrum oddał mi zegarek, aby podejrzenie morderstwa rzucić na mnie.

W tej chwili radca policyjny zrzucił maskę: wyszczerzył zęby i wykręcał oczy.

— A więc przyznaje się pan do morderstwa, panie Pernath?

— To wszystko jest omyłką, straszliwa omyłką! Na miłość boską, wysłuchaj mnie pan. Mogę to panu wyjaśnić, panie radco policyjny — krzyknąłem.

— Udzieli mi pan teraz wszelkich wiadomości, dotyczących hrabiny? — przerwał gwałtownie. Zwracam uwagę pańską, że tym sposobem poprawi pan swoje położenie.

— Nie mogę mówić nic więcej, niż to, com powiedział. Hrabina jest niewinna.

Zagryzł wargi i zwrócił się w stronę koźlej twarzy.

— A więc pisz pan: Pernath przyznaje się do zabójstwa Karola Zottmana, urzędnika z Towarzystwa Ubezpieczeń.

Opanowała mnie wściekłość nieprzytomna.

— Ty kanalio policyjna! — ryknąłem — do czegoż to się ośmielasz?

Szukałem jakiegoś ciężkiego przedmiotu.

W mgnieniu oka chwycili mnie dwaj policjanci i nałożyli kajdanki na ręce.

Radca nadął się teraz jak kogut na gnojowisku.

— A ten zegarek? — raptem pokazał się w jego ręku pogięty zegarek — czy nie-szczęśliwy Zottman jeszcze żył, gdy go pan ograł, czy nie?

Znów odzyskałem spokój — i czystym głosem dodałem do protokołu.

— Zegarek ofiarował mi dziś przed południem tandeciarz Aron Wassertrum.

Wybuchły śmiechy, niby rżenie koni, i widziałem, jak bryłowata noga i filcowy trzewik razem zatańczyły radośnie pod stołem.

MĘKA

W kajdanach na ręku, mając za sobą żandarma z nastawionym bagnetem — musiałem iść przez ulice, oświetlone wieczorowo.

Ulicznicy tłumem biegli za mną, wrzawę czyniąc na prawo i na lewo, kobiety otwierały okna, groziły warzączkami³⁹⁸ z góry i rzucały mi w oczy obelgi. Z daleka już widziałem masywny, kamienny budynek sądowy; nad bramą był napis, który stawał się coraz bliższy.

Karząca sprawiedliwość jest obroną wszystkich zacnych ludzi.

W końcu pochłonęła mnie olbrzymia brama — i wielki przedpokój, w którym cuchnęło kuchnią.

Człowiek wielkobrody, z szablą u boku, w mundurze urzędniczym i takiejże czapce, przy tym bosy, a na nogach mający długie do kostek, z dołu przewiązane, gacie — wstał, odstawił młynek do kawy który trzymał między kolanami — i kazał mi się rozebrać.

Wówczas zrewidował moje kieszenie, wyjął z nich wszystko, co w nich znalazł — i zapytał mnie, czy — nie mam pluskiew?

Gdym zaprzeczył, ściągnął mi z palców pierścionki, powiedział, że dobrze — i że mogę się ubrać z powrotem. Prowadzono mnie przez rozmaite piętra do góry oraz przez korytarze, gdzie stały w niszach okiennych odosobnione, wielkie, szare, zamykalne skrzynie.

Nieprzerwanym szeregiem ciągnęły się wzdłuż ścian żelazne drzwi z drągami ryglowymi; małe zakratowane okienka, a nad każdym płomień gazowy.

Olbrzymi, po żołniersku wyglądający dozorca więzienny — pierwsza uczciwa twarz od wielu godzin — otworzył jedno z drzwi, popchnął mnie do ciemnego, podobnego do szafki, zapowietrzonego, cuchnącego otworu — i zamknął je za mną.

Stałem w zupełnej ciemności i macałem ją powoli. Kolano moje trafiło na blaszany kubek. Na koniec się połapałem: miejsce było tak wąskie, że ledwo się mogłem obrócić. Ruch klamki — i oto jestem w celi więziennej. Po dwie pary prycz z siennikami przy ścianach. Pomiędzy nimi przejście na szerokość jednego kroku.

Więzienie

³⁹⁸*warzączew* — duża łyżka kuchenna, wykonana z drewna.

Zakratowane okno, wielkości metra kwadratowego — wysoko na ścianie poprzecznej umieszczone, przepuszczało matowe światło nocnego nieba. Gorąco nie do wytrzymania, odorem starych łachów zadżumione powietrze — zapełniało przestrzeń.

Gdy oczy moje przywykły do ciemności, spostrzegłem, że na trzech pryczach — czwarta była niezajęta — siedzieli ludzie w szarych, więziennych ubraniach; łokcie oparte mieli na kolanach, a głowy w rękach ukryte.

Żaden nie mówił słowa. Usiadłem na swobodnym³⁹⁹ łóżku i czekałem.

Czekałem. Czekałem godzinę — dwie — trzy godziny.

Skoro na zewnątrz — jak mi się zdało — usłyszałem kroki, sądziłem, że oto teraz, teraz przychodzą po mnie, aby mnie stawić przed komisją śledczą. Tym razem było to złudzenie. Kroki wciąż ginęły w korytarzach.

Rozdarłem kołnierzyk; myślałem, że się uduszę. Słyszałem, jak jeden więzień po drugim przeciągał się, jęcząc.

— Czy nie można by tam wysoko okna otworzyć — zapytałem rozpacznie głośno w ciemność. Przestraszyłem się sam własnego głosu.

— Nie idzie — mruklawie odpowiedziano z jednego z sienników.

Pomimo to zacząłem macać wzdłuż ściany: na wysokości piersi leżała deska utwierdzona poprzecznie — — dwa dzbanki wody — — kawałki chleba — —

Z trudem wdrapałem się na górę — trzymałem się kratki i przyciskałem twarz do szczeliny okna, aby choć troszką świeżego powietrza odetchnąć.

Stałem tak póty, póki mi kolana nie omdlały. Jednobarwna, czarno-siwa mgła przed moimi oczami.

Zimne, żelazne sztaby zapotniały. Była już niewątpliwie blisko północ. Poza sobą słyszałem chrapanie.

Jeden tylko więzień nie mógł widocznie spać: rzucał się na słomie na wszystkie strony i od czasu do czasu stękał półgłosem.

Czy na koniec zabyśnie poranek? Tak! Zegar bije znowu. Liczyłem drżącymi ustami: raz, dwa, trzy! Chwała Bogu, już niewiele godzin, świt zapewne niedaleko! Bij dalej: cztery, pięć! — Pot mi wystąpił na czoło — sześć — siedem.

Była godzina jedenasta!

A więc tylko sześćdziesiąt minut ubiegło od czasu, gdy poraz ostatni słyszałem uderzenie zegara.

Bądź jak bądź myśli moje układały się logicznie.

Wassertrum podrzucił mi zegarek zaginionego Zottmana, aby na mnie skierować podejrzenie o morderstwo. A zatem sam musiał być zabójcą: jakim sposobem, oprócz tego, mógłby dojść do posiadania zegarka? Gdyby znalazł gdzie bądź trupa i dopiero wtedy go ograbił, na pewno by upomniał się o tysiąc marek nagrody, którą wyznaczono za znalezienie zwłok Zottmana. — Ale to było niepodobieństwo⁴⁰⁰: plakaty wciąż były jeszcze porozklejane na rogach ulic, jak to wyraźnie widziałem w drodze do więzienia. Że tandeciarz⁴⁰¹ musiał wskazać na mnie, to było oczywiste.

Również jasne, że Wassertrum z radcą policyjnym, przynajmniej w sprawie Angeliny — mieli jakieś konszachty. Inaczej jaki cel by miało podstępne szpiegowanie o Saviolego?

Z drugiej strony widocznym jest z tego, że Wassertrum nie miał jeszcze w ręku listów Angeliny.

Biedziłem się nad tym myślami — —

Jak w błyskawicy — ze strasliwą wyrazistością — wszystko mi się nagle wyjaśniło, jak gdybym był sam przy tym obecny.

Tak; tylko w ten sposób mogło się to odbyć. Wassertrum zabrał sobie potajemnie moją żelazną kasetkę, w której domyślał się dowodów, gdy właśnie razem ze swoimi

³⁹⁹swobodnym — dziś powiedzielibyśmy: wolnym.

⁴⁰⁰niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego.

⁴⁰¹tandeciarz — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

wspólnikami z policji robił rewizję w moim mieszkaniu. Nie mógł jej natychmiast otworzyć, gdyż ja klucz zawsze nosiłem przy sobie — — — i może teraz właśnie w swojej jaskini ją rozbija. — —

W szalonej rozpaczy zatargałem kratą żelazną i zobaczyłem Wassertruma w duchu przed sobą: gmera w listach Angeliny. Gdybym tylko mógł zawiadomić Charouska, żeby on przynajmniej w czas przestrzegł Saviolego.

Przez mgnienie oka uczepiłem się tej nadziei, że wiadomość o moim aresztowaniu rozeszła się lotem błyskawicy po żydowskim mieście, ja zaś do Charouska miałem zaufanie, jak do jakiegoś anioła wybawcy. Przeciw jego piekielnej chytrłości nic nie był w stanie uczynić Aron. „Będę go ściśle co do godziny trzymał za gardło wtedy, gdy on Saviolemu zechce sięść na karku” — tak mi kiedyś powiedział Charousek.

W następnym momencie znów odrzuciłem wszystko i jakaś dzika obawa mnie ogarnęła: co będzie, gdy Charousek przyjdzie za późno?

Angelina wtedy byłaby zgubioną. — — — Gryzę wargi aż do krwi, piersi sobie szarpie z żalu, że wtenczas natychmiastowo listów nie spaliłem —

Przysiągłem sobie, że w tej samej godzinie, w której znów się znajdę na wolności, zgładzę ze świata Wassertruma — — Czy umrę z własnej ręki, czy też na szubienicy — i cóż mi na tym zależeć może?

Że sędzia śledczy uwierzy moim słowom, gdy mu opowiem w sposób istotny historię z zegarkiem i jak to mi Wassertrum groźby zapowiadał — o tym nie wątpiłem ani chwili.

Na pewno jutro już będę wolny; przynajmniej sąd aresztowałby i Wassertruma, jako podejrzanego o zabójstwo. Liczyłem godziny i modliłem się, żeby szybciej minęły; drętwiałem w ciężkich wyziewach.

Po niewymownie długim czasie — zaczęło się na koniec rozwidniać — i najpierw była to ciemna plama, potem coraz wyraźniej wynurzała się ze mgły miedziana olbrzymia twarz: godzinnik starego zegara wieżowego. Ale brakło wskazówek: nowa przykrość.

W końcu wybiła piąta.

Słyszałem, jak więźniowie się obudzili i, ziewając, prowadzili rozmowę po czesku. Jeden głos wydał mi się znajomy; obróciłem się, zeszedłem z pryczy na dół — i ujrzałem dziobatego Loisa na desce — wprost naprzeciw mego łóża: zdumiony wytrzeszczył na mnie oczy. Dwaj pozostali byli to chłopcy o bezczelnych twarzach, którzy spoglądali na mnie z lekceważeniem.

— Defraudant? Co? — spytał jeden pół głosem swego towarzysza, trącając go łokciem. Zapytany ze wzgardą cości odpowiedział, zaczął gmerać w swoim sienniku — wyjął jakiś czarny papier z jego wnętrza i położył go na podłodze.

Wówczas pokropił go trochę wodą z dzbanka, przejrzał się w nim niby w lustrze — i palcami rozczesał sobie włosy na czoło. Następnie ze staranną czułością wysuszył papier i z powrotem schował go pod pryczę.

— Pan Pernath, pan Pernath — mruczał tymczasem bezustannie Lois, wybałuszony oczy jak ktoś, co zobaczył widmo.

— Państwo, jak widzę, znają się ze sobą — powiedział ten, który się jeszcze nie czesał — a który to zauważył — mówił zaś pokręconym dialektem czeskiego wiedeńczyka — i szydlerczo oddał mi pół ukłon:

— Pozwolą panowie, że się przedstawię. Nazywam się Vossatka. Czarny Vossatka — — Podpalenie — dodał o jedną oktawę głębiej, z pewną dumą.

Uczesany zaś plunął przez zęby, popatrzył na mnie chwilę pogardliwie, wskazał na swe piersi i rzekł lakonicznie:

— Włamanie.

Milczałem.

— No, a o co pan jest podejrzan, że się pan tu znalazł, panie hrabio? — zapytał mnie wówczas wiedeńczyk.

Po chwili namysłu rzekłem spokojnie.

— Morderstwo dla rabunku.

Obaj, rzekłbyś, stanęli odurzeni. Szydlerczy wyraz twarzy zniknął — ustępując bezgranicznemu zachwytowi i poważaniu. Obaj niemal jednocześnie krzyknęli:

— Reszpekt, reszpekt!

Spostrzegłszy, że ja żadnej uwagi na nich nie zwracam, wcisnęli się w kąt z powrotem — i szeptem rozmawiali ze sobą.

Raz tylko uczesany podszedł ku mnie, milcząc spróbował muskułów⁴⁰² mego przedramienia — i kiwając głową, odszedł do swego przyjaciela.

— Pan przecie też jest tutaj, jako podejrzany o zabójstwo Zottmana — zapytałem Loisa niespodzianie. Kiwnął głową.

— Już dawno.

Znów kilka godzin upłynęło.

Zamknąłem oczy i udawałem śpiącego.

— Panie Pernath, panie Pernath! — usłyszałem nagle zupełnie cichy głos Loisa.

— Co? — — Zachowywałem się, jakbym dopiero zbudził się ze snu.

— Panie Pernath, proszę, niech mi pan przebaczy, proszę — proszę — czy pan nie wie, co porabia Rozyna? — Czy jest w domu? — jękał biedny chłopak. Było mi nad wyraz przykro, gdy ten rozplamionym okiem zawisł na moich ustach i ze wzruszenia spazmatycznie ścisnął ręce.

— Powodzi się jej wcale⁴⁰³ dobrze. Jest teraz kelnerką „Pod Starym Cebrem” — kłamałem.

Widziałem, jak łżej odetchnął.

Dwaj więźniowie, milcząc, wnieśli na grubej desce gorący odwar kielbasy w blaszanych garnkach; trzy garnki postawili w celi. Po kilku godzinach znów zazgrzytały rygle i dozorca zaprowadził mnie do sędziego śledczego.

Kolana mi drżały z oczekiwania, gdyśmy tak szli po schodach w dół i na górę.

— Czy pan sądzi, że możliwe jest, aby mnie jeszcze dziś wypuszczono na wolność? — z zapartym oddechem pytałem dozorcę.

Ten ze współczuciem, jak mi się zdawało, stłumił uśmiech.

— Hm! Dziś jeszcze? Hm — — Boże! — — wszystko jest możliwe. —

Zimno lodowate przenikło mnie do kości. Znowu czytałem na drzwiach porcelanową tabliczkę z nazwiskiem.

Karol Baron V. Leisetreter

Sędzia Śledczy

Znów nieozdobny pokój i dwa biurka z wysokimi na metr pulpitami.

Stary, rosły człowiek z białą, dwuskrzydłą brodą, w czarnym surducie, o czerwonych nabrzmiałych ustach, w skrzypiących butach.

— Pan jest Pernath?

— Tak jest.

— Cela numer 70?

— Tak jest.

— Podejrzany o zabójstwo Zottmana?

— Prawdopodobnie. Przynajmniej tak się domyślam, Ale — —

— *Przyznaje się?*

— Do czegoż mam się przyznać, panie sędzio śledczy? Przecież jestem niewinny.

— *Przyznaje się?*

— Nie.

— A więc zawieszam śledztwo co do pana. Dozorco więzienny, proszę wyprowadzić tego człowieka.

— Proszę, niech mnie pan jednak wysłucha, panie sędzio! Muszę bezwarunkowo dziś jeszcze być w domu. Mam ważne rzeczy do załatwienia — —

Za drugim stołem ktoś zabczał po baraniemu. Baron się uśmiechnął. — Wyprowadźcie tego człowieka, dozorczo!

Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a ja wciąż siedziałem w celi. —

⁴⁰²*muskuly* — mięśnie.

⁴⁰³*wcale* (daw.) — całkiem.

O godzinie dwunastej musieliśmy codziennie schodzić na dół na dziedziniec więzienny i w towarzystwie innych aresztantów i podejrzanych przechadzać się przez 40 minut wkoło po wilgotnej ziemi.

Nie wolno było rozmawiać ze sobą.

Pośrodku placu stało bezlistne, zamierające drzewo, w którego korze wrośnięty był owalny szklany posążek Matki Boskiej. Pod ścianą rosły nędzne krzewy ligustru⁴⁰⁴ o liściach prawie czarnych od padającej z kominów sadzy.

Wokół zakratowane okna cel, z których od czasu do czasu wyglądała kitowa twarz o wargach anemicznych. —

Potem wracamy do grobu, w którym mieszkamy; do chleba, wody, odwaru kielbasy, a w niedzielę zgnilej soczewicy.

Dopiero po długim czasie znów byłem wreszcie raz wezwany do przesłuchania:

— Czy mam świadków, że „pan” Wassertrum jakoby ofiarował mi zegarek.

— Mam — pan Szemajah Hillel — to jest, właściwie — nie — (przypomniałem sobie, że go przy tym nie było) — — — ale pan Charousek — nie — i jego przy tym nie było.

— Krótko mówiąc, nie było przy tym nikogo.

— Nie, nie było nikogo, panie sędzio.

Znów barani bek za drugim biurkiem — i znowu:

— Wyprowadzić tego człowieka, dozorca więzienny! — — —

Obawa o Angelinę osłabła we mnie do stanu głuchej rezygnacji. Moment, w którym o nią lękać się musiałem, minął. Albo plan zemsty Wassertruma powiódł się od dawna — albo Charousek go opanował: mówiłem sobie.

Ale troska o Miriam doprowadzała mnie teraz prawie do szaleństwa. Wyobrażałem sobie, jak ona z godziny na godzinę czekała, aby cud się odnowił — jak wczesnym rankiem, gdy piekarz przychodzi, wybiega na ulicę i drżącą ręką chleb przeszukuje — — — Być może z mego powodu umiera od trwogi.

Często mnie to w nocy wybijało ze snu — włożyłem na deskę przy ścianie; szczyrzyłem oczy w miedziane oblicze zegara wieżowego — i pożerało mnie pragnienie, aby moje myśli mogły przedostać się do Hillela — i krzyknąć mu w ucho: aby ratował Miriam i wyzwolił ją od męki oczekiwania na cud.

Znów rzucałem się na siennik i powstrzymywałem oddech, aż mi pierś niemal rozsadało: pragnąłem wymusić w sobie obraz swego sobowtóra, abym go mógł jej posłać jako pocieszyciela.

I raz ukazał mi się on koło mej pryczy z literami: *Chabrat Zereh Aur Bocher*⁴⁰⁵ — ułożonymi jak w zwierciadle na piersiach — i chciałem krzyknąć z radości — że teraz znów wszystko będzie dobrze: ale zapadł się w podłogę, zanim mu zdołałem rozkazać, aby się dalej Miriam objawił.

Że też żadnych wiadomości nie otrzymuję od przyjaciół!

— Czy zakazane jest przesyłanie listów? — pytałem współtowarzyszy więziennych.

Nie wiedzieli. Dotąd żaden z nich nigdy listu nie otrzymał; zresztą nie było nikogo, co by do nich mógł pisać.

Dozorca obiecał mi się dowiedzieć o tym przy sposobności.

Paznokcie mi popękały, takem je gryzł nieustannie: włosy mi dziko zarosły, bo nie było nożyczek, grzebienia i szczotki.

Również nie było wody do mycia.

Prawie nieustannie walczyłem z chęcią wymiotów, gdyż odwar kielbasy zaprawiany był sodą zamiast soli.

— — Był to przepis więzienny, aby „ujarzmzić wzmaganie się popędu płciowego”.

Czas mijał w szarej, przeraźliwej monotonii. — Toczył się po jednym i tym samym wciąż obwodzie, jak koło udręczeń. Były pewne momenty, które znał każdy z nas, a w których ten lub ów nagle zeskakował z pryczy — godzinami chodził tam i z powrotem —

⁴⁰⁴ligustr — rodzaj krzewu sadzonego w charakterze żywopłotu.

⁴⁰⁵*Chabrat Zereh Aur Bocher* (hebr.) — dosł.: związek wychowanków zorzy porannej.

jak dzikie zwierzę — i znów złamany upadał na swoje łóżko — i przytępiały, bezmyślny czekał — czekał — czekał.

Gdy nadchodził wieczór, rojem ciągnęły pluskwy, niby mrówki po ścianach. — I zdumiony pytałem sam siebie, dlaczego ów drab z szablą i w gaciach — tak sumiennie badał mnie, czy nie mam robactwa.

Obawiano się być może w sądzie krajowym, by nie powstało krzyżowanie obcych ras owadzych?

We środę przed południem przychodził zwykle jakiś ufryzowany cymbał w kapeluszu z obwisłym rondem i w kłapiących nogawicach.

Lekarz więzienny doktor Rosenblatt przekonał się, że wszyscy napęcznieli ze zdrowia.

A gdy który się skarżył, wszystko jedno na co, przepisywał mu cynkową maść do nacierania piersi.

Zjawił się też raz prezes sądu krajowego, dobrze rozrośnięty, perfumowany obwieś z „dobrego towarzystwa”, na którego twarzy wypisane byty najpospolitsze występki — i popatrzył, czy wszystko jest w porządku: „czy się który nie powiesił”, jak mówił ufryzowany.

Przystąpiłem do niego, by mu przedstawić pewną prośbę; wtedy ukrył się za dozorcę więziennego i wyciągnął rewolwer. „Czego chce” krzyknął mi — uzbrojony w ten sposób.

Czy są dla mnie listy, zapytałem grzecznie. Zamiast odpowiedzi, otrzymałem uderzenie w piersi od doktora Rosenblatta, który właśnie wtedy przechodził. I pan prezes cofnął się również i przez półotwarte drzwi powiedział mi, abym pierwszej⁴⁰⁶ przyznał się do zbrodni. Przedtem ani jednego listu w życiu tym nie odbiorę.

Od dawna już nawykłem do złego powietrza i do gorąca, jakie tu panowało — i nieustannie drżałem z zimna.

Dwóch więźniów już się kilkakrotnie zmieniło, ale ja nie zwracałem na to uwagi. W tym tygodniu uwięziony tu był jakiś złodziej kieszonkowy lub włóczęga, w następnym fałszerz monety lub paser⁴⁰⁷.

Com przeżył wczoraj, o tym dziś zapominałem.

Wobec troski, jaka mnie gryzła o Miriam, wszystkie okoliczności zewnętrzne przybladły.

Jedno tylko zdarzenie wrażyło mi się⁴⁰⁸ w duszę mocniej — nawet czasami jako karykatura prześladowało mnie we śnie.

Stałem na desce przybitej do ściany, aby patrzeć w górę na niebo — gdy poczułem, że jakiś spiczasty przedmiot ukuł mnie w lędźwia, a gdy zbadałem rzecz, przekonałem się, że to pilnik, który mi się w kieszeń wcisnął głęboko, między kort⁴⁰⁹ palta a podszewkę. Długo tam już pewnie tkwił, gdyż inaczej człowiek, który mnie rewidował, niewątpliwie by go dostrzegł, Wyciągnąłem go z kieszeni — i niebacznie⁴¹⁰ rzuciłem na swój siennik. Gdy zeszedł z deski, pilnik zniknął — i ani chwili nie wątpiłem, że tylko Lois mógł go zabrać.

W parę dni później wyprowadzono go z celi, by go pomieścić o jedno piętro niżej.

Niewłaściwe to — powiedział dozorca więzienny — aby dwaj znajdujący się pod śledztwem i oskarżeni o tę samą zbrodnię — to jest on i ja — siedzieli w tej samej celi.

Z całego serca życzyłem sobie, aby się biednemu chłopcu — za pomocą pilnika udało wyzwolić z więzienia.

MAJ

Na pytanie, jaką dziś mamy datę — słońce tak żarzyło, jak w połowie lata, a zmęczone drzewo na podwórku puściło kilka pączków — dozorca więzienny z początku milczał, a potem mi szepnął, że jest piętnastego maja. Właściwie nie powinien był mi tego mówić,

Więzienie, Ucieczka

Czas, Więzienie

⁴⁰⁶pierwej (daw.) — najpierw.

⁴⁰⁷paser — osoba handlująca skradzionymi przedmiotami.

⁴⁰⁸wrazić się (daw.) — wbić się.

⁴⁰⁹kort — rodzaj tkaniny.

⁴¹⁰niebacznie — nieostrożnie.

gdyż nie wolno rozmawiać z więźniami — zwłaszcza ci, którzy jeszcze się nie przyznali do winy, muszą być utrzymywani w nieświadomości co do czasu.

Zatem całe trzy miesiące byłem już w więzieniu, a jednak ciągle żadna wiadomość nie doszła mnie ze świata.

Gdy nadchodził wieczór, łagodne dźwięki klawikordu⁴¹¹ dochodziły poprzez zakratowane okno, które teraz z powodu gorących dni było otwarte.

Jak mnie objaśnił jeden z więźniów, grała córka odźwiernego.

Dzień i noc marzyłem o Miriam.

Co się z nią dzieje?

Czasami miałem pocieszające uczucie, jakoby moje myśli przenikały do niej i stały u jej łóżka, w czasie snu uśmierzającą dłoń kładąc jej na skroniach. Potem znów w chwilach beznadziejności, gdy jeden po drugim z moich towarzyszy⁴¹² więziennych wzywany był na posłuchanie — tylko ja nie — dręczyła mnie głucha trwoga, że może ona już dawno umarła.

Wtedy zadawałem losowi pytania, czy ona żyje, czy nie, czy jest zdrowa, czy chora — i wróżba garści słomy, które wydobywałem z siennika, miała mi dać odpowiedź.

Prawie za każdym razem „wychodziło źle”; starałem się więc ryc w swej duszy — by wykonać rzut oka w przyszłość: szukałem w swym wnętrzu, gdzie ukryta była tajemnica, by pochwytać prawdę pozornie ubocznym pytaniem, czy jeszcze dla mnie zabłyśnie dzień radości i uśmiechu.

Wyrocznia zawsze odpowiadała mi: tak — a wówczas przez godzinę byłem szczęśliwy i zadowolony.

Jak roślina, co w tajemnicy rośnie i zakwita, powoli rozwinęła się we mnie niezrozumiała, głęboka miłość do Miriam — i nie pojmowałem, żem mógł tyle razy obok niej siedzieć i z nią rozmawiać, a jednak nie zauważyłem jasno i wyraziście tego uczucia.

Pełne dreszczu pragnienie, aby i ona z podobną tkliwością myślała o mnie, dochodziło w takich momentach do przeczcucia pewności — i gdym w korytarzu słyszał kroki, to lękałem się niemal, że mogą mnie wyprowadzić i wypuścić na wolność, a moje marzenie rozprószy się w szorstkiej rzeczywistości świata zewnętrznego.

Ucho moje przez długi czas mego aresztu stało się tak czujnie, że chwyciło najlżejszy szmerek.

Codziennie w chwili, gdy nadchodziła noc, słyszałem w dali jadący powóz; łamałem sobie głowę, kto w nim mógł siedzieć.

Coś szczególnie dziwaczne było w tej myśli, że tam na zewnątrz są ludzie, którzy mogą czynić i nie czynić, co im się podoba, którzy się mogą swobodnie poruszać — chodzić tu i tam — i nie odczuwają z tego powodu żadnej niewymownej rozkoszy!

Że i ja kiedyś znów będę tak szczęśliwy i będę mógł w promieniach słońca krążyć po ulicach — tego nie byłem sobie w stanie wyobrazić.

Dzień, w którym Angelinę miałem w objęciach, zdawał mi się należeć do jakiegoś przeminionego, zaginionego bytu; myślałem o tym znowu z lekką tęsknotą, jakiej doznaje ten, co otworzył książkę i znajduje w niej powiędłe kwiaty, które mu w latach młodości ofiarowała kochanka.

Czy stary Zwak wciąż jeszcze co wieczora z Vrieslanderem i Prokopem siadają „Pod Cebrem” i w wyschniętej Eulalii budzą oburzenie?

Nie, to był maj — czas, w którym Zwak ze swym teatrem kukielek błądzi po prowincji i na zielonych łąkach wygrywa historię sinobrodęgo rycerza.

Siedziałem w celi samotny. — Vossatka, podpalacz, mój jedyny towarzysz na ten tydzień, parę godzin temu zaprowadzony został do sędziego śledczego.

Przesłuchanie trwało dziwnie długo.

Omen

Miłość, Marzenie

Wolność

⁴¹¹klawikord — instrument klawiszowy strunowy, prototyp fortepianu.

⁴¹²towarzyszów — dziś popr. forma D. lm: towarzyszy.

Oto żelazny rygiel u drzwi zazgrzytał. Z promienną od radości twarzą wpadł do celi Vossatka, rzucił tłumok ubrania na prycze i z szybkością wiatru zaczął się przebierać. Kostium więzienny — sztukę po sztuce — z przekleństwem rzucał na podłogę.

— Nic mi nie mogli dowieść, te dranie! Nic! Podpalenie! — A jakże! wskazującym palcem dotknął dolnej powieki, rozszerzając oko po łobuzersku. Na Vossatkę za młode wy głupcy! Wiatr był — powiedziałem. No i na tym stanęło. Teraz niech sobie szukają wiatru w polu! No, serwus, dziś wieczorem. To się wyrówna. U Loisczka! Rozwarł ramiona i zatańczył „tupanego”: Tylko raz w życiu kwi-iitnie maj!

— Nałożył sobie małą ceratową czapeczkę na głowę. — Ale — właśnie — to pana zaciekawi, panie hrabio! Wie pan nowinę⁴¹³? Pański przyjaciel, Lois, wyłamał się, uciekł! Właśnie tam na górze dowiedziałem się o tym u tych drani. Już przeszłego miesiąca — wypłynął sobie na łękę — i jest teraz het — het za górą — tu palcami uderzył się kilkakrotnie w rękę.

— Acha, pilnik! — pomyślałem sobie i uśmiechnąłem się.

— Tedy, życzę panu, panie grafie⁴¹⁴ — podpalacz po koleżeńsku rękę mi podał — aby pan możliwie w najprędszym czasie odzyskał wolność, A jeżeli panu kiedy zabraknie pieniędzy, to niech pan tylko u Loisczka zapyta o czarnego Vossatkę. Każda dziewczucha mnie pana wskaże! Tak! Zatem serwus, panie hrabio. Było mi bardzo przyjemnie.

Jeszcze stał we drzwiach, gdy strażnik wprowadził do celi nowego więźnia, znajdującego się pod śledztwem.

Od pierwszego rzutu oka poznałem w nim alfonsa⁴¹⁵ w żołnierskiej czapce, który kiedyś raz stał koło mnie w czasie ulewy w łukowej bramie na Kogucim Zaułku. Miła niespodzianka! Może on wiedział cokolwiek o Hillelu i Zwaku — i o innych?

Chciałem natychmiast zacząć go rozpytywać, ale ten ku memu najwyższemu zdumieniu z tajemniczą miną położył palec na ustach, dając w ten sposób wskazówkę, abym milczał.

Dopiero gdy drzwi zewnątrz były zamknięte i gdy ucichły kroki dozorczy na korytarzu, odżył.

Serce mi biło ze wzruszenia.

Co to znaczy?

Czyż on mnie znał? I czego chce?

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił alfons, było to, że siadł i zdjął but z lewej nogi.

Potem zębami wyciągnął czopek z obcasa, wyjął z próżni, jaka powstała od czopka — małą, zgiętą żelazną blaszkę; oderwał widocznie słabo tylko przybitą podeszwę i z dumną miną wręczył mi to wszystko.

Wszystko z pośpiechem wiatru — i nie zważając ani trocha na moje podniecone pytania.

— Tak! miłe ukłony od pana Charouska! — Byłem tak oszołomiony, że słowa nie mogłem wymówić.

— Niech pan weźmie tę blaszkę, a w nocy pan nią roztworzy podeszwę, Albo w ogóle, kiedy nikt nie będzie widział. — Bo proszę pana — objaśniał mnie alfons z miną pełną powagi — w środku znajdzie pan tam liścik od pana Charouska.

W nadmiarze wruszenia rzuciłem się alfonsowi na szyję, a łzy trysnęły mi z oczu.

Odsunął mnie łagodnie i mówił z wyrzutami:

— Niechże się pan opamięta, panie von Pernath! Minuty czasu nie mamy do stracenia. Może zaraz się wydać, że jestem w fałszywej celi. Franek i ja u odźwiernego zamieniliśmy sobie numery.

Musiałem zrobić mocno głupią minę, bo alfons mówił dalej:

— Jeżeli pan tego nie rozumie, to nic nie znaczy. Koniec końców: jestem tu i basta.

— Niech mi pan powie — przerwałem mu — niech mi pan, panie — panie — „Wencel” — dopomógł mi więzień — nazywam się Piękny Wencel!

— Niech mi panie, *panie Wencel*, co robi archiwariusz Hillel — i co słyhać z jego córką?

Wiatr

Więzienie, List

⁴¹³ *Wie pan nowinę* — dziś popr.: Zna pan nowinę?

⁴¹⁴ *graf* — tytuł arystokratyczny w krajach niemieckojęzycznych.

⁴¹⁵ *alfons* — mężczyzna czerpiący zyski z prostytucji kobiet.

— Na to nie ma czasu — przerwał mi niecierpliwie piękny Wencel. Przecież lada chwila mogą mnie stąd wylać! Zatem: jestem tu dlatego, że się przyznał do rabunku extra⁴¹⁶ —

— Jak to, więc tylko dla mego powodu — aby móc się do mnie dostać — popełniłeś rabunek — panie Wencel? — pytałem wstrząśnięty.

Alfons kiwnął pogardliwie głową:

— Gdybym rzeczywiście rabunek *popełnił*, tobym się do niego nie *przyznał*! Co pan sobie o mnie myśli? — Zacząłem powoli rozumieć. Pocziwy chłop użył podstępu, aby mi do więzienia przemycić list Charouska.

— A w dodatku — zrobił bardzo zamyśloną minę — muszę pana nauczyć efilepsji⁴¹⁷.

— Czego?

— Efilepsji. Niech no pan pilnie patrzy i dokładnie uważa na wszystko. — Naprzód wykrzywić trzeba głowę — tak! — wydał policzki, poruszał nimi w prawo i w lewo jak ktoś, kto płucze usta. Potem piana z ust wychodzi — to się robi tak i — pokazał, jak to się robi z zupełną naturalnością. Potem ściskam duży palec pięścią. — Potem wywracam oczy — jał⁴¹⁸ okropnie zezować — potem, a to jest najtrudniejsze — zaczynam krzyczeć i wyć okropnie. O tak: ba-bu-bu! i zarazem upadam na ziemię. — Runął w całej długości na podłogę, aż ziemia jękała — i wstając powiedział: To jest naturalna efilepsja — jak tego nas nauczył doktor Hulbert w „Batalionie”.

— Rzeczywiście, ludzko podobne — rzekłem — ale do czego to wszystko służy?

— Bo wtedy cię z celi wyprowadzą — objaśnił Piękny Wencel. — Doktor Rozenblatt jest to ostatnie bydlę. Wszystko mu jedno. Kiedy już ktoś zdycha do cna, Rosenblatt zawsze powie: chłop zdrow jak ryba. Tylko efilepsji boi się jak byk czerwonej płachty! Jeżeli kto umie to zrobić, to zaraz go przeniosą do celi dla chorych! — — — A wtedy wydostać się stamtąd to zabawka dziecinna — i tajemniczo dodał szeptem — kraty w oknie celi szpitalnej są przepiłowane i tylko słabo gnojem zaklepane! To jest tajemnica batalionu! — Parę nocy jeno⁴¹⁹ czujnie baczyć⁴²⁰, a gdy zobaczy pan z dachu w okno spływającą pętlę na sznurze — podnieś pan lekko kratę, byle nikt tego nie zauważył, włóż ramiona w pętlę, a my pociągniemy pana na dach — i spuścimy na drugiej stronie na ulicę. — I basta!

— Dlaczegoż mam z więzienia uciekać? Przecież jestem niewinny.

— To nic nie znaczy. Uciec można zawsze — odpowiedział piękny Wencel, a z po-dziwu oczy mu aż się zaokrągliły.

Całą swą elokwencji⁴²¹ użyć musiałem, aby ten cały obłądny plan, wynik jakiejś nauki batalionu — przedstawić mu jako bezowocny.

Że ja „dar boży” odrzucałem i wołałem czekać, aż sam przez się odzyskam swobodę — było mu to niezrozumiałe.

— W każdym razie dziękuję panu i waszym dzielnym towarzyszom jak najserdeczniej — rzekłem wzruszony i uściśnałem mu rękę. — Kiedy minie ten ciężki dla mnie czas, pierwszą dla mnie rzeczą będzie wszystkim wam okazać wdzięczność.

— To niepotrzebne — rzekł przyjacielsko Wencel. — Jak pan postawi parę szklanek Pilznera, z wdzięcznością przyjmiemy, ale nic więcej. Pan Charousek, który teraz jest naszym skarbnikiem w batalionie, opowiadał nam już, że pan potajemnie czyni dobro-dziejstwa. Mamże mu co powiedzieć, jeżeli za parę dni znów wyjdę?

— Proszę — rzekłem szybko — proszę — niech pan mu powie, żeby zechciał iść do Hillela i zawiadomić go, jak jestem niespokojny o zdrowie jego córki Miriam, Pan Hillel niechaj ciągle na nią baczy. Czy zapamięta pan nazwisko: Hillel.

— Hirrel?

— Nie: Hillel.

— Hiller?

— Nie: Hil-lel.

⁴¹⁶extra (z łac.) — dodatkowo.

⁴¹⁷efilepsji — zniekształcone słowo epilepsja, czyli padaczka.

⁴¹⁸jał (daw.) — zacząć.

⁴¹⁹jeno (daw.) — tylko.

⁴²⁰baczyć (daw.) — patrzeć, uważać, zwracać uwagę.

⁴²¹elokwencja — zdolność do efektownych i przekonujących wypowiedzi.

Choroba, Podstęp

Więzienie, Lekarz

Wencel niemało języka sobie nałamał na tym niemożliwym dla Czecha imieniu, ale w końcu opanował jego wymowę z kwaśnym grymasem.

— I jeszcze jedno: żeby Charousek — bardzo gorąco o to go proszę — dowiedział się o „szlachetnej damie” wszystkiego, co tylko może. Już on będzie wiedział, co to za jedna.

— To pan pewnie myśli o tej hrabskiej muszce, co to migdałiła się z Niemcem, doktorem Sapoli. — O, ta już się rozwiodła i pojechała sobie z dzieckiem i droktorem Sapoli.

— Pan to wie na pewno?

Czułem, jak mi głos zadrżał. Choć radowałem się wielce z powodu Angeliny — to jednak serce mi skurczyło się na chwilę.

Ileż to ja dla niej przecierpiałem trosk — a teraz — — — byłem zapomniany.

Może istotnie uwierzyła, że popełnił morderstwo dla rabunku. Gorzki posmak jał⁴²² mię dusić w gardle. Alfons zdaje się z przenikliwym poczuciem, które czasem się zdarza u zatraczonych ludzi w sprawach miłości — odgadł, jak mi to było przykro, gdyż patrzył w stronę i nic nie mówił.

— Bo może pan wie, co słyhać z panną Miriam, córką pana Hillela. Czy pan ją zna? — zapytałem natarczywie.

— Miriam? Miriam? — Twarz Wencła pomarszczyła się z zamyślenia. — Miriam? Czy ona często bywa nocą u Loısiczka?

Mimo woli się uśmiechnąłem.

— Nie! Bynajmniej — nie bywa.

— No, to jej nie znam — powiedział sucho Wencel.

Milczeliśmy chwilę.

Może tam w liście jest co o niej, taką sobie robiłem nadzieję.

— Ale tego Wassertruma też diabeł porwał — nagle zaczął znów Wencel — może pan już o tym słyszał?

Podskoczyłem ze zdumienia.

— No właśnie — Wencel wskazał na swe gardło. — Lu, lu — mówię panu! To ci było straszne. Kiedy sklep otworzyli, bo go przez parę dni nie było widać, ja naturalnie byłem tam pierwszy, jakże inaczej! — A tam on — ten jucha Wassertrum siedział ci na parszywym fotelu, z piersi krew mu się sączyła — a oczy miał jakby szklane — — — Pan wie — ja jestem chłop mocny jak koń, ale mówię panu, jakem to zobaczył, wszystko mi się w oczach przekręciło — i myślałem, że zemdleję — — — Dopiero powoli musiałem sam sobie tłumaczyć sprawę: Wencel, powiedziałem, Wencel, obudź się — przecie to tylko umarły Żyd! — W gardle miał wbity pilnik, a w sklepie u niego wszystko było wywrócone do góry nogami. — Oczywiście morderstwo z rabunkiem.

— Pilnik — pilnik! Oddech mi zlodowaciał ze zgrozy. — Pilnik! Tak więc znalazł on swoją drogę. —

— Wiem też, kto to był — mówił po chwili Wencel półgłosem. — Nikt inny, mówię panu, tylko ten dziobaty Loıs. — Ja, panie, znalazłem w sklepie na podłodze jego nóż kieszonkowy — i szybko ukryłem, aby go policja nie zabrała i nie rzuciła się na chłopca. Przez jakieś podziemne przejście dostał się do sklepu — — —

Jednym rzutem przerwał mowę, parę sekund słuchał z natężeniem, rzucił się na prycę — i zaczął przeraźliwie chrapać.

Niemal w tej samej chwili klucz zazgrzytał we drzwiach celi — dozorca wszedł i gniewnym wzrokiem spoglądał na mnie. Zrobiłem minę obojętną, a Wencła ledwie się można było dobudzić. Dopiero po wielu uderzeniach podniósł się — i jak pijany ze snu chwiejnie wyszedł z celi, a za nim strażnik.

Morderstwo

Loıs

W gorączkowym napięciu rozwarłem⁴²³ list Charouska i czytałem:

„12 maja.

Drogi mój przyjacielu i dobroczyńco! Tydzień za tygodniem oczekiwałem, że będziesz pan wolny, ciągle na próżno — próbowałem wszelkich możliwych sposobów, aby zebrać dla pana materiał, usuwający obciążenie, ale nic nie mogłem znaleźć.

⁴²²jał (daw.) — zacząć.

⁴²³rozewrzeć (daw.) — otworzyć.

Prosiłem sędziego śledczego, by przyspieszył przesłuchanie, ale za każdym razem mówił mi, że nie może nic na to poradzić — że to sprawa administracji, nie jego.

Biurokratyczne ciemięstwo⁴²⁴!

Dopiero teraz, przed godziną udało mi się coś, z czego najlepszych spodziewam się wyników: dowiedziałem się, że Jaromir sprzedał Wassertrumowi złoty zegarek, który po aresztowaniu swego brata Loisa znalazł w jego łóżku.

U Loisczka, gdzie, jak pan wie, niemało kręci się detektywów, krąży wieść, że zegarek zamordowanego Zottmana — którego trupa zresztą dotąd nie odkryto, jako *corpus delicti*⁴²⁵ znaleziony został u pana. Wszystko i inne rzeczy zrozumiałem w lot: Wassertrum *et cetera*⁴²⁶.

Natychmiast Jaromira sobie zjednałem, dałem mu 1000 florenów⁴²⁷ —”.

List opuściłem z rąk i lzy radości w oczach mi zabłysły: tylko Angelina mogła Charouskowi dać taką sumę. Ani Zwak, ani Prokop, ani Vrieslander nie mieli tyle pieniędzy — A więc nie zapomniała o mnie.

Czytałem dalej:

„1000 florenów dałem mu i obiecałem 2000 florenów, jeżeli wraz ze mną natychmiast pójdzie na policję — i przyzna, że ten zegarek bratu swemu w domu zwędził i sprzedał.

Ale to wszystko może stać się dopiero wówczas, gdy ten list przez Wencla zostanie się do pana. Czas pili⁴²⁸. Niech pan jednak będzie pewien: to się stać musi. Jeszcze dzisiaj. Daję za to głowę. — Nie wątpię ani chwili, że Lois popełnił zabójstwo i że zegarek jest Zottmana.

Jeżeli wbrew oczekiwaniu zegarek ten nie jest Zottmana — wówczas Jaromir wie, co robić: w każdym razie ten zegarek znaleziony u pana określi jako sobie znany. Śmiało więc niech pan patrzy w przyszłość i niech pan nie wątpi. Dzień, w którym pan będzie wolny, może jest niedaleki.

Czy pomimo to nadejdzie dzień, w którym my zobaczymy się z sobą? O tym nie wiem.

Prawie rzekłbym: nie wierzę w to, gdyż idę szybko ku końcowi, a *muszę się mieć na baczności, aby mnie ostatnia godzina nie zaskoczyła niespodzianie*.

Ale jednej rzeczy niech pan będzie pewny: my się *spotkamy*. Jeżeli nie w tym życiu i nie jako umarli w tamtym życiu, to w dniu, kiedy czas się wypełni, gdy, jak to stoi w Biblii, Pan usty⁴²⁹ swymi wypłuje tych, co nie byli ani zimni, ani gorący — niech się pan nie dziwi, że ja tak mówię! Nigdy o tych rzeczach z panem nie mówiłem i, gdy pan raz wypowiedział słowo „Kabala”, uchyliłem się od wyjaśnień, ale — co wiem, to wiem. Może pan rozumie, co ja myślę, a jeżeli nie, to proszę wielce, niech pan przekreśli w swej pamięci to, com powiedział. — Raz w stanie delirium⁴³⁰ — wydawało mi się, że na pańskiej piersi były jakieś znaki. Może być, że mi się śniło na jawie.

Niech pan przypuści, o ile by pan mnie istotnie nie rozumiał, że miałem pewne rozeznanie wewnętrzne, prawie od dzieciństwa, a które mnie poprowadziły na szczególną drogę; rozeznanie, które się nie pokrywają z tym, czego uczy lub czego, chwała Bogu, jeszcze nie zna medycyna; spodziewać się też należy, że nigdy ich nie podda swym doświadczeniom. Ale nie dałem się ogłupić nauką, której najwyższy cel jest: założyć „poczekalnię”, którą jak najlepiej można wyzyskiwać.

Jednakże dość o tym.

Raczej panu opowiem, co się stało w czasie pańskiej nieobecności.

W końcu kwietnia Wassertrum doszedł do tego, że moja sugestia zaczęła na niego oddziaływać. Poznałem to stąd, że stale na ulicy gestykulował i głośno mówił sam ze sobą.

Jest to pewny znak, że myśli danego człowieka są w stanie burzy, która w nim huczy i nad nim panuje.

Śmierć, Czas

Sen, Tajemnica

Nauka

⁴²⁴ciemięstwo — prześladowanie.

⁴²⁵*corpus delicti* — (łac.) przedmiot przestępstwa.

⁴²⁶*et cetera* (łac.) — i tak dalej.

⁴²⁷*florin* — złota moneta z Florencji, często naśladowana przez mennice innych krajów.

⁴²⁸*pilić* — naglić.

⁴²⁹*usty* — dziś popr. forma N. lm: ustami.

⁴³⁰*delirium* — stan zaburzenia świadomości.

Potem kupił sobie karnet⁴³¹ i robił notatki. Pisał. Tak jest, pisał. Nie mogę się nie śmiać. Pisał.

Potem poszedł do notariusza. Na dole w piwnicy swej wiedziałem, co on tam na górze robił: układał testament.

Że on mnie spadkobiercą wyznaczy — o tym zresztą nie myślałem. Dostałbym pewnie tańca świętego Wita⁴³² z radości, że mi to przypadło.

Owóż mnie on wyznaczył swoim spadkobiercą, bo ja jestem na ziemi jedyny, któremu on jeszcze, jak sądził, mógłby uczynić pewne dobrodziejstwo. Sumienie go ujęło podstępnie.

Być może miał też nadzieję, że ja go będę błogosławił, gdybym się po jego śmierci dzięki niemu ujrzał milionerem — i w ten sposób zażegnałbym przekleństwo, którego musiał wysłuchać z moich ust w pańskim pokoju. —

Potrójnie zatem oddziaływała moja sugestia.

Szalenie zabawne, że on jednak potajemnie wierzył w jakiś wymiar sprawiedliwości na tamtym świecie, choć przez całe życie gorliwie temu przeczył.

Ale taki jest los wszystkich tych ludzi zręcznych; w obłąkane szaleństwo wpadają już, gdy im się to w oczy mówi. Czują się złapani.

Od chwili, gdy Wassertrum poszedł do notariusza, ani chwili nie przestawałem go śledzić.

Nocami nadśluchiwałem, co się dzieje za drzwiami jego sklepu, gdyż każda minuta mogła przynieść decyzję.

Zdaje mi się, że poprzez mury usłyszałbym owo pożądane mlaskanie, gdyby wyjął korek z flaszki z trucizną.

Godziny może brak, a dzieło mego życia będzie wykonane.

Tymczasem wdarł się niepowołany i zamordował go. Pilnikiem.

Resztę opowie panu Wencel. Zbyt mi gorzko pisać o tym wszystkim.

Nazwij pan to przesądem — ale, widząc, że krew była *przelana* — rzeczy w sklepie krwią splamione — zacząłem wierzyć, że jego dusza mi się wymknęła.

Coś — jakiś subtelny, nieomylny instynkt — mówi mi, że jest to *zgoła*⁴³³ co innego, gdy człowiek umiera od cudzej ręki, a co innego, gdy od własnej: Wassertrum powinien był wszystką swoją krew zabrać ze sobą pod ziemię, wtedy dopiero moja misja byłaby wypełnioną. — Teraz, gdy stało się co innego, czuję się jak odtrącony, jak narzędzie, które uznano za niegodne ręki Anioła śmierci.

Ale nie chcę się uchylać. *Moja nienawiść jest z tych, co idą poza grób*, a jeszcze posiadam własną krew, którą wylać mogę, jak chcę — ażeby ta za jego krwią szła krok w krok do państwa cieni.

Codziennie, odkąd Wassertruma pochowano, siaduję przy nim na cmentarzu i w piersi swojej słucham, co mam czynić.

Zdaje się, że już wiem o tym, ale jeszcze chcę czekać, póki słowo wewnętrzne, które do mnie mówi, nie stanie mi się jasnym jak krynica⁴³⁴. — My, ludzie, jesteśmy nieczyści — i często trzeba długich postów i czuwań, aż w końcu dopiero zrozumiemy szepot naszej duszy. — — —

W upłynionym⁴³⁵ tygodniu oficjalnie zawiadomił mnie sąd, że Wassertrum ustanowił mnie jedynym swoim spadkobiercą. Że ja z tego nawet krajcara⁴³⁶ nie ruszę, o tym nie mam potrzeby pana zapewniać, panie Pernath. Będę się strzegł, by „jemu” „tam” jakąś broń dawać w rękę.

Domy, które posiadał, puszczam na licytację; przedmioty, których się dotykał, zostaną spalone, a co do pieniędzy i wartości pieniężnych — to po mojej śmierci trzecia część przypada panu. — Widzę już w duchu, jak pan oburza się i protestuje, ale mogę pana uspokoić. To, co pan otrzyma, jest to pańska prawowita własność z procentem oraz

Sumienie

Zaświaty, Sprawiedliwość

Krew, Zabobony

Pieniądz, Sprawiedliwość

⁴³¹karnet — niewielki notatnik.

⁴³²taniec świętego Wita — neurologiczna choroba wieku dziecięcego, charakteryzująca się niekontrolowanym pobudzeniem ruchowym; nazwa naukowa: pląsawica Sydenhama.

⁴³³zgoła (daw.) — całkiem.

⁴³⁴krynica — źródło.

⁴³⁵upłyniony — miniony.

⁴³⁶krajcar a. grajcar — drobna moneta używana w krajach rządzonych przez Habsburgów.

procentem od procentu. Dawno już wiedziałem, że Wassertrum przed laty ojca pańskiego i jego rodzinę ograbił ze wszystkiego i teraz dopiero jestem w stanie za pomocą aktów stwierdzić to i wyrównać.

Inna trzecia część podzielona zostanie między dwunastu Członków Batalionu, którzy znali jeszcze osobiście doktora Hulberta. Chcę, aby każdy z nich był bogaty i aby uzyskał dostęp do sfer „dobrego towarzystwa” Pragi.

Ostatnia trzecia część ma być wypłacona w najbliższym czasie siedmiu przestępcom, którzy popełnili morderstwo z rabunkiem, a którzy z braku dowodów musieli być uwolnieni.

Jestem winien to publicznemu zgorszeniu.

To więc jest wszystko.

A teraz, mój drogi, drogi przyjacielu, żyj szczęśliwie i myśl o mnie często!

Twój szczerze oddany i wdzięczny Innocenty⁴³⁷ Charousek”.

Głęboko wzruszony, omal nie wypuściłem listu z ręki.

Nie byłem w stanie radować się wiadomością o bliskim wyzwoleniu.

Charousek! Biedny człowiek! Jak brat troszczył się o mój los. Dlatego tylko, że ja kiedyś ofiarowałem mu sto florenów. Gdybym choć jeszcze raz mógł mu rękę uścisnąć.

Czułem to: miał słuszość; ten dzień nigdy nie przyjdzie.

Widziałem go okiem wspomnienia: jego płomienne oczy, suchotnicze⁴³⁸ ramiona, wysokie, szlachetne czoło.

Być może wszystko to poszłoby zupełnie inaczej, gdyby jaka pomocna ręka w czas⁴³⁹ pokierowała tym zmarnowanym życiem.

Jeszcze raz przeczytałem list od początku do końca.

Ile metody było w obłędzie Charouska! Czy on zresztą w ogóle był obłąkany?

Wstydzilem się niemal sam siebie, że tę myśl miał jedną chwilę w głowie.

Czyż jego postępowanie nie było dość wyraźne? Był on człowiekiem jak Hillel, jak Miriam, jak ja sam; człowiekiem, nad którym dusza własna przemoc zdobyła — prowadząc go po przez dzikie otchłanie i zagłębia życia do świata przeszłorocznych śniegów jakiej niedostępnej krainy.

On, który całe życie knował⁴⁴⁰ zabójstwo, czyż nie był czystszy niż niejeden z tych, co głoszą wyuczone nakazy jakiegoś nieznanego, mitycznego proroka, unikając zarazem ich wykonywania?

On zaś spełnił przykazanie, które mu dyktował przemożny popęd, nie licząc na żadne wynagrodzenie ani z tej, ani z tamtej strony bytu.

To, co on uczynił, było czym innym, niż najpobożniejszym wykonaniem obowiązku — w najbardziej tajemniczym znaczeniu tego słowa? „Tchórzliwiec, podstępny, skłonny do zabójstwa, chorobliwy, zagadkowa natura mordercy” — takem formalnie słyszał, jak brzmiałby o nim wyrok masy, która by chciała rozświetlić duszę Charouska stajenną, ślepą latarką.

Znowu zazgrzytał klucz w zamku drzwi mojej celi — i słyszałem, jak wpełchnięto do niej nowego człowieka.

Ciągle jeszcze rozważałem treść listu, tak mnie poruszyła głęboko.

Ani słowa nie było w nim o Angelinie, ani słowa o Hillelu.

Niewątpliwie: Charousek musiał pisać z wielkim pośpiechem; pismo to zdradzało. Czy też jeszcze otrzymam z jego strony jaki list potajemnie?

Liczyłem na jutro, na wspólną przechadzkę więźniów po dziedzińcu. — Tam to najłatwiej ktoś z „batalionu” mógłby mi co wcisnąć.

Cichy głos przebudził mnie z rozmyślań:

— Czy pan pozwoli, szanowny panie, że mu się przedstawię. Nazywam się Laponder, Amadeusz Laponder.

Odwróciłem się ku niemu.

Drobny, szczupły, jeszcze dość młody człowiek, elegancko ubrany, tylko bez kapelusza, jak wszyscy będący pod śledztwem, kłaniał mi się z wyszukaną grzecznością.

⁴³⁷Innocenty — imię pochodzące od łac. *innocens*, czyli niewinny.

⁴³⁸suchotniczy — cechujący gruźlika.

⁴³⁹w czas (daw.) — we właściwym momencie.

⁴⁴⁰knować — knuć, planować.

Dusza

Wiara

Był wygolony jak aktor — a jego wielkie, jasnozielone, świecące, migdałowate oczy miały tę osobliwość w sobie, że choć były wprost ku mnie zwrócone, zdawały się mnie wcale nie widzieć. — Było w nich coś jakby brak przytomności umysłu.

Mruknąłem swoje nazwisko i również się ukloniłem, po czym chciałem się położyć, ale długi czas nie mogłem odwrócić oczu od tego człowieka, tak szczególnie oddziaływał na mnie jego uśmiech pagodowy⁴⁴¹, w jaki układały się jego ładnie wycięte wargi, a ześrodkowany w kąciku ust. Wyglądał prawie jak chiński posązek Buddy⁴⁴² z różowego kwarcu⁴⁴³: skórę miał przezroczystą, pozbawioną zmarszczek, dziewczęcy, drobny nosek i delikatne nozdrza.

— Amadeusz Laponder, Amadesz Laponder — powtarzał mi kilkakrotnie.

Co też on mógł popełnić?

KSIEŻYC

— Czy pan już był na przesłuchaniu? — zapytałem po chwili.

— Właśnie stamtąd przychodzę. — Mam nadzieję, że niedługo będę tu szanownego pana niepokoił — odpowiedział mi w sposób bardzo miły.

Biedaczysko — pomyślałem — nie przeczuwa, co to go czeka pod śledztwem.

Chciałem go z wolna przygotować.

— Przywyka się w końcu do tego spokojnego istnienia, skoro tylko miną pierwsze dni najprzykrzejsze.

Zrobił pojednawczy wyraz twarzy.

Przerwa.

— Czy długo trwało przesłuchanie, panie Laponder?

Uśmiechnął się z roztargnieniem.

— Nie. Pytano mnie tylko, czy się przyznaję i musiałem podpisać protokół.

— Pan podpisał, że się przyznaje? — wyrwało mi się mimo woli.

— Oczywiście.

Mówił, jakby to rozumiało się samo z siebie.

Musiał to być jaki drobiazg, pomyślałem sobie, gdyż nie widać w nim żadnego podniecenia. Może jakie wyzwanie na pojedynek lub coś podobnego.

— Jestem tutaj niestety już tak długo, że mi się wydaje, jakbym siedział sto lat — westchnąłem mimo woli, on zaś natychmiast przybrał minę współczującą.

— Życzę panu, aby pan tego nie doznał, panie Laponder. Ostatecznie z tego, co widzę, sądzę, że pan wkrótce znów się znajdzie na wolnej stopie.

— To zależy — odrzekł spokojnie, ale jakiś sens był dwuznaczny w jego słowach.

— Pan nie wierzy? — zapytałem z uśmiechem. Pokiwał głową.

— Jak ja to mam rozumieć? Cóż pan tak strasznego popełnił? Wybacz pan, panie Laponder, nie ciekawość to z mojej strony, ale właśnie współczucie — że pytam.

Wahał się chwilę, potem rzekł, nawet nie drgnąwszy powieką:

— Morderstwo na tle seksualnym.

Zdawało mi się, jakby mnie ktoś pałką uderzył w głowę. — Ze wstrętu i zgrozy nie byłem w stanie wymówić słowa. — Laponder, zdaje się, zauważył to i dyskretnie spoglądał na stronę, ale najłagodniejsza gra rysów w jego automatycznie uśmiechniętej twarzy nie zdradzała, aby moja nagle zmiana zachowania się uraziła go w najmniejszym stopniu.

Nie zamieniliśmy już więcej ani słowa ze sobą — niemo spoglądaliśmy wzajem na siebie. — —

Gdy nastała ciemność, położyłem się na pryczy; i on natychmiast poszedł za moim przykładem; rozebrał się, starannie powiesił odzież na gwoździu w ścianie, rozciągnął się i,

⁴⁴¹pagodowy (neol.) — słowo utworzone od wyrazu „pagoda”, oznaczającego chiński wielokondygnacyjny budynek o przeznaczeniu sakralnym.

⁴⁴²Budda — właśc. Siddhartha Gautama, zwany „Buddą”, co oznacza „oświecony”. Daty narodzin i śmierci nie są znane, najczęściej jego życie datuje się na V-VI w. p.n.e. Założyciel buddyzmu. W szerszym sensie: każdy „oświecony”.

⁴⁴³kwarc — często występujący minerał z grupy krzemianów.

o ile sądzić było można z jego spokojnych, głębokich oddechów, natychmiast się pogrążył we śnie.

Całą noc nie mogłem się uspokoić.

Nieustanne poczucie, że mam w swoim najbliższym sąsiedztwie taką ohydę i że obaj oddychamy jednym i tym samym powietrzem, było mi tak przykre i dręczące, że wszystkie wrażenia dnia dzisiejszego, list Charouska i wszystkie nowe przeżycia w głębi się usunęły i chwilowo zniknęły.

Takem się położył, że ciągle miałem przed oczami mordercę, gdyż nie byłbym w stanie wytrzymać, gdybym go miał poza sobą.

Cela od poblasku księżyca była matowo pół oświetlona — i mogłem widzieć, jak Laponder leżał bezwładny, prawie zeszywniały. Rysy jego miały w sobie coś trupiego, a półotwarte usta podnosiły jeszcze to wrażenie.

Przez długie godziny śpiący nie zmieniał położenia ani razu.

Dopiero późno o północy, gdy wąski promień księżyca padł mu na twarz, lekki niepokój go opanował; towarzysz mój bezgłośnie jął⁴⁴⁴ poruszać wargami, jak ktoś, co mówi przez sen. Było to zdaje się ciągle to samo wyrażenie — być może zdanie dwusylabowe jakby: „Puść mnie! puść mnie! puść mnie!”

Sen, Księżyce

Najbliższe potem dni minęły w ten sposób, że o nic go nie zapytywałem: on też nie przerywał milczenia.

Jego zachowanie się jak przedtem, tak i teraz było nader ugrzecznione. Ile razy chciałem się przechadzać po celi tam i z powrotem, spostrzegał to natychmiast i z najwyższą grzecznością, o ile siedział na pryczy, wciągał nogi na łóżko, aby mi umożliwić chodzenie.

Zacząłem sobie robić wyrzuty z powodu swej szorstkości względem niego, ale pomimo najlepszej woli nie mogłem przezwyciężyć wstrętu do niego. Jakkolwiek miałem nadzieję, że w końcu przywyknę do jego obecności — jednak mi się to nie udawało.

Nocami nawet byłem czujny. Kwadrans ledwie sypiałem.

Co wieczór powtarzała się najściślej ta sama scena: czekał z wielkim szacunkiem, aż się rozciągnę na pryczy; wówczas zdejmował ubranie, starannie je gładził, potem wieszał — i tak dalej — i tak dalej.

Więzienie, Grzeczność

Jednej nocy — była może godzina druga nad ranem — wstałem jak pijany ze snu na desce ściennej, spoglądałem w pełni księżycową, której promienie odbijały się jak migocząca oliwa na miedzianej twarzy zegara wieżowego i ze smutkiem rozmyślałem o Miriam.

Nagle usłyszałem cicho jej głos za sobą.

Natychmiast stałem się czujny, nadzwyczaj czujny — odwróciłem się i nasłuchiwałem. — Minuta czasu przeszła.

Sądziłem już, że omyliłem, ale znów usłyszałem ten głos.

Nie mogłem dokładnie rozumieć słów, ale brzmiało to jakby: „Pytaj mnie! Pytaj”.

Był to głos Miriam.

Chwiejąc się z podniecenia, zeszedłem, jak mogłem najciszej, z deski — i zbliżyłem się do pryczy Lapondera.

Światło księżyca w pełni padało mu na twarz i mogłem wyraźnie dostrzec, że on powieki miał otwarte — i tylko białka oczu były widzialne.

Zeszywniałe mięśnie policzkowe świadczyły, że Laponder leży we śnie kataleptycznym⁴⁴⁵; tylko wargi poruszały się od czasu do czasu.

I powoli zrozu miałem słowa, które z poza zębów jego wychodziły: „Pytaj mnie, pytaj mnie”.

Głos do złudzenia podobny był do głosu Miriam.

— Miriam? Miriam? — zawołałem mimo woli, ale natychmiast ton obniżyłem, aby śpiącego nie obudzić.

Czekałem, aż na nowo twarz mu zeszywnieje, i łagodnie powtórzyłem:

Słowo

⁴⁴⁴jął (daw.) — zacząć.

⁴⁴⁵kataleptyczny — charakterystyczny dla katalepsji, to jest zeszywnienia spowodowanego wzrostem napięcia mięśniowego.

— Miriam? Miriam?

Usta jego wymówiły, ledwie dosłyszalnie, a jednak wyraźnie:

— Tak.

Przyłożyłem ucho do jego warg.

Po chwili usłyszałem głos Miriam — tak, nieomylnie jej głos — szept — że mi zimny dreszcz przebiegł całą skórę.

Pilem słowa tak pożądliwie, że tylko sens rozumiał — Mówiła o miłości ku mnie i o niewymownym szczęściu, żeśmy się w końcu znowu znaleźli i nigdy się już nie rozłączymy. Mówiła pospiesznie, bez odpoczynku, jak ktoś, co się lęka, że mu przerwą i chce wyzyskać każdą minutę.

Potem głos się zatrzymał — na chwilę zagaśł całkowicie.

— Miriam? — zapytałem, drżąc z trwogi i z zapartym oddechem. — Miriam, czyś ty umarła?

Długo żadnej odpowiedzi. Potem prawie niezrozumiale:

— Nie. — Żyję. — Śpię. —

Nic więcej. — Nasłuchiwałem. — Bez rezultatu. — Nic więcej.

Byłem tak oszołomiony — i drżałem ze wzruszenia, że musiałem się oprzeć o kant pryczy, aby nie upaść na Lapondera.

Złudzenie stało się tak całkowite, że zdawało mi się przez chwilę, jakoby istotnie Miriam tu leżała — i całej siły ducha musiałem użyć, aby nie złożyć pocałunku na ustach mordercy.

— Henoch⁴⁴⁶, Henoch! — usłyszałem nagle bełkotanie, a potem dźwięki coraz wyraźniejsze, członkowane: Henoch, Henoch!

Poznałem natychmiast głos Hillela.

— Czy to ty, Hillel?

Milczenie. Przypomniałem sobie, że czytałem kiedyś, iż aby z uśpionego wydobyć słowo, nie należy mówić do ucha, ale w kierunku tkanki nerwowej w jamie żołądkowej.

Uczyniłem tak:

— Hillel?

— Słyszę ciebie.

— Czy Miriam jest zdrowa? Czy wiesz o wszystkim? — pytałem prędko.

— Wiem wszystko. Wiedziałem od dawna. — Nie miej trwogi, Henoch, bądź spokojny.

— Czy ty mi przebaczysz, Hillelu?

— Mówię ci, bądź spokojny.

— Czy się prędko zobaczymy? — Lękałem się, że nie będę mógł więcej rozumieć pytania. Już ostatnie zdanie było jakby wydechem szeptane.

— Mam nadzieję. — Będę oczekiwał — na ciebie — jeżeli mogę — potem muszę — do ziemi —

— Dokąd? Do jakiej ziemi? — o mało co nie upadłem na Lapondera. — Do jakiej ziemi? Do jakiej ziemi?

— Do ziemi Gad⁴⁴⁷ — na południe — do Palestyny.

Głos zamarł.

Sto pytań huczało mi kołowrotem w głowie. Dlaczego on zowie⁴⁴⁸ mnie Henochem? Zwak, Jaromir, zegarek, Vrieslander, Angelina, Charousek?

— Żyj szczęśliwie i często o mnie wspominaj — nagle zabrzmiało znowu głośno i wyraźnie z ust mordercy. Teraz głos miał ton Charouska, ale tak podobny, jakby to on mówił sam.

Przypomniałem sobie: był to dosłownie ostatnie zdanie z listu Charouska.

Twarz Lapondera leżała już w ciemności. Światło księżyca padało na skraj głów⁴⁴⁹ siennika. Za kwadrans zniknie zupełnie z celi.

⁴⁴⁶ Henoch — patriarcha biblijny, który z racji wielkiej przyjaźni z Bogiem miał być za życia wzięty do nieba; przypisywano mu apokryficzną *Księgę Henocha*.

⁴⁴⁷ ziemi Gad — w Biblii ziemia posiadana przez potomków siódmego syna patriarchy Jakuba.

⁴⁴⁸ zowie (daw.) — nazywa.

⁴⁴⁹ głowy — część legowiska, gdzie kładzie się głowę.

Stawiałem pytanie za pytaniem, ale nie otrzymałem już żadnej odpowiedzi: morderca leżał nieruchomy jak trup, a powieki miał zamknięte.

Robiłem sobie ostre wyrzuty, że przez tyle dni widziałem w Laponderze tylko mordercę, nigdy zaś człowieka.

Sądząc z tego, com właśnie przeżył, był to oczywiście lunatyk⁴⁵⁰, somnambul⁴⁵¹ — istota, która się znajduje pod wpływem pełni księżyca.

Być może swe zabójstwo na tle płciowym popełnił on w stanie zamroczenia ducha. Niewątpliwie. — Teraz, gdy ranek zaczynał szarzeć, opadła sztywna nieruchomość z jego twarzy, na jej miejscu zaś czytałeś wyraz błogosławionego pokoju.

Tak spokojnie przecie drzemać nie może człowiek, który świadomie popełnił zbrodnię: tak sobie mówiłem.

Zaledwie mogłem się doczekać chwili jego przebudzenia.

Czy on ma świadomość tego, co się stało?

Wreszcie otworzył oczy, napotkał mój wzrok — i spojrzał w stronę⁴⁵².

Natychmiast podszedłem ku niemu i ująłem go za rękę:

— Niech mi pan przebaczy, panie Laponder, że dotychczas byłem dla pana tak mało życzliwy. Taka rzecz niezwykła, że — —

— Niech szanowny pan będzie przekonany, że ja to rozumiem doskonale — prze-rwał mi żywo — że musi to być wstrętne uczucie — siedzieć razem z mordercą na tle zwyrodnienia seksualnego.

— Niech pan o tym więcej nie mówi — prosiłem. Dziś w nocy chodziło mi to po głowie i nie mogę się uwolnić od tej myśli, że może pan — — szukałem słów.

— Pan mnie uważa za chorego — dopomógł mi.

Potwierdziłem jego domysł.

— Sądzę, że z pewnych oznak mogę taki wniosek wyprowadzić. — Ja — ja — czy mogę panu zadać pytanie wprost, panie Laponder?

— Proszę bardzo.

— Brzmi to dość dziwacznie — ale — zechce mi pan powiedzieć, co się panu dzisiaj śniło?

Z uśmiechem głową potrząsnął.

— Nigdy mi się nic nie śni.

— Ale pan mówił przez sen.

Spojrzał na mnie przerażony. Chwilę się zastanawiał. Potem rzekł stanowczo:

To mogło się zdarzyć tylko w takim razie, jeżeli pan mnie o coś pytał.

— Tak jest. Pytałem.

— Bo, jak rzekłem — nigdy mi się nic nie śni.

— Ja — podróżuję — dodał po chwili.

— Pan podróżuje... Jak to rozumieć?

Laponder nie bardzo chciał się wyjęzyczyć, ja zaś uważałem za wskazane, by mu określić przyczyny, które sprawiły, że się starał go przeniknąć⁴⁵³: w ogólnych zarysach powiedziałem mu, co się stało w nocy.

— Może pan być mocno przekonany — rzekł z powagą, gdy skończył swe wyjaśnienie — może pan być przekonany, że wszystko, com mówił we śnie, opiera się na rzeczywistości. Kiedym poprzednio zauważył, że nie śnię, ale „podróżuję”, rozumiałem przez to, że moje życie senne inaczej jest ułożone, niż życie — powiedzmy, *normalnych* ludzi. Niech pan to nazwie, jak się panu podoba — wyłonienie się ciała. — Tak było na przykład dziś w nocy w nadzwyczaj dziwnym pokoju, do którego wejście prowadziło z dołu przez drzwi spuszczone.

— Jakże ten pokój wyglądał? — zapytałem gwałtownie. — Czy był niezamieszany? Pusty?

⁴⁵⁰lunatyk — osoba nieświadomie wykonująca przez sen różne czynności.

⁴⁵¹somnambul — właśc. somnambulik, naukowe określenie lunatyka.

⁴⁵²w stronę — w bok.

⁴⁵³przeniknąć — zrozumieć.

— Nie. Stały w nim meble. Ale mało. I łóżko. Na łóżku młoda dziewczyna spała albo leżała pozornie martwa. Jakiś mężczyzna siedział koło niej, trzymając rękę na jej czole.

Laponder opisywał mi twarze obojga. Nie ma wątpliwości: byli to Hillel i Miriam. Z napięcia nie ważyłem się oddychać.

Proszę, niech pan opowiada dalej. Czy był tam jeszcze kto więcej w pokoju?

Kto więcej? Niech pan zaczeka — — — nie, oprócz nich nikogo więcej nie było w pokoju. Siedmiopłomienny świecznik⁴⁵⁴ płonął na stole.

Potem zeszedłem na dół po kręconych schodach.

— Były zniszczone? — wtrąciłem.

— Zniszczone? Nie, nie. Wszystko było tam w porządku. W bok od nich leżała izba, w której siedział człowiek w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami, człowiek typu osobliwego, jakiego nigdy jeszcze między ludźmi nie widziałem: miał żółtą twarz i kose⁴⁵⁵ oczy; pochylony był ku przodowi i zdawał się na coś oczekiwać. Może na jaki rozkaz.

— Książki — starej, dużej książki nigdzie pan nie widział? — badałem.

Potarł sobie czoło.

— Książki — mówi pan. Tak jest. Widziałem. Książka leżała na podłodze. Była otwarta. Cała na pergaminie. Stronica zaczynała się od złotej wielkiej litery A.

— Od litery J, chyba pan chce powiedzieć.

— Nie, od A.

Pokiwałem głową i zacząłem powątpiewać. Widocznie Laponder w półśnie, z treści, którą żywiła moja wyobraźnia — wyczytał różne rzeczy i jedno z drugim mu się przemieszało: Hillel, Miriam, Golem⁴⁵⁶, księga *Ibbur*⁴⁵⁷ i przejścia podziemne.

— Jak dawno posiadał pan ten dar „podróżowania”? — spytałem.

— Od dwudziestego pierwszego roku mego życia — — — zatrzymał się, zdawał się niechętnie o tym mówić. Naraz twarz jego przybrała wyraz niesłychanego zdumienia — i wpatrzył się w moją pierś, jakby na niej coś zobaczył. Nie bacząc⁴⁵⁸ zaś na moje zdziwienie, skwapliwie⁴⁵⁹ chwycił mnie za rękę — i prosił prawie błagalnie:

— Na miłość Boga, niech mi pan powie wszystko. Dziś ostatni dzień, który mogę z panem spędzić. Być może za godzinę już mnie wyprowadzą stąd, aby mi przeczytać wyrok śmierci. — —

Przerwałem mu przerażony.

— A zatem musi pan mnie zażądać na świadka. Przysięgnę, że pan jest chory. Pan jest lunatykiem⁴⁶⁰. Niepodobieństwo⁴⁶¹, żeby pana osądzono, nie zbadawszy stanu pańskiego ducha. Niechże pan to bierze⁴⁶² rozsądnie.

Obruszył się nerwowo:

— Przecież to rzecz uboczną! Proszę, niech mi pan powie wszystko.

— Ale cóż ja mam panu powiedzieć? — Lepiej mówmy o *panu* i — —

— Musiał pan — jak widzę teraz — na pewno — przeżyć dziwne rzeczy, które mnie blisko obchodzą, bliżej, niż pan to może przypuszczać; — — proszę, niech mi pan powie *wszystko*! — błagał.

Nie mogłem tego pojąć, że moje życie interesuje go więcej, niż jego własne, bądź jak bądź, prawdziwie dość naglące sprawy; aby go jednak zaspokoić, powiedziałem mu wszystko, co mi się zdarzyło niepojętego.

Przy każdym obszerniejszym fragmencie mej powieści kiwał głową zadowolony, jak ktoś co daną rzecz przenika na wskroś.

⁴⁵⁴siedmiopłomienny świecznik — siedmioramienny świecznik (menora) stanowi podstawowy symbol judaizmu.

⁴⁵⁵kosy — (o oczach) skośny, krzywy bądź zezowaty.

⁴⁵⁶golem — w legendach żydowskich istota stworzona na podobieństwo człowieka, zazwyczaj z gliny, żywa lecz pozbawiona duszy i dlatego posłuszna poleceniom człowieka, który ją stworzył. Stworzenie golemu wiązało się z powtórzeniem Boskiego procesu kreacji.

⁴⁵⁷ibbur — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

⁴⁵⁸baczyć — patrzeć, uważać, zwracać uwagę.

⁴⁵⁹skwapliwie — chętnie, przejawiając gotowość.

⁴⁶⁰lunatyk — osoba nieświadomie wykonująca przez sen różne czynności.

⁴⁶¹niepodobieństwo — rzecz nieprawdopodobna, niemożliwa.

⁴⁶²brać — tu: traktować.

Gdy przyszedłem do tego miejsca, gdzie stanęło przede mną widziadło bez głowy i podawało mi czarnoczerwone ziarna, zaledwie mógł doczekać, by dowiedzieć się końca — A więc pan mu je z ręki wytrącił — mruczał z zastanowieniem. — Nigdy bym nie myślał, że jest jeszcze trzecia droga.

— To nie była trzecia droga — powiedziałem. — To była droga ta sama, jak gdybym odmówił przyjęcia ziarn. —

Laponder się uśmiechnął.

— Pan tak nie sądzi, panie Laponder?

— Gdyby pan odmówił ich przyjęcia — to one popłynęłyby na drogę życia, ale ziarna, które oznaczają siły magiczne, nie byłyby pozostały. — Potoczyły się na ziemię, jak pan mówi. To znaczy: pozostały tutaj — i póty będą strzeżone przez pańskich przodków, aż nadejdzie czas ich kielkowania. Wówczas do życia dojdą siły, które w panu jeszcze drzemia.

Nie rozumiałem:

— Moi przodkowie będą strzegli tych ziaren?

— Częściowo musi pan brać symbolicznie to, co pan przeżył — objaśnił Laponder. Koło błękitnie świecących ludzi, którzy cię otoczyli, był to łańcuch odziedziczonych *Jaźni*, które każdy z matki urodzony⁴⁶³ wlecz ze sobą. Dusza nie jest „pojedynczością”, ona dopiero nią się stanie — i to się nazywa „Nieśmiertelność”; pańska dusza składa się z wielu *Jaźni* — jak mrowisko z mrówek; noszą one w sobie pozostałości wielu tysięcy przodków: naczelników waszego rodu. To samo jest u wszystkich istot. Jakże kura, która sztucznie z jaja została wylęgnięta, mogłaby natychmiast szukać właściwego pożywienia, gdyby nie tkwiło w niej doświadczenie milionów lat? — Istnienie „instynktu” zdradza obecność przodków w ciele i w duszy. — Ale przepraszam pana, nie chciałem panu przerywać.

Opowiedziałem do końca. Wszystko. Nawet i to, co Miriam mówiła o Hermafrodycie⁴⁶⁴.

Gdym się zatrzymał i spojrzał na niego, zauważyłem, że Laponder stał się błąd jak wapno na ścianie, a lzy obfite toczyły mu się po twarzy.

Szybko wstałem, udając, że nic nie widzę, i chodziłem po celi tam i z powrotem, by przeczekać, aż się nieszczęsny uspokoi. —

Wówczas siadłem naprzeciw niego i użyłem wszystkiej siły mej wymowy, aby go przekonać, jak nagląco koniecznym było powołać się wobec sądu na chorobliwy stan swego ducha.

— Gdyby pan przynajmniej nie przyznał się do tego zabójstwa! — zakończyłem.

— Ależ musiałem przecie! Pytano mnie na moje sumienie! — rzekł naiwnie.

— Więc kłamstwo uważa pan za rzecz gorszą od zabójstwa na tle płciowym? — pytałem zdumiony.

— W ogóle być może — nie; w moim przypadku — niewątpliwie tak. — Uważaj pan: gdy mnie sędzia śledczy zaczął rozpytywać, czy się przyznaję do winy, miałem siłę powiedzieć prawdę. Miałem do wyboru skłamać albo nie skłamać. Gdym popełnił owo zabójstwo z lubieżności — proszę, niech mi pan oszczędzi szczegółów: było to tak obrzydliwe, że nie chciałem tego na nowo ożywiać w swej pamięci — — kiedym popełnił owo zabójstwo, nie miałem *żadnego* wyboru. Gdybym działał nawet przy doskonale jasnym stanie świadomości, to jednak i wtedy nie miałem żadnego wyboru: coś, czego obecności w sobie nigdy się nie domyślałem, czuwało nade mną i było silniejsze ode mnie. Czy pan sądzi, że gdybym miał wybór, to bym popełnił morderstwo? — Nigdy nie zabiłem — nawet najmniejszego robaka — i teraz już nie byłbym w stanie.

Wyobraźmy sobie, że prawo ludzkie jest: zabijać! — a za zaniedbanie tego prawa karą ma być śmierć — podobnie, jak to mamy na wojnie — niewątpliwie w takim razie zasłużyłbym sobie na śmierć. Bo dla mnie nie byłoby wyboru. Musiałbym po prostu nie mordować. Wtedy, gdym popełnił zabójstwo, sprawa miała się na odwrót.

— Tym bardziej, gdy pan się teraz czuje *quasi*⁴⁶⁵ inny człowiek, musi pan powołać się na wszystko, aby uniknąć wyroku sądu.

Laponder zrobił przeczący ruch ręki.

Nieśmiertelność, Kondycja
ludzka

Ptak, Nieśmiertelność,
Jedzenie

Morderstwo, Kłamstwo,
Sumienie

⁴⁶³z matki urodzony — człowiek, śmiertelnik.

⁴⁶⁴hermafrodyta — (od imion bogów gr. Hermesa i Afrodyty) istota dwupłciowa.

⁴⁶⁵quasi (łac.) — jakby.

— Pan się myli. Sędziowie ze swojego punktu widzenia mają zupełną słuszość. Czy wolno może takiego człowieka jak ja puścić, aby swobodnie krążył po świecie? Aby jutro lub pojutrze znów stała się jakaś ohyda?

— Nie. Ale należałoby pana internować w zakładzie leczniczym dla chorych psychicznie. Oto właśnie, co chcę powiedzieć!

— Gdybym był obłąkany, to pan miałby rację. — odparł Laponder obojętnie. — Ale ja nie jestem obłąkany. Jestem czymś zupełnie innym — czymś, co jest bardzo podobne do obłąkania, ale właściwie jest jego przeciwieństwem. Proszę, niech pan słucha. Pan mnie zaraz zrozumie. — — — To, co mi pan mówił przedtem o widziadłe bez głowy — oczywiście jest to symbol: klucz do niego po namyśle może pan łatwo znaleźć. Zdarzyło mi się kiedyś zupełnie tak samo. Tylko że ja ziarna *przyjąłem*. Zatem ja idę „drogą śmierci”. — Dla mnie najświętszym jest to, co mogę myśleć: żem dopuścił, aby duchowość kierowała moimi krokami. Ślepy, pełny ufności idę, dokądkolwiek droga mnie poprowadzi: na szubienicę czy na tron, do bogactwa czy do nędzy. Nigdy się nie wahał, gdy wybór dano mi do ręki.

Dlatego też i nie kłamałem, gdy wybór dano mi do ręki.

Pan zna słowa proroka Micheasza: „Powiedziano ci, człowieku, co dobre jest i czego Pan od ciebie żąda”.

Gdybym skłamał, stworzyłbym sobie przyczynę, gdyż miałem wybór; — — gdybym popełnił zbrodnię, nie stworzyłem żadnej przyczyny; wyzwoliło się tylko działanie pewnej, drzemiącej we mnie, od dawna złożonej przyczyny, nad którą żadnej już mocy nie miałem.

A zatem ręce moje są czyste.

Przeto, że duchowość we mnie urobiła mnie na mordercę, ogłosiła ona wyrok na mnie; przez to, że mnie ludzie powieszą na szubienicy, los mój wyzwoli się od ich losu; — idę na wolność.

— Jest to święty — pomyślałem i włos mi się najeżył, gdy w podziw dla niego spostrzegł swoją małość.

— Opowiadał mi pan, że przez hipnotyczny wpływ lekarza zatracił pan w swej świadomości wspomnienie swych lat młodzieńczych — mówił Laponder dalej. — Jest to znak-stygmat — tych wszystkich, którzy są ukąszeni przez „węża krainy duchowej”. Zda się, jakoby w nas były dwa żywoty — jeden w drugi — wkorkowane — jak szlachetny kwiat na dzikim drzewie, zanim stać by się mógł *cud przebudzenia*; co jeno⁴⁶⁶ przez śmierć może być rozdzielone, tu zdarza się przez zagaśnięcie wspomnień — niekiedy zaś tylko przez nagły nawrót wewnętrzny.

U mnie było tak, że ja pozornie bez żadnej przyczyny zewnętrznej — w dwudziestym pierwszym roku życia pewnego ranka obudziłem się jakby przemieniony. To, com dotychczas miłował, wydało mi się nagle zgoła obojętne: życie ukazało mi się tak głupie, jak historia o Indianach i straciło dla mnie wartość rzeczywistą; sny dla mnie nabrały pewności — a życie codzienne stało mi się jak widzenie senne.

Wszyscy ludzie mogliby to czynić, gdyby posiadali klucz. Klucz ten zaś leży jedynie i wyłącznie w tym, że człowiek we śnie staje się świadomy formy swej „Jaźni”, że tak powiem, jej skóry — że znajduje małe szczeliny, przez które jego świadomość przedziera się pomiędzy stan jawy a głęboki sen kataleptyczny.

Dlatego to mówiłem poprzednio, że ja „podróżuję”, nie zaś, że „śnię”.

Ubiegać się o nieśmiertelność to znaczy walczyć o berło przeciw zamieszkującym nas wrzaskom i upiorom; oczekiwać zaś na przekrólewszczenie własnej Jaźni — to oczekiwać na Mesjasza.

Systematyczny Habal Garmin, którego pan widział, „tchnienie kości” w Kabale — to był król. Kiedy ten król będzie koronowany — pęknie na dwoje sznur, którym przywiązany jesteś do świata zmysłami zewnętrznymi — kominem rozumu.

Jak to stać się mogło, że ja, pomimo swe oderwanie od życia⁴⁶⁷, stałem się przez jedną noc mordercą seksualnym: o to się pan chce mnie zapytać? Człowiek jest jak rura szklana, przez którą toczą się pstre kule: prawie u wszystkich w życiu tylko jedna. Jeżeli kula jest czerwona, to mówi się, że człowiek „zły”. Jeżeli żółta, to mówi się: „dobry”. Jeżeli biega

Wiara

Śmierć, Święty

Zbawienie

⁴⁶⁶jeno (daw.) — tylko.

⁴⁶⁷pomimo swe oderwanie od życia — dziś popr.: pomimo swego oderwania od życia.

dwie — czerwona i żółta — mamy wtedy „niezdecydowany” charakter. My, „ukąszeni od węża”, wypełniamy przez jedno życie to, co w ogóle w całej rasie zdarza się w stulecie globu: kule barwne toczą się jedna przez drugą w szklanej rurze — a gdy dojdą do końca — wtedy to „wtedy my jesteśmy prorocy — zwierciadła Boga”.

Laponder zamilkł.

Długo nie mogłem słowa wymówić. Jego mowa mnie oniemiała.

— Czemuż to pan tak trwożliwie zapytywał się przedtem o moje przeżycia, skoro pan stoi tak o wiele, o wiele wyżej ode mnie? — zagadnąłem go wreszcie.

— Pan się myli — rzekł Laponder — stoję znacznie niżej od pana. — Pytałem pana, bom czuł, że pan posiada klucz, którego mi brakło.

— Ja? klucz? O Boże!

— Tak jest, pan. I pan mi go dał. Nie sędzę, aby na świecie był człowiek szczęśliwszy, niż ja jestem dzisiaj.

Na zewnątrz dał się słyszeć hałas. Rygiel zazgrzytał. Laponder nie zwracał na to wcale uwagi.

— To, co pan mówił o Hermafrodytie — był to dla mnie klucz. Teraz mam pewność. Już dlatego jestem zadowolony, że mnie stąd wyprowadzą, bo wnet będę u celu.

Od łez nie mogłem już rozróżnić twarzy Lapondera, *słyszałem* tylko uśmiech w jego głosie.

— A teraz: żyj pan szczęśliwie, panie Pernath, i pomyśl pan: to, co jutro powiesz, będzie to jedynie moja suknia. Pan mi odsłonił najpiękniejszą rzecz, to czego jeszcze nie wiedziałem. Teraz idziemy na wesele — — — wstał i szedł za strażnikiem — to jest w związku z morderstwem seksualnym.

Były to ostatnie słowa, które słyszałem i których znaczenie pozostało dla mnie ciemne.

Ciało

Od tej nocy — ile razy świecił na niebie księżyc w pełni — zdawało mi się zawsze, że znów widzę na szarym płótnie siennika leżącą uspioną postać Lapondera.

W najbliższych dniach po jego wyprowadzeniu słyszałem na placu egzekucyjnym odgłos robót ciesielskich i kowalskich, co nieraz trwało aż do szarego świtu.

Odgadłem, co to znaczy — i godzinami całymi uszy sobie zamykałem z rozżalenia.

Mijał miesiąc za miesiącem. Z chorobliwej postaci nieszczęsnego drzewa na dziedzińcu widziałem, jak lato wędło; zapachem pleśni jeły⁴⁶⁸ tchnąć mury więzienne.

Gdy w przechadzkach po dziedzińcu więziennym spoglądałem na umierające drzewo — i na wrośnięty w jego korę szklany posążek świętej — mimo woli za każdym razem powstawało we mnie porównanie, jak głęboko wrosła we mnie postać Lapondera.

Raz tylko jeszcze we wrześniu sędzia śledczy wezwał mnie do siebie i nieufnie pytał, jak ja to wytłumaczę, co mówiłem w okienku bankowym, że muszę natychmiast wyjechać — i dlaczego w godzinach przed aresztowaniem byłem tak niespokojny i wziąłem ze sobą wszystkie swoje drogie kamienie.

Na moją odpowiedź, że postanowiłem jak najrychlej życie sobie odebrać, znów poza biurkiem dało się słyszeć szydercze beczenie baranie.

Aż dotąd byłem w celi zupełnie sam i mogłem się oddać w całości swoim myślom, żałobie po Charousku, który, jakem przeczuwał, od dawna już musi nie żyć, wspomnieniom o Laponderze, tęsknocie po Miriam.

Potem zjawili się nowi więźniowie: subiecki⁴⁶⁹ handlowi o przeżytych twarzach, którzy popełnili przestępstwo, tłusci kasjerzy bankowi — „biedne sierotki”, jakby ich nazwał Vossatka. Zatruli mi powietrze i usposobienie.

Pewnego razu jeden z nich z najwyższym oburzeniem opowiadał, że niedawno popełniono w mieście morderstwo na tle płciowym. Szczęśliwym trafem złoczyńcę natychmiast ujęto i krótki proces mu wytoczono.

— Laponder! tak się nazywał ten nikczemnik, niegodny boskiej litości — wołał jakiś drab o pysku dzikiego zwierza, a który za okrutne postępowanie z dzieckiem skazany został na 14 dni więzienia. — Na gorącym uczynku go schwytano. W czasie walki z ofiarą lampa

⁴⁶⁸ *jeły* (daw.) — zacząć.

⁴⁶⁹ *subiecki* (daw.) — sprzedawca.

spadła i pokój zaczął się palić. Trup dziewczyny jest tak zwęglony, że do dnia dzisiejszego nie można było ustalić, kto ona jest. Miała czarne włosy i ładną twarz — to wszystko, co o niej wiadomo, A Laponder, choćby miał zdechnąć, nie chciał powiedzieć jej imienia. Gdybym to ja był sędzią, to bym go obdarł ze skóry i pieprzem obsypał. Tacy to są ci eleganccy panowie. Wszystko same zabójce. — — Jakby nie było innych sposobów, kiedy się chcesz uwolnić od dziewczyny! — dodał w końcu z cynicznym uśmiechem.

Wściekłość zagotowała się we mnie — i najchętniej powaliłbym łotra na podłogę.

Co noc chrapał on na tym samym łóżku, na którym leżał Laponder. Odetchnąłem dopiero, gdy w końcu został wypuszczony na swobodę.

Ale wtedy nawet nie wyzwoliłem się od niego. To, co mówił, przeniknęło we mnie jak grot z ząbkowatym haczykiem.

Prawie nieustannie, zwłaszcza w mroku, gryzło mnie teraz posępne podejrzenie, że ofiarą Lapondera mogła być Miriam.

Im bardziej opierałem się tej myśli, tym głębiej ona mnie dręczyła, aż zmieniła się niemal w *idée fixe*⁴⁷⁰.

Niekiedy, zwłaszcza gdy księżyc blade światło przelał przez kraty, było nieco lepiej: wówczas przypominały mi się na nowo godziny, które przepędziłem z Laponderem i głębokie współczucie względem niego budziło we mnie żal, ale wnet nadchodziły straszne chwile, gdy przed oczami duszy widział Miriam zamordowaną i zwęgloną — i zdawało się, że z przerażenia rozum utracę.

Słabe punkty zasadnicze, które miałem dla swych podejrzeń, układały się w takich momentach w zamkniętą całość — w obraz pełny nieopisanie straszliwych szczegółów.

Na początku listopada o godzinie dziesiątej wieczorem była w celi najczarniejsza ciemność, a rozpacz we mnie dosięgła takiego stopnia, że aby nie krzyknąć głośno z powodu swej niemocy, wcisnąłem się, wgrzyłem się w siennik jak zwierzę, umierające z pragnienia.

Nagle strażnik więzienny otworzył celę — i zażądał, abym poszedł z nim do sędziego śledczego. Czuję się tak osłabiony, że chwiejnym krokiem — zaledwie mogłem za nim podążyć!

Nadzieja, że kiedykolwiek ten straszliwy dom opuszczę — dawno już we mnie zamarła.

Wyobrażałem sobie, że znów mi postawią jakieś lodowate pytanie — znów usłyszę za biurkiem stereotypowy bek — i znów odeślą mnie do ciemności z powrotem. Pan baron von Leisetreter już poszedł do domu — i tylko stary, garbaty pisarz o pajęczych palcach stał w pokoju.

Odrętwiały czekałem, co mi przypadnie.

Uderzyło mnie, że strażnik wszedł wraz ze mną i dobrotliwie mi się przyglądał, ale byłem zbyt przygnębiony, by jasno zrozumieć znaczenie tych objawów.

— „Śledztwo wykazało” — zaczął pisarz, beknął, włożył na krzesło i naprzód długo czegoś szukał wśród papierów, a potem mówił, raczej czytał — „wykazało, że wzmiankowany Karol Zottmann przed śmiercią przypuszczalnie miał schadzkę z niezamężną niegdyś prostytutką Rozyną Metzeles, która nosiła przydomek „rudej Rozyny”; potem przez pewnego głuchoniemego, który obecnie znajduje się pod dozorem policji, sylwetkarza, nazwiskiem Jaromir Kwasniczka, została wykupiona z winiarni pod firmą „Kautsky” i od kilku miesięcy z Jego Księżęcą Wysokością Jaśnie Oświeconym księciem Ferri von Athenstadt żyje we wspólnym, dzikim konkubinacie jako kochanica; wyżej rzeczony Karol Zottman podstępnie został zwabiony do podziemnej, opuszczonej piwnicy w domu numer *conscriptio*⁴⁷¹ 21. 873, liczba rzymska III, na Kogucim Zaulku, numer bieżący siedem, tam zamknięty — i pozostawiony tamże na śmierć z głodu lub przemarznięcia. —

Mianowicie wyżej rzeczony Zottman — objaśnił pisarz, rzucając wzrokiem spoza okular i przewracając kilka razy kartki w swym papierze.

Śledztwo wykazało dalej, że wyżej rzeczony Zottman podług wszelkiego prawdopodobieństwa — gdy zakończył życie — został ograbiony ze wszystkich rzeczy, jakie miał przy sobie, a zwłaszcza ze swego zegarka o podwójnej pokrywie, *sub fasciculo* rzymskie P — tu pisarz podniósł zegarek i łańcuszek do góry. „Podług zeznania, złożonego

⁴⁷⁰*idée fixe* — natrętna myśl, której nie można się pozbyć.

⁴⁷¹*conscriptio* (łac.) — zapis w rejestrze.

pod przysięgą przez sylwetkarza Jaromira Kwasniczkę, osieroconego syna zmarłego przed laty siedemnastu wyrabiacza hostii, tegoż nazwiska, zegarek został znaleziony w łóżku jego brata Loisa, który tymczasowo uciekł z więzienia; zegarek ten wyżej rzeczony Jaromir Kwasniczka zastawił u właściciela realności Arona Wassertruma, który tymczasowo z życiem się rozstał: przysiędze powyższej sąd dla braku wiarygodności żadnej wagi przypisywać nie mógł. Śledztwo wykazało dalej, że trup wyżej rzeczony Karola Zottmana w tylnej kieszeni od spodni, w chwili jego znalezienia, miał przy sobie notes, w którym przypuszczalnie na kilka dni przed zakończeniem życia pomieścił on liczne wskazówki, wyjaśniające fakty i ułatwiające ujęcie złooczyńcy przez c. k.⁴⁷² władze państwowe.

Uwaga c. k. władzy sądowej na skutek powyższych notat Zottmana skierowała się w stronę najmocniej podejrzanego Loisa Kwasniczki, tymczasowo zbiegłego; jednocześnie c. k. władza sądowa nakazuje śledztwo przeciw Atanazemu Pernath, wycinaczowi kamei⁴⁷³, zawiesić — i postępowania przeciw niemu zaprzestać.

Praga w czerwcu,

Podpisano:

doktor Baron von Leisetreter”.

Podłoga zakołysała się pod moimi nogami i na chwilę utraciłem przytomność.

Gdym się przebudził, siedziałem na krześle, a strażnik po przyjacielsku klepał mnie po ramieniu.

Pisarz był najzupełniej spokojny, zażył tabaki, wytarł nos i powiedział:

— Odczytanie tego postanowienia musiało być odłożone do dzisiaj, gdyż nazwisko pańskie zaczyna się od Pe i naturalnie podług alfabetu mogło przyjść dopiero ku końcowi.

Po czym czytał dalej:

— „Ponadto Atanazy Pernath, wycinacz kamei, zostaje zawiadomiony, że podług testamentu zmarłego w maju studenta medycyny Innocentego⁴⁷⁴ Charouska trzecia część jego całkowitego majątku przypada mu w schedzie⁴⁷⁵ — i ma pod protokolarnym stwierdzeniem powyższego położyć swój podpis”.

Pisarz przy tych słowach umaczał pióro w atramencie i zaczął bazgrać.

— Innocenty Charousek — bełkotałem nieprzytomny.

Strażnik pochylił się ku mnie i szeptał mi do ucha:

— Na krótko przed śmiercią był u mnie pan doktor Charousek — i dowiadywał się o pana. Kazał panu bardzo, bardzo się kłaniać. Naturalnie wtedy nie mogłem tego zrobić. Najsurowiej zakazane. Straszny koniec zresztą sam sobie zrobił pan doktor Charousek. Sam sobie życie odebrał. Znaleziono go na grobie Arona Wassertruma. Leżał na pierśsiach. Wyrył dwie głębokie dziury w ziemi, tętnice sobie przeciął i wtedy ramiona włożył w dziury. Tak krew z niego wypłynęła. Zapewne był obłąkany pan doktor Charousek.

Pisarz z hałasem cofnął swe krzesło i wręczył mi pióro do podpisu.

Wtedy przybrał dumną postawę i przemówił niemal tonem barona, swego przełożonego:

— Dozorco, wyprowadzić tego człowieka.

Krew, Samobójstwo

Jak przed dawnym, dawnym czasem, znów człowiek z szablą i w gaciach w izbie wartowniczej trzymał na kolanach młynek do kawy; ale teraz mnie nie rewidował, tylko zwrócił mi moje drogie kamienie, portmonetę z 10 guldenami⁴⁷⁶, płaszcz i inne rzeczy.

Wreszcie stałem na ulicy.

⁴⁷²c. k. — cesarsko-królewski; skrót stosowany w odniesieniu do władz Austro-Węgier.

⁴⁷³kamea — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

⁴⁷⁴Innocenty — po łacinie to imię oznacza: niewinny.

⁴⁷⁵scheda — spadek.

⁴⁷⁶gulden — gulden austriacki był oficjalnym środkiem płatniczym na terenie Austro-Węgier do czasu reformy walutowej z 1892 r., gdy w jego miejsce wprowadzono koronę austro-węgierską. Informacja ta pomaga w datowaniu czasu akcji powieści.

— Miriam! Miriam! Teraz na koniec znów się zobaczymy! — Powstrzymywałem w sobie okrzyk najdzikszego rozradowania.

Była zapewne północ. Księżyc w pełni toczył się, pozbawiony blasku, jak płowy⁴⁷⁷ talerz mosiężny, poza mgłą obłoków. Księżyc

Ulice pokrywała gęsta, lepka warstwa błota.

Przywołałem dorożkę, która w oparach wyglądała jak połamany potwór przedpotopowy. Nogi mi odmawiały posłuszeństwa; prawie zapomniałem chodzić i chwiałem się jak tabetyk⁴⁷⁸ na bezwrażliwych podszwach.

— Dorożkarzu, proszę mnie zawieść, jak możecie najprędzej, na Koguci Zaulek, numer 7. Czyście zrozumieli?

— Koguci Zaulek numer 7?

WOLNY

Przejechawszy kilka metrów, dorożka się zatrzymała.

— Koguci Zaulek, wielmożny panie?

— Tak jest. Tylko prędko.

Znów pojazd ruszył nieco dalej. Znów się zatrzymał.

Na miłość Boga, co to znaczy?

— Koguci Zaulek, wielmożny panie?

— Tak jest. Właśnie.

— Na Koguci Zaulek nie mogę jechać.

— Dlaczegoż nie?

— Wszędzie bruki powyjmowane. Żydowskie miasto całe przerabiają.

— Proszę więc jechać tak daleko, jak można, ale teraz, jak najprędzej.

Dorożka zrobiła jeden skok galopem, a potem znów zaczęła jechać niedołężnym kłusem.

Opuściłem zaplamione szkła okien dorożki i chciwym płucem ssałem powietrze nocne.

Wszystko mi stało się tak niepojęcie nowe: domy, ulice, zamknięte sklepy.

Biały pies włóczył się samotnie i w złym humorze po mokrym trotuarze⁴⁷⁹. Spojrzałem na niego. Co za dziwowisko! Pies! Zapomniałem, że takie zwierzęta są na ziemi. — Z radości jak dziecko zacząłem wołać na niego:

— Hej, hej! Jakże to można być tak smutnym!

Co by na to powiedział Hillel? — A Miriam?

Jeszcze parę chwil, a jestem u nich. Postanowiłem sobie póty we drzwi stukać, aż ich z łóżka powyciągam.

Teraz wszystko było dobrze — żałoba całoroczna minęła!

Toż nie prześpię już tej sprawy, jak niegdyś.

Na chwilę znów mnie załamała dawna trwoga: przypomniały mi się słowa więźnia z pyskiem dzikiego zwierza. Spalona twarz, zabójstwo lubieżnicze, ale nie, nie — przemocą odpychałem ten obraz: nie, nie. to niemożliwe! Miriam żyje! Toć jeszcze głos jej słyszałem przez usta Lapondera.

Jeszcze minuta — pół minuty, a wówczas —

Dorożka zatrzymała się koło kupy gruzów.

Wszędzie dokoła barykady z kamieni brukowych.

Na nich pałą się czerwone latarnie.

Przy blasku pochodni kopał i łopatą odsypywał ziemię jeden z robotników.

Kopce zwalisk, kamieni i odłamki murów zamykały przejście.

Drapałem się po tych górkach, po kolana się pograżyłem w gruzy.

Więc to tu miałby być Koguci Zaulek?

Z trudem się orientowałem. Same ruiny dokoła. Czyż nie tu stał dom, w którym mieszkalem? Fasada była zdjeta całkowicie.

⁴⁷⁷płowy — żółtoszary.

⁴⁷⁸tabetyk — osoba z układem nerwowym zaatakowanym przez kilę.

⁴⁷⁹trotuar (z franc.) — chodnik.

Wdarłem się na jeden z kopców; w dole pode mną biegł wzdłuż dawnej ulicy czarny, murowany chodnik. Spojrzałem w górę: jak olbrzymie komórki pszczele zawisły w powietrzu opróżnione siedziby ludzkie, przez pół⁴⁸⁰ pochodniami oświetlone, przez pół mdłym światłem księżycowym.

Tam w górze musiał to być mój pokój i poznałem po dawnych obiciach, co zostały.

W sąsiedztwie pracownia Saviolego.

Naraz uczulem w sercu próżnię. Jakie to osobliwe! Pracownia! Angelina!

Jakże daleko, jak niewymownie daleko było to wszystko ode mnie.

Obróciłem się: z domu, w którym mieszkał Wasserturn, nie pozostał kamień na kamieniu! Wszystko zrównane z ziemią: sklep tandeciarza⁴⁸¹, suterena⁴⁸² Charouska — — — wszystko, wszystko!

„Człowiek przechodzi tędy jak cień” — przypomniały mi się słowa, które kiedyś czytałem.

Zapytałem robotnika, czy nie wie przypadkiem, gdzie mieszkają ludzie, którzy się stąd wyprowadzili; czy może znał archiwariusza Szemajaha Hillela?

— *Niks dajcz*⁴⁸³! — była odpowiedź.

Dałam temu człowiekowi florena⁴⁸⁴; natychmiast niemal zaczął rozumieć po niemiecku, ale nie mógł mi dać żadnego objaśnienia.

Również żaden z jego towarzyszków.

Może u „Loisiczka” można by się czegoś dowiedzieć? Loisiczek był, jak mówiono, zamknięty; dom odnawiano.

A więc obudzić kogo w sąsiedztwie? Czy można?

— Tak szeroko i daleko tu wkoło nawet kot nie mieszka — mówił robotnik. — Administracyjnie zakazane. Wedle⁴⁸⁵ tyfusu.

— A „Ceber”? Chyba otwarty?

— Ceber zamknięty.

— Na pewno?

— Na pewno.

Na chybił trafił wymieniłem nazwiska handlarzy i trafikantów⁴⁸⁶, którzy tu w okolicy mieszkali; wymieniłem też imiona Zwaka, Vrieslandera, Prokopa...

Wszyscy kiwali głowami. Nie, nie.

— Może który z was zna Jaromira Kwasniczkę?

Robotnik nasłuchiwał.

— Jaromir? Głuchoniemy?

Dusza moja się radowała. Bogu dzięki. Przynajmniej jeden znajomy.

Tak jest, głuchoniemy. Gdzie mieszka?

— Czy to ten, co wycina obrazki? Z czarnego papieru?

— Tak — to on. Gdzież go mogę spotkać?

Robotnik, o ile mógł najdokładniej, opisywał mi nocne kawiarnie w mieście wewnętrznym — i wnet na nowo zaczął kopać ziemią łopatą.

Więcej niż godzinę brodziłem po przez pola gruzów, tańcowałem po chwiejących się deskach i pełzałem wśród poprzecznych belek, zamykających ulice. Cała dzielnica żydowska była jedną kamienną pustynią, jakby trzęsienie ziemi zburzyło miasto.

Oddech mi zapierało ze wzruszenia, szedłem zabrudzony i w podartym obuwii — aż na koniec wydostałem się z tego labiryntu. Kilka szeregów domów — i stałem przed jaskinią, której poszukiwałem. — Nade drzwiami widniał napis: „Cafe Chaos”.

Bezludny, mały lokal, w którym zaledwie starczyło miejsca na parę stolików, stojących pod ścianą.

Na środku sali na trójnożnym bilardzie spał kelner i chrapał.

Kawiarnia

⁴⁸⁰*przez pół* (daw.) — w połowie.

⁴⁸¹*tandeciarz* — handlarz tandetą, tj. tanimi, byle jakimi towarami z drugiej ręki.

⁴⁸²*suterena* (z fr.) — podziemna kondygnacja mieszkalna.

⁴⁸³*niks dajcz* — nieprawidłowo: nie mówię po niemiecku.

⁴⁸⁴*floren* — złota moneta z Florencji, często naśladowana przez mennice innych krajów.

⁴⁸⁵*wedle* — tu: z powodu.

⁴⁸⁶*trafikant* — kioskarsz.

Przekupka z koszem jarzyn przed sobą siedziała w kącie — pochylona nad szklanką czaju⁴⁸⁷.

W końcu zdecydował się kelner wstać i zapytać, czego chce. Z zuchwałego spojrzenia, jakim ten patrzył na mnie od stóp do głów — dopiero teraz przyszło mi na myśl, że muszę wyglądać jak oberwaniec.

Rzuciłem okiem w zwierciadło i przeraziłem się: cudza, anemiczna twarz, pomarszczona, szara jak kit z szczecinowatą brodą i poczochnym długim włosom ukazała się przede mną.

— Czy sylwetkarz Jaromir był tu? — zapytałem i zamówiłem czarną kawę.

— Nie wiem, gdzie on siedzi do tej pory — odpowiedział mi kelner, ziewając.

— Po czym znów się położył na bilard i w dalszym ciągu drzemał.

Wziąłem ze ściany „Prager Tageblatt⁴⁸⁸” i — czekałem. Literały biegały mi w oczach jak mrówki po stronicach — i ani słowa nie rozumiałem z tego, com czytał.

Godziny mijały — a za szybami ukazywał się już podejrzany głęboki poświt ciemnoniebieski, który świadczy o wtargnięciu zorzy porannej do lokalu o oświetleniu gazowym.

Tu i ówdzie wypatrywali coś na ulicy policjanci w pióropuszech o zielonym połysku — i powolnym, ciężkim krokiem szli dalej.

Do kawiarni weszli żołnierze — jak widać, po hulaszczu przepędzonej nocy.

Wracający nad ranem jegomość napił się przy bufecie wódki.

Na koniec, na koniec: Jaromir.

Zmienił się tak, że go zaledwie poznałem: oczy miał zagasłe, przednie zęby mu wypadły, włosy się mocno przerzedziły, a za uszami miał głębokie jamki.

Byłem tak rad⁴⁸⁹, że po długim czasie znów widzę znajomą twarz, że podskoczyłem, ruszyłem ku niemu i ująłem go za rękę. — Jaromir zachowywał się w sposób dziwnie bojaźliwy — i nieustannie spoglądał w stronę drzwi. Za pomocą wszelkich możliwych gestów chciałem mu wykazać, jak się raduję jego spotkaniem. — Długi czas zdawał mi się nie dowierzać.

Ale, jakiegokolwiek zadawałem mu pytania, zawsze ten sam rozpaczny ruch ręki, oznaczający: nie rozumiem!

Jakże umożliwić mu zrozumienie rzeczy?

Mam myśl. Kazałem sobie dać ołówek i kolejno rysowałem twarze Zwaka, Vrieslandera i Prokopa.

Jak to? Wszyscy opuścili Pragę?

— Żywo, niby płazem⁴⁹⁰, uderzył w powietrze dokoła; zrobił ruch wypłaty pieniędzy, poruszał po stole palcami, niby dla oznaczenia pochodów i uderzył się po wierzchu ręki. Odgadłem: wszyscy trzej zapewne od Charouska dostali pieniądze i teraz jako wspólnicy krążyli po świecie z powiększonym teatrem marionetek.

— A Hiliel? Gdzież teraz mieszka? — Narysowałem jego twarz, przy tym dom — i w końcu znak zapytania.

Znaku zapytania Jaromir nie rozumiał; — nie umiał czytać, ale pojął, o co mi chodziło. Wziął zapalkę, rzucił ją pozornie w górę, a potem na sposób prestidigitatorów⁴⁹¹ nagle ukrył ją tak, że zniknęła. Co to znaczyło? Czyżby i Hiliel wyjechał?

Narysowałem ratusz żydowski. — Głuchoniemy mocno potrząsł głową.

— A więc Hiliel już tam nie jest?

— Nie (potrząśnięcie głową).

— Więc gdzie jest?

Znów powtórzył Jaromir swoją sztukę z zapalką.

— Na pewno myśli, że ten pan wyjechał — i nikt nie wie, dokąd — wtrącił się do rozmowy poranny gość, który pił wódkę, a który teraz przez cały czas z wielkim zaciekawieniem nam się przyglądał. Serce mi zdrętwiało z trwogi: Hillela nie ma! — Teraz byłem zupełnie samotny na całej ziemi. — Rzeczy w kawiarni zaczęły mi skakać przed oczami. —

⁴⁸⁷czaj (z ros.) — herbata.

⁴⁸⁸Prager Tageblatt (niem.) — Dziennik Praski.

⁴⁸⁹rad (daw.) — zadowolony.

⁴⁹⁰płaz — płaska krawędź szabli lub innej broni białej.

⁴⁹¹prestidigitator — sztukmistrz, iluzjonista.

— A Miriam?

Ręka mi drżała z taką siłą, że dłuższy czas nie byłem w stanie narysować jej twarzy z należytem podoieniem.

— Czy i Miriam zniknęła?

Zniknęła. Tak. Bez śladu.

Westchnąłem, zacząłem biegać po pokoju tam i z powrotem, tak że trzech żołnierze pytająco spoglądali na siebie.

Jaromir starał się mnie uspokoić i próbował jeszcze mnie o czymś powiadomić, o czym wiedział: położył głowę na ramieniu, jak osoba uśpiona.

Oparłem się o blat stołu:

— Na imię Jezusa, czy Miriam umarła?

Potrząśnięcie głową. Jaromir znów powtórzył gest uśpienia.

— Czy Miriam była chora? — Narysowałem flaszkę lekarstwa.

Potrząśnięcie głową. Znów przyłożył Jaromir skroń do ramienia.

Świt jasny rozwidnił izbę, płomienie gazowe gasły jedne po drugich i ciągle jeszcze nie mogłem uchwycić, co znaczyły gesty Jaromira. —

Dałem pokój. Rozważałem.

Jedyna rzecz, która mi pozostała do zrobienia, to jak najwcześniej iść na żydowski ratusz — i tam się poinformować, dokąd mogli wyjechać Hillel i Miriam.

Ja muszę jechać za nimi. —

Milcząc siedziałem przy Jaromirze. — Niemy i głuchy jak on.

Gdy po pewnym czasie spojrzał, zauważyłem, że wycina z papieru nożyczkami sylwetki.

Poznałem profil Rozyny. Podał mi obrazek poprzez stół, położył rękę na oczach i — płakał sobie cicho.

Potem naraz powstał — i chwiejnym krokiem — bez pożegnania — wyszedł z kuchni.

Archiwariusz Szemajah Hillel pewnego dnia bez żadnego uzasadnienia przestał przychodzić — i nigdy nie powrócił; córkę swoją również zabrał ze sobą: gdyż i jej nikt już nigdy nie widział od owego czasu: tak mi powiedziano w żydowskim ratuszu. To było wszystko, czego się mogłem dowiedzieć.

Nie miałem żadnego śladu, któryby mi wskazywał, dokąd się udali.

W banku mi oświadczono, że moje pieniądze ciągle jeszcze sądownie są obciążone — i z dnia na dzień oczekuje się możliwości ich wypłacenia na moje ręce. —

A więc i spadek po Charousku musiał iść drogą urzędową — i z gorącą niecierpliwością oczekiwałem na pieniądze, aby wówczas wszelkich sposobów użyć, dla poszukiwania śladów Hillela i Miriam. Sprzedałem swoje drogie kamienie, które miałem jeszcze w kieszeni — i wynająłem sobie małe, umeblowane, obok siebie leżące mansardy⁴⁹² na Staroszkolnej ulicy — jedynej ulicy, która po przebudowaniu dzielnicy żydowskiej została zachowana.

Szczególny przypadek: był to ten sam dobrze znany dom, o którym krążyło podanie, że kiedyś zniknął w nim Golem.

U mieszkańców — po największej części drobnych kupców i rzemieślników — dowiadywałem się, czy jest cokolwiek prawdy w pogłoskach o „pokoju bez wejścia” — i zostałem wyśmiany. — Jak można wierzyć w podobne niedorzeczności!

Moje własne przeżycia, które się z tym wiązały, przybrały w więzieniu mglistość dawno zwietrzałego widzenia sennego — i widziałem w nich już tylko symbole bez życia i krwi — i wykreśliłem z księgi moich wspomnień.

Słowa Lapondera, które nieraz tak wyraźnie w sobie słyszałem, jakby siedział naprzeciwko mnie, jak dawniej w celi — i jakby ze mną rozmawiał — utwierdziły mnie w tym, że musiałem czysto wewnętrznie kontemplować to, co mi przedtem ukazało się jako uchwytne rzeczywistość.

⁴⁹²*mansarda* — rodzaj dachu załamującego się tak, by było pod nim więcej przestrzeni bądź pomieszczenie bezpośrednio pod takim dachem.

Czyliż nie przeminęło, nie znikło wszystko, com niegdyś posiadał? Księga *Ibbur*⁴⁹³, fantastyczna talia kart do taroka⁴⁹⁴, Angelina i nawet moi starzy przyjaciele: Zwak, Vrieslander i Prokop! —

Był wieczór Bożego Narodzenia i przyniosłem sobie do domu małą choinkę oraz czerwone świeczki. Chciałem jeszcze raz być dzieckiem, mieć koło siebie płomyki światła, zapach żywicznych igieł i płonącego wosku.

Zanim rok dobiegł do końca, nie dałem za wygraną — i szukałam po miastach i po wsiach — i gdziekolwiek mi serce podyktować mogło — Hillela oraz Miriam.

Wszelka niecierpliwość, wszelkie wyczekiwanie z wolna we mnie odpadły — równie jak znikła wszelka trwoga, że Miriam mogła być zamordowana: wiedziałem sercem, że znajdę oboje.

Był we mnie jak by nieustanny uśmiech szczęścia — i gdym rękę na coś położył, zdawało się, że jakaś siła zbawcza z niej wypływa. Zadowolenie człowieka, który po długiej wędrówce do domu powraca i z dala już ogląda promieniejące wieże swego rodzinnego miasta — napępiało mnie całego w szczególny sposób.

Byłem raz jeszcze w małej kawiarni, chcąc sprowadzić Jaromira do siebie na wigilię. Więcej się już tam nigdy nie pokazał — jak mi powiedziano — i chciałem już ze smutkiem wracać do domu, gdy wszedł stary kramarz⁴⁹⁵ wędrowny i ofiarował mi różne drobne bezwartościowe przedmioty do nabycia.

Przeszukałem jego skrzyneczkę, gdzie leżały dewizki⁴⁹⁶ do zegarka, małe koncyfiksy⁴⁹⁷, grzebienie, szpilki do włosów, broszki; nagle wpadło mi w ręce serce z czerwonego kamienia i pelen podziwu poznałem, że to jest ta sama pamiątka, którą mi kiedyś Angelina, gdy była małą dziewczynką — dała w prezencie koło wodotrysku w swym pałacu.

I nagle przed moim okiem stanęła moja młodość, jak gdybym w kamerze optycznej oglądał widoczek, malowany ręką dziecka.

Długo, długo stałem wzruszony i spoglądałem na małe czerwone serce, które trzymałem w ręku.

Dar, Wspomnienia

Siedziałem w swej mansardzie i przysłuchiwałem się, jak syczały igielki jodłowe, gdy tu i owdzie drobna gałązka zaczynała płonąć od woskowych świeczek.

„Może też właśnie o tej godzinie stary Zwak gdzieś na świecie gra swoje „Boże Narodzenie kukielek” — wyobrażałem to sobie — „i deklamuje tajemniczym głosem strofkę swego ulubionego poety Oskara Wienera⁴⁹⁸.”

Gdzie jest serce z czerwonego kamienia? Ono wisi na wstążce jedwabnej. O ty, nie oddawaj serca — Ja byłem mu wierny, jam je kochał — I siedem lat ciężkom służył! Dla tego serca — i kochałem je gorąco!

Szczególnie świąteczny nastrój miałem w duszy. — Świece już się wszystkie wypaliły. Jedna tylko jeszcze migiała. Dym krążył po pokoju. — Naraz jakby mnie jakaś ręka pociągnęła, musiałem się odwrócić:

Odbicie mojej osoby stało w progu. Mój sobotwór. W białym płaszczu. Z koroną na głowie. Trwało to jedno okamgnienie.

Nagle płomienie buchnęły poprzez deski moich drzwi i od pokoju wdarł się obłok duszącego, gorącego dymu.

Pożar w domu. Pożar! Pożar!

Sobowtór

Ogień

⁴⁹³*ibbur* — w pewnych odłamach mistyki żydowskiej słowo to oznacza w uproszczeniu wzmocnienie duszy żyjącego człowieka przez tymczasowo łączącą się z nią inną sprawiedliwą duszę przebywającą poza ciałem. Zwykle wynika to z potrzeby spełnienia przez duszę bezcielesną jakiejś misji.

⁴⁹⁴*tarok* a. *tarot* — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wróżenia.

⁴⁹⁵*kramarz* — handlarz.

⁴⁹⁶*dewizka* — łańcuszek od zegarka kieszonkowego.

⁴⁹⁷*koncyfiks* — prawdop. krucyfiks.

⁴⁹⁸*Oskar Wiener* — poeta praski, aktywny na początku XX w.

Roztwieram⁴⁹⁹ okno. Wdrapuję się na dach.
 Z dała już huczy gromkie trąbienie nadjeżdżającej straży ogniowej. Błyszczące hełmy i krótkie, ostre rozkazy komendy.
 Potem upiorne, rytmiczne, syczące dyszenie pomp, jakby demony wody gotowały się do skoku na swego śmiertelnego wroga: ogień.
 Szkło, brzęcząc, pęka, a czerwony płomień strzela ze wszystkich okien.
 Materace wyrzucają z okien, cała ulica jest nimi zaścielona, ludzie skaczą na nie: tłuką się i ranią; straż ich wynosi.
 We mnie natomiast coś raduje się w dzikiej, tryumfalnej ekstazie! Nie wiem, dlaczego. Włos mi się jeży.
 Biegnę w stronę komina, aby uniknąć osmalenia, gdyż płomienie idą w moją stronę.
Powróż kominiarski otacza go dokoła; obwijam go koło siebie, opasuję nim stawy ręki i nogi, jak tego się uczyłem za lat chłopięcych w szkole gimnastyki — i powoli spływam na dół od strony fasady.
 Przesuwam się koło jednego okna; spoglądam do środka: tam wszystko jasno oświetlone.
I widzę tam — — widzę tam — —
 Całe moje ciało staje się jednym radosnym okrzykiem:
Hillel! Miriam! Hillel!
 Chcę przeskoczyć przez kraty w oknie.
 Chwytam za nie. Tracę przy tym swe położenie w sznurze.
 Chwilę jedną wiszę *głową na dół, z nogami skrzyżowanymi między niebem a ziemią*⁵⁰⁰.
 Sznur świszcząc przy posunięciu. Trzeszcząc, rozszerzają się włókna.
 Upadam. Świadomość we mnie gaśnie.
 Jeszcze w upadku chwytam za gzyms okna, ale zbaczam z drogi. Zatrzymać się nie mogę:
 Kamień jest gładki.
Gładki jak kawał stoniny.

Pożar

Kamień

KRES

— — — *jak kawał stoniny!*
To jest kamień, co wygląda jak kawał stoniny.
 Słowa te jeszcze dzwonią mi w uszach. Wtedy podnoszę się i muszę sobie przypomnieć, gdzie jestem.
 Leżę w łóżku i mieszkam w hotelu.
 A więc nie nazywam się Pernath.
 Czyżby mi to wszystko śniło się tylko?
 Nie! Tak nie wygląda rojenie senne.
 Spoglądam na zegar: spałem zaledwie godzinę. Jest w pół do trzeciej.
 A tam wisi cudzy kapelusz, który zamieniłem dziś w katedrze na Hradczynie⁵⁰¹, gdy podczas wielkiej mszy siedział w ławce.
 Czy jest we środku nazwisko? Biorę kapelusz i czytam złotymi literami na białej jedwabnej podszevence, cudze, a jednak tak znajome, nazwisko:
Atanazy Pernath
 Teraz już nie mam chwili spokoju; pospiesznie się ubieram i biegnę na dół po schodach.
 — Odźwierny! Proszę otworzyć! Idę jeszcze na przechadzkę — na godzinę.
 — Dokąd, proszę?

Imię

⁴⁹⁹roztwierać (daw.) — otwierać.

⁵⁰⁰wiszę głową na dół, z nogami skrzyżowanymi między niebem a ziemią — w pozycji odwzorującej kartę tarota Wisielec.

⁵⁰¹Hradczyn — dziś Hradczany, dzielnica Pragi, w której znajduje się zamek królewski.

— Do dzielnicy żydowskiej. Na Koguci Zaulek. Czy jest w ogóle ulica, która się tak nazywa?

— Owszem, owszem. Jest — odzwierny uśmiecha się chytrze — ale zwracam uwagę, że z dzielnicy żydowskiej mało co pozostało. Wszystko domy nowo zbudowane.

— Nic nie szkodzi. Gdzie leży Koguci Zaulek?

Odzwierny grubym palcem wskazuje na planie miasta Pragi.

— Tutaj, proszę pana.

— A szynkownia „Loisiczek”?

— Tutaj, proszę pana.

— Proszę mi dać duży kawał papieru.

Zawijam w ten papier kapelusz Pernatha. Rzecz dziwna: jest prawie nowy, nieposzlakowanie czysty, a jednak tak kruchy, jak gdyby był odwieczny i prastary.

Po drodze przedkłada⁵⁰² sobie:

Wszystko, co przeżył ten Atanazy Pernath, to ja współprzeżyłem z nim we śnie, w jedną noc, widziałem z nim, słyszałem z nim, czułem z nim, jak gdybym to ja był nim. Ale dla czego nie wiem, co on zobaczył przez zakratowane okno w chwili, gdy powróz się rozluźnił i gdy Atanazy, upadając, zawołał: „Hillel, Hillel”!

Zrozumiałem, że w tej chwili Pernath oderwał się ode mnie. Muszę odnaleźć tego Atanazego Pernatha i muszę się dostać do niego, choćbym miał trzy dni za nim biegać w koło: tak sobie postanowiłem.

Sen, Sobowtór

Więc to jest Koguci Zaulek.

Nawet w przybliżeniu nie był podobny do tego, co widziałem we śnie.

Same nowe domy.

W minutę później siedziałem w kawiarni Loisiczka. Gwarny, dość czysty lokal.

W głębi zresztą estrada z drewnianymi poręczami; nie można zaprzeczyć pewnego podobieństwa ze starym, widzianym we śnie Loisiczkiem.

— Co pan rozkaże, proszę pięknie? — pyta kelnerka, zniszczona dziewczyna, w czerwonym, aksamitnym fraku, dosłownie popękanym.

— Proszę o koniak, panienko. — Tak; dziękuję.

— Hm... Panienko!

— Proszę.

— Do kogo należy ta kawiarnia?

— Do pana radcy handlowego Loisiczka. Cały dom należy do niego. Bardzo elegancki, bogaty pan.

Aha, człowiek ze świńskimi zębami na łańcuchu od zegarka! — przypomniałem sobie.

Mam dobry pomysł, który powinien mi dopomóc w orientacji:

— Panienko...

— Proszę?

— Kiedy to zawalił się kamienny most?

— Przed trzydziestu trzema laty.

Hm. Przed trzydziestu trzema laty! przedkłada⁵⁰² sobie: zatem wycinacz drogich kamieni Pernath musi teraz mieć koło dziewięćdziesięciu lat?

— Panienko.

— Proszę?

— Czy nie ma kogo między gośćmi, co mógłby sobie przypomnieć, jak wyglądała wówczas stara dzielnica żydowska? Jestem literatem i bardzo mnie to zaciekawia.

Kelnerka się zamyśliła:

— Z gości? Nie. Ale niech pan poczeka: markier⁵⁰³ bilardowy, ten co tam ze studentem gra w karambol⁵⁰⁴ — widzi go pan? Ten z nosem hakowatym, stary; on zawsze tu mieszkał i wszystko panu powie. Czy mam go zawołać, kiedy skończy?

⁵⁰²przedkładać — tłumaczyć, wyjaśniać.

⁵⁰³markier — osoba zapisująca wyniki graczy w kawiarni lub w innym lokalu.

⁵⁰⁴karambol — odmiana bilardu.

Szedłem za wzrokiem dziewczyny. Smukły, białowłosy, stary człowiek opiera się tam o lustro i kredą czyści swój kij. Zniszczona, ale bardzo pańska fizjonomia. Kogo to on mi przypomina?

— Panienko, jak się nazywa markier?

Kelnerka, stojąc, opiera się łokciem o stół, liże ołówek, pisze z pośpiechem na marmurowej płycie stołu niezliczone razy jego nazwisko; prędko je wyciera za każdym razem — mokrymi palcami. Jednocześnie rzuca w moją stronę mniej lub więcej ogniste spojrzenia — stosownie do tego, jak jej się uda.

Oczywiście konieczne jest zarazem podniesienie brwi, gdyż to powiększa czarodziejstwo spojrzenia.

— Panienko, jak się nazywa markier? — powtarzam swe pytanie. Spoglądam na nią; ona chętniej by usłyszała: Panienko, dlaczego raczej nie nosisz na sobie nic, prócz fraka? albo coś podobnego. Ale nie pytam o to: zbyt mi po głowie krąży mój sen..

— No, jakże się ma nazywać? — z nadąsaną miną odpowiada. — Oczywiście nazywa się Ferri. Ferri Athenstädt.

Ale, ale! Ferri Athenstadt. — Hm — a więc znów stary znajomy.

— Niechże mi panienska dużo, dużo o nim opowie — mówię słodko, ale zaraz muszę się pokrzepić koniakiem; — Pani tak miło szczebiocze! (Brzydę się samym sobą).

„Panienska” tajemniczo pochyla się tuż nade mną, aż jej włosy twarz mi łachocą i szepcze:

— Ferri przedtem był to ćwik⁵⁰⁵ kuty na cztery nogi. Podobno pochodzi z bardzo starej szlachty, ale to oczywiście jest takie tylko bajanie, bo on wcale brody nie nosi. A mówią też, że dawniej miał strasznie dużo pieniędzy. Pewna rudowłosa Żydówka, która już za młodu była „taka” — znów kilka razy szybko napisała jej nazwisko — wycisnęła z niego wszyściusięńko. Oczywiście mówię wedle monety. No, a kiedy on już był bez grosza, to go puściła kantem i wydała się za męża za bogatego pana: za... — szepnęła mi do ucha jakieś nazwisko, którego nie mogłem uchwycić.

Wielki pan musiał się naturalnie wyrzec wszelkich zaszczytów i od tego czasu mógł się nazywać tylko Ritter von Dammerich. No więc tak. Ale tego, że ona była dawniej „taka”, tego już oczywiście nigdy zmyć z niej nie mógł. Ja zawsze mówię —

— Fritz! Płacić! — zawołał ktoś z estrady.

Rzuciłem wzrokiem po sali, gdy usłyszałem za sobą ciche, metaliczne ćwierkanie, niby świerszcza.

Obejrzałem się zaciekawiony. Nie dowierzałem swoim oczom.

Twarzą odwrócony ku ścianie, stary jak Matuzal, trzymając pozytywkę małą jak pudełko papierosów na swoich trzęsących się, szkieletowych rękach, siedzi w kącie, skurczony do cna, ślepy, zgrzybiały Neftali Szafranek — i kręci małą korbką.

Podchodzę do niego.

Zmieszany śpiewa szeptem sam sobie.

*Frau Pick, Frau Hock
und rote, blaue Stern
die schmusen allerhond
Von Messinung, aus Raucherl und Robn.* ⁵⁰⁶

Erotyzm

Starość, Śpiew, Żyd

— Czy nie wiecie, jak się nazywa ten stary człowiek? — zapytuję przebiegającego kelnera.

— Nie, panie, nikt nie zna jego nazwiska. On sam go zapomniał. Jest zupełnie sam na świecie. Czy pan uwierzy: on ma 110 lat! Dostaje u nas co noc tak zwaną łaskawą szklankę kawy.

Pochylam się nad starcem — i krzyczę mu w ucho jedno słowo:

— Szafranek!

Starość, Imię

Miłosierdzie

⁵⁰⁵ ćwik (daw.) — spryciarz.

⁵⁰⁶ *Frau Pick, Frau Hock (...)* — nieskładne połączenie wszystkich wcześniejszych piosenek Szafranka.

Działa to na niego jak błyskawica. Coś zamruczał. Z zastanowieniem przesuwa ręką po czole.

— Czy pan mnie rozumie, panie Szafranek?

Skinął głową.

— Niech pan dobrze uważa! Chciałbym pana o coś zapytać z dawnych czasów. Jeżeli mi pan dobrze odpowie, dostanie pan guldena⁵⁰⁷, którego kładę tu na stole.

— Guldena — powtórzył stary i zaraz zaczął kręcić korbą swojej pozytywki.

Powstrzymałem jego rękę.

— Niech pan sobie przypomni! Czy nie znał pan przed trzydziestoma trzema laty wycinacza kamei⁵⁰⁸, nazwiskiem Pernath?

— Hadrboleć? Wycinacza kamaszy? — zabelkotał astmatycznie i roześmiał się na cały głos w mniemaniu, że powiedziałem mu jakąś zabawną krototochwilę.

— Nie, nie Hadrboleć — Pernath!

— Pereles? — tryumfował po prostu.

— Nie, nie Pereles. Pernath!

— Paszeles? — zapiał z radości. Rozczarowany przerwałem badanie.

— Pan chciał ze mną porozmawiać, panie — markier Ferri Athenstadt stał przede mną chłodno pochylony.

— Tak. Właśnie chodzi mi o to. — Możemy przy tym zagrać partię bilardu. Czy pan gra na pieniądze? Daję panu for 90 na 100.

— Zgoda: o guldena. Niech pan zaczyna, panie markier!

Jego książęca mość wziął kij, nacelowwał, zrobił kiksa⁵⁰⁹, twarz ułożył żałośnie.

Znam się na tym: pozwoli mi dojść do 99, a potem od razu wybębni całą serię.

Coraz większa ciekawość mnie pali! Uderzyłem od razu w sedno.

— Niech pan sobie przypomni, panie markier: przed dawnymi laty, mniej więcej wtedy, kiedy to zawałił się most kamienny, czy nie znał pan w żydowskiej dzielnicy niejakiego Atanazego Pernatha?

Jakiś jegomość w biało-czerwonej kurtce płóciennej, zezowaty i z małym złotym kolczykiem w uchu, który siedział na ławce pod ścianą i czytał gazetę, zerwał się nagle, spojrzał się na mnie i przeżegnał znakiem krzyża świętego.

— Pernath? Pernath? — powtórzył markier i zamyślił się głęboko. — Pernath? Wysocki, szczupły, miał ciemne włosy — i krótko strzyżoną brodę?

— Tak — tak! To dosłowna prawda.

— Miał wtedy ze 40 lat. Wyglądał jak —

— Jego książęca mość nagle spojrzał na mnie zdumiony.

— Czy pan dobrodziej nie jest jego krewny?

Zezowaty znów się przeżegnał.

— Jak? krewny? skądże? Śmieszne przypuszczenie. Nie. Interesuję się nim tylko. Może pan jeszcze coś o nim wie? — mówiłem spokojnie, choć czułem, jak mi serce się zamraża.

— Jeżeli się nie mylę, to swego czasu uchodził on za wariata. Raz twierdził, że nazywa się — — niech pan zaczeka — — hm — tak! Luponder. — A potem znów podawał się za niejakiego — Charouska!

— Ani słowa prawdy! — wtrącił zezowaty. — Charousek żył rzeczywiście. Mój ojciec niejedną тисяч florenów po nim odziedziczył.

— Co to za człowiek? — zapytuję półgłosem markiera.

— Jest to przewoźnik rzeczny, nazywa się Czamrda. — Co się tyczy Pernatha, to przypominam sobie tylko — albo przynajmniej sądzę, że on w późniejszych latach ożenił się z piękną, smagłocera Żydówką.

— Miriam! — powiedziałem sobie i byłem tak podniecony, że ręce mi się zatrzęsły i więcej grać nie mogłem.

⁵⁰⁷gulden — gulden austriacki był oficjalnym środkiem płatniczym na terenie Austro-Węgier do czasu reformy walutowej z 1892 r., gdy w jego miejsce wprowadzono koronę austro-węgierską.

⁵⁰⁸kamea — wypukła rzeźba w szlachetnym lub półszlachetnym kamieniu.

⁵⁰⁹kiks — nieudane bądź nieprawidłowe uderzenie w grze w bilard.

Przewoźnik się przeżegnał.

— Ale cóż to się z panem dziś dzieje, panie Czamrda? — pytał zdziwiony markier.

— Pernath nigdy nie żył! — krzyczy zezowaty. — Ja w to nie wierzę.

Natychmiast postawiłem temu człowiekowi koniak, aby był rozmowniejszy.

— Są znowu ludzie, co mówią, że Pernath ciągle jeszcze żyje — wygadał się w końcu przewoźnik. — Jak słyszę, jest wycinaczem grzebieni⁵¹⁰ i mieszka na Hradczynie.

— Gdzie na Hradczynie?

Przewoźnik żegna się.

— No, mieszka właśnie tam. Mieszka, gdzie żaden żywy człowiek mieszkać nie może: przy murze pod ostatnią latarnią.

— Czy pan zna jego dom, panie — panie — Czamrda?

— Za nic w świecie nie chciałbym tam pójść — protestował zezowaty. — Za kogo pan mnie ma? Jezus, Maria, Józef!

— Ale drogę na górę może mi pan z daleka pokazać, panie Czamrda?

— To — i owszem — mruczy przewoźnik. — Jeżeli pan chce czekać do szóstej rano, to popłynę w dół Wełtawą. Ale ja panu nie radzę. Spadnie pan do Jeleniego Jaru i połamię pan kark i wszystkie kości. O, przenajświętsza Matko Boża!

O pierwszym brzasku porannym wychodzimy razem. Świeży wiatr powiewa od rzeki. Z oczekiwania zaledwie czuję grunt pod sobą,

Nagle wynurza się przede mną dom na Staroszkolnej ulicy.

Każde okno znów rozpoznaję: pokrzywioną rynną na dachu, kraty w oknach, gzymsy kamienne świecące jak tłuszcz słoniny.

— Kiedy ten dom się palił? — pytam zezowatego. Ze zdumienia zasyczał mi w uszy.

— Palił się? Nigdy!

— A jednak! Wiem na pewno.

— Nie palił się.

— A przecie ja wiem doskonale. Chce się pan założyć. O ile?

— O guldena.

— Zgoda! — I Czamrda wyprowadza dozorcę domu.

— Czy ten dom palił się kiedy?

— Ale skądże! — Dozorca śmiał się.

— Ja nie mogę w to żadną miarą uwierzyć.

— Już siedemdziesiąt lat tu mieszkam — zapewnia odźwierny — więc muszę o tym wiedzieć jak się patrzy⁵¹¹.

Szczególne, szczególne.

Czamrda przewozi mnie w swym czółnie, które się składa z ośmiu nieheblowanych desek; płynie w śmiesznych, skośnych, drgawkowych ruchach przez Wełtawę. Żółte wody pienią się dokoła drzewa. Dachy Hradczyna błyszczą czerwono w promieniach zorzy porannej. Jakies nieopisanie uroczyste uczucie ogarnia mnie w pełni. Lekkie, zmierzchające uczucie jakiegoś poprzedniego żywota, jak gdyby świat był dokoła mnie zaczarowany; jakaś nieokreślona, niby w marzeniu sennym tkwiąca świadomość; jakoby żył być może w kilku miejscach naraz.

Wstaję.

— Ile jestem panu winien, panie Czamrda?

— Grajcara⁵¹². Gdyby pan mi pomagał wiosłować, to byłoby dwa grajcarry.

Tą samą drogą, którą dziś w nocy przechodziłem już raz we śnie, kroczę znowu: małą, samotną ścieżką zamkową. Serce mi bije i wiem dlaczego: teraz idzie łyse drzewo, którego gałęzie po przez mur się wychylają.

Drzewo

⁵¹⁰Jak słyszę, jest wycinaczem grzebieni — *Kameen schneider* i *Kamm schneider*: gra wyrazów niepodobna do naśladowania.

⁵¹¹jak się patrzy — doskonale.

⁵¹²grajcar a. krajcar — w XIX w. drobna moneta austriacka.

Nie: ono jest pokryte białym kwiatem. Powietrze jest pełne słodkiej woni bzu. U moich nóg leży miasto w pierwszym blasku świtanie jak wizja obietnicy. Cisza zupełna. Tylko zapach i blask. Z zamkniętymi oczami mógłbym się teraz przedostać na małą, ciekawą Ulicę Alchemików, tak mi każdy krok jest tu pewny i znajomy.

Ale tam, gdzie dziś w nocy widziałem drewniane kraty przed białym migocącym domem, teraz zamyka uliczkę wspaniała, wypukła, połączona sztachetą.

Dwa wiązki tryskają z kwitnących niskich krzaków, zdobiąc po obu stronach bramy wejściowej mur, który poza kratą wzdłuż biegnie na prawo i na lewo.

Wspinam się, aby przez krzaki wzrokiem przeniknąć do środka — i jestem olśniony nową świetnością: ściana ogrodu w całości przybrana jest mozaiką: turkusowobłękitne freski⁵¹³, złotymi muszelkami osobliwie pokryte, wyobrażają kult egipskiego boga Ozyrysa⁵¹⁴. Podwoje — to sam bóg: hermafrodyta z dwóch połów, tworzących wrota: prawa strona jest żeńska, lewa męska. — Siedzi na kosztownym, płaskim tronie z masy perłowej — w półpłaskorzeźbie — a jego złota głowa jest to głowa zajęcza. Uszy wznoszą się do góry i blisko siebie, tak iż wyglądają jakby dwie stronice wydarte z książki.

Rosisto tchnie dokoła, a zapach hiacyntów rozplywa się przez ściany.

Długi czas stoję skamieniały i zdumiony. Zdaje mi się, jakby jakiś obcy świat nagle wysnuł się przede mną, a stary ogrodnik czy służący w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami, w żabocie i osobliwie wykrojonym surducie przychodzi ku mnie z lewej strony poza sztachetą i spoza kraty zapytuje, czego sobie życzę.

Niemo wręczam mu zawinięty w papier kapelusz Atanazego Pernatha.

Bierze go i idzie przez bramę główną.

Gdy brama się otwiera, spostrzegłem w głębi dom marmurowy w kształcie świątyni, a na jego stopniach — siedzi ATANAZY Pernath i nachylona ku niemu MIRIAM i oboje spoglądają w dół na miasto.

Na chwilę Miriam się odwraca, spostrzega mnie, uśmiecha się i szepcze coś do Atanazego Pernatha.

Jestem zakłęty jej pięknnością.

Jest tak młoda, jak dziś w nocy widziałem ją we śnie.

Atanazy Pernath powoli kieruje wzrok w moją stronę, a serce bić mi przestało. Tak mi jest, jakbym widział samego siebie w zwierciadle: tyle podobieństwa mają ze sobą jego twarz i moja twarz.

Wtedy podwoje bramy się zamykają i spostrzegam tylko migotliwego hermafrodytę. Stary sługa podaje mi kapelusz i mówi, głos jego słyszę jakby z głębi ziemi.

Pan Atanazy Pernath każe najserdeczniej panu podziękować i prosi, aby go szanowny pan nie uważał za człowieka niegościnnego z powodu, że nie zaprasza go do swego ogrodu, ale takie jest tu od wieków surowe prawo domowe. Kapelusza pańskiego, mogę szanownego pana upewnić, nie miał wcale na głowie, ponieważ zamianę natychmiast zauważył.

Ma tylko szczerą nadzieję, że jego kapelusz szanownemu panu bynajmniej bólu głowy nie przyczynił.

⁵¹³fresk (z wł. *fresco*: świeży) — malarstwo wykonywane na mokrym tynku.

⁵¹⁴Ozyrys — egipski bóg śmierci i odradzającego się życia, jak również sędzia ludzi zmarłych.

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/golem>

Tekst opracowany na podstawie: Gustav Meyrink, *Golem*, tłum. Antoni Lange, skł. gł. F. Hoesick, Warszawa 1919

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paweł Kozioł.

Okladka na podstawie: See-ming Lee 謝明李 ~ Ž SML@Flickr, CC BY-SA 2.0